

MARIA ZIENTAROWA

# DROBNE USTROJE

*Piotrowi i Stefanowi poświęcam,  
zapewniając ich jednocześnie,  
że podobieństwo między nimi  
a Jankiem i Andrzejem nie jest  
— niestety — czysto przypadkowe.*

## PIERWSZE DNI

Janek ma trzy i pół roku i patrzy na świat niebieskimi oczyma, w których często maluje się nieufność do otoczenia. A szczególnie do nadjeżdżających szybko samochodów, nagłych huków, nowych cioć, które krzykliwym głosem' podziwiają jego zabawki czy sweterki, nowych wujciów, którzy kucają i udają parowóz, oraz nie znanych mu jeszcze potraw, które pod najrozmaitszymi pozorami przecież w końcu okazują się kaszą.

Janek był do niedawna na wsi, gdzie spędził ze swoim starszym bratem Andrzejem trzy miesiące. Już ostatni miesiąc jego pobytu wśród lasów i pól zmacony był przytłaczającą myślą o przedszkolu warszawskim. Nasłuchiwał się o tym przedszkolu rzeczy najrozmaitszych. Mama zapewniała go, że są tam zabawki, klocki, plastelina i kolorowe ołówki. Starszy brat opowiadał mu na boku:

— Jak będziesz niegrzeczny, to wystawią cię zaraz za drzwi.

Ojciec Janka mówił do matki Janka, również na boku:

— Jak obydwaj będą w przedszkolu, to będziesz miała zupełnie inne życie.

Marek, starszy kolega, opowiadał:

— Każą odpoczywać po obiedzie, a jedna nauczycielka strasznie krzyczy.

Brat Andrzej wieczorem, gdy leżeli w łóżkach (gdy już wiadomo było, że nikt nie będzie sprawdzać, czy są przykryci, umyć, uczesani i odsiusiani), straszył go, rzucając niedbale:

— Będziesz beczał przez pierwsze dni... dają wciąż kaszkę... ten Kowalski to wszystkich bije... ogród jest fajny, gramy w piłkę... są farby wodne... czytają bajki... Tomek wciąż leje w spodnie... ja pójdę do starszaków, ty z maluchami...

Rano matka Janka chytrze zaanonsowała przy myciu zębów, że jazda do przedszkola odbędzie się ciężarówką. To podziałało jak czarna magia. Pobiegli pędem na punkt zborny, z bamboszami w workach, ze świadectwami lekarskimi przypiętymi do kurtek. Stały już tam Adasie i Tomki, Piotrusie i Zbyszki, Zosie i Małgosie. Obrzucały każdego nowego przybysza podejrzliwymi spojrzeniami. Po czym zaczęli konwersację:

— Ja mam konia na biegunach.

— Ja mam kasztany.

— Mój ojciec ma taką maszynę, co gra.

— Moja mama...

Zajechała ciężarówka. Zanim matka Janka zdążyła się zorientować, Andrzej i Janek siedzieli już przy kierownicy i nawet nie obejrżeli się na nią. Została z uczuciem pustki w żołądku, aż zakręcili w boczną ulicę.

Dokoła niej inne mamy zaczęły się śpieszyć do swoich fabryki i biur.

— Czy to dobre to przedszkole? — zwróciła się matka Janka nieśmiało do tęgiej, energicznie wyglądającej pani, która właśnie odprawiła swoją Anielkę.

— Dobre, proszę pani, dobre. Wszystkie one jednakowe. Moja Anielka to skarży się, że jak jej się supel w sznurowadle robi, to jej ta nauczycielka nie pomoże go rozsuplać. Już ja tej nauczycielce raz i drugi powiedziałam, a i do kierowniczkę pójde, jak się jeszcze raz coś takiego zdarzy.

Matka Janka pożegnała się szybko. Poszła do swojej roboty. Przez cały dzień myślała o przedszkolu, próbowała wyobrazić sobie, co oni tam robią, czy Janek płacze, czy mu bardzo smutno. O pół do piątej odebrała ich przy punkcie zbornym. Matki przywitały się już jak stare przyjaciółki. Ciężarówka zajechała. Długo wysiadały inne dzieci. Wreszcie, jak z procy, wystrzelił Andrzej. Za nim wyszedł powoli, jak stary człowiek, Janek. Mimo że solennie przyrzekła sobie, że o nic nie będzie pytała, matka Janka nie wytrzymała:

— No, jak tam było w przedszkolu?

— Jadło się — oświadczył Andrzej lakonicznie.

— Trzy razy — dodał Janek i westchnął ciężko.

Janek nie należy do dzieci małomównych. Nie jest też specjalnie gadatliwy, z wyjątkiem, oczywiście, tych chwil, kiedy rodzice mają sobie coś bardzo ważnego do powiedzenia lub kiedy ojciec chce wysłuchać wiadomości przez radio. Jednak przez ostatnie dwa lata swojego życia, czyli odkąd zaczął mówić, nie było trudności z dowiadywaniem się, jaki jest stan jego duszy i czego mu do szczęścia brak. To wszystko skończyło się radykalnie w chwili pójścia do przedszkola. Przez pierwszy tydzień wiadome tylko było, że chodzić nie chce. Potem poddał się, zdecydował, że musi, bo „wszyscy idą do roboty”, ale o tym, co robi przez cały dzień, nie opowiadał:

— Jak powodzi się Jankowi w przedszkolu? — zapytała jednak Andrzeja matka.

— W przedszkolu, ha — zawołał Andrzej. — On płakał całe rano. Ja jestem dyżurny od zabawek. Jak kto nie posprząta, to ja sprzątam. Razem z Adasiem.

— No, dobrze, ale dlaczego Janek płakał?

— Płakał, bo płakał. My mamy rybki w takim słoju. Jedna zdechła. Leżała brzuchem do góry i wcale nie pływała. Basia wrzuciła grzebień do rybek. Dwóch zębów brakowało. To ta rybka je zjadła i zdechła.

— A coście jedli na obiad? — spytała matka Janka.

— Nic. Ta rybka zjadła zęby z grzebienia. Była zupa. Pływała w niej pietruszka.

— Czy jedliście jajko? — zawołała matka w rozpaczy. — Chcę wam dać jajka na kolację i nie wiem, czyście już jedli, czy nie. I dlaczego Janek płakał całe rano?

— Jajka nie pamiętam, ale zerwałem pomidora z grządki i zjadłem. Adaś mnie uderzył w plecy i chciał mi go zabrać. Ja nie rozmawiam przy jedzeniu i jestem najgrzeczniejszy.

Janek zza wielkiej góry klocków odezwał się ponurym głosem:

— Tam się tylko je i je, i je. — A po chwili dodał: — I śpi, i myj, i myj ręce.

— Chodźcie umyć ręce — powiedziała matka — i siadajcie do kolacji.

Przy jajecznicy Janek odezwał się z napchanymi ustami.

— Na podwieczorek były takie, tylko na chlebie i pokrajane jak w klopsie. Może jutro zostanę w domu?

Gdy leżeli już w łóżkach, rodzice Janka uciekli się do starego, wypróbowanego sposobu podsłuchiwania pod drzwiami.

— W mojej klasie — mówił Andrzej — jest taki czerwony samochód i klocki.

— A w mojej jest za to lokomotywa i taczka, i wóz strażacki, i kredki.

Rodzice odeszli od drzwi pokoju. Wiedzieli, że bitwa o chodzenie Janka do przedszkola jest wygrana.

— Przypominam sobie teraz — powiedział później ojciec Janka — że kiedy wracałem z jakichś urodzin czy ze szkolnej zabawy i matka pytała mnie, jak tam było, a szczególnie, co—dawali jeść, to byłem wściekły i nie chciałem nic mówić. Jest takie przysłowie francuskie, które mówi, że pierwszą połowę życia marnują człowiekowi rodzice, a drugą — dzieci.

## KATAR

Jeszcze wysiadał z ciężarówki, a już kichał niemiłosiernie, no i oczywiście widać było z daleka, że chustkę do nosa gdzieś zagubił. Wychowawczyni zawiadomiła matkę Janka tonem całkowicie autorytatywnym, że nie należy go nazajutrz przysyłać do przedszkola. Janek, zachrypnięty i zasmarkany, tryumfował. Wraz z Andrzejem popędzili do domu.

— Piotrowski kicha jeszcze lepiej — oświadczył pogardliwie Andrzej.

— Katar nie jest chorobą — stwierdził ojciec Janka.

„Katar trwa od trzech do czternastu dni i jest zaraźliwy — przeczytała matka Janka w podręczniku dla młodych matek. — Ponadto od objawów kataralnych zaczynają się niektóre choroby zakaźne. Dzieci należy więc izolować. Jednakże nie należy unikać świeżego powietrza.”

W domu matka Janka pokroiła ligninę na kwadraciki i siadła na chwilę w fotelu, by zanalizować sytuację. Trzeba wziąć zaświadczenie od lekarza i zostać jutro w domu. Trzeba ugotować obiad dla siebie i Janka, a zapasów nie ma.

Przedszkole miało rozwiązać wszystkie sprawy domowe, a więc i gotowanie obiadów dla dzieci, miało zwolnić matkę, tak by ta mogła iść do pracy. Katarów nikt nie przewidział... Matkę Janka uderzyła myśl straszna: „Andrzej na pewno się zarazi.” A poza tym istnieje przecież mnóstwo innych chorób dziecięcych, których chłopcy jeszcze nie przeszli. Wietrzna ospa, świnka, koklusz i kto tam wie, co jeszcze.

Z pokoju chłopców zaczęły dochodzić dzikie wrzaski. Matka Janka z trudem wstała z fotela. Chłopcy wrywali sobie nawzajem wielkie kłęby ligniny. Okazało się, że wszystkie pluszowe zwierzęta mają ciężki katar i trzeba im wycierać nosy.

— Nie pójdziesz jutro do przedszkola — powiedziała matka Janka.

— Aha, a ja pójde — zaczął się drażnić Andrzej. — Będzie kino. To, co wiesz, z Zoo. Jak lew żre kozę. I hipopotam, co się tarza w błocie.

— I lis, co tak chodzi, i słoń, co żre bułkę nosem — ucieszył się Janek kichając Andrzejowi prosto w twarz. — Mamu, zabrakło watoliny.

— Ligniny — poprawił go Andrzej niecierpliwie.

Matka Janka uciekła do kuchni, by zagrzać mleko.

Później, gdy układała do snu szczęśliwego, zakatarzonego Janka, który uniknął kąpieli i płał się w rozkosznym uczuciu, że nazajutrz zostanie w domu i będzie mógł wyciągnąć z półek wszystkie zabawki Andrzeja, matka zapytała:

— Powiedz mi wreszcie, dlaczego nie lubisz tego przedszkola. Przecież tam jest bardzo wesoło!

— Nie wiem — powiedział. — Nie wiem, dlaczego na początku tam jest tak nieprzyjemnie, a potem tak bardzo przyjemnie. I to co dzień.

## ZEBRANIE

W niedzielę matka Janka szła do przedszkola na zebranie rodzicielskie.

— Co tam będziesz robiła? — spytał Janek podejrzliwie.

— Będę siedziała i słuchała, co mówi kierowniczka.

— Krzesła są za małe — stwierdził Andrzej sucho. Przyjrzeni się krytycznie matce.

— Może się zmieścisz.

— A kto ugotuje obiad?

— Tatuś.

Tatuś spojrział wzrokiem przerażonym.

— Wszystko jest przygotowane. Wystarczy zapalić gaz.

Krzesła rzeczywiście były za małe. Siedziało około czterdziestu osób, mężczyzn i kobiet, czyli rodziców, na dzieciennych krzeselkach ustawionych rzędem w klasie średniaków. Największym problemem okazały się nogi. Wyciągali je przed siebie, podwijali, zakładali jedną na drugą. Pani kierowniczka miała wielką ochotę krzyknąć: „Dzieci, nie wierćcie się!”, ale jakoś się powstrzymała.

Matka Janka wybrana została do komitetu rodzicielskiego, i w duchu zaczęła składać z góry samokrytykę za następny rok: „Kolonie nie dopisały, opieka lekarska mogłaby być lepsza. Powierzycie nam to, co macie w życiu najdroższego, a my...” Przyrzekła sobie, że zaraz nazajutrz jakoś zwolni się z pracy i zlustrowe kuchnię, przestudiuje jadłospis, obejrzy ogród, żeby stwierdzić, czy nie ma tam niebezpiecznych dziur lub kamieni. Postanowiła zaglądnąć przez dziurkę od klucza w czasie zajęć i obserwować zza płotu zabawy w ogródku. Stało przed nią widmo straszliwej, przygniatającej odpowiedzialności za sto dzieci, za ich gardła i nosy, żołądki i płuca. Klasa wydała się nagle naszpikowana niebezpieczeństwami. Czy powinny używać nożyczek? Czy posadzka nie za śliska? Otwierać okno to przeciąg, a zamykać to niezdrowo...

W domu całe towarzystwo siedziało już przy obiedzie.

— Stałaś w kącie? — zawołał Andrzej na powitanie.

— Nie stałam — odpowiedziała matka Janka z tryumfem.

— Widziałaś mój Pałac Kultury?

— Nie widziałam. Gdzie?

— Z wycinanki.



— A ryby widziałaś? A flagę z gołębim pokoju? A fotografie żołnierzy polskich i radzieckich? A plastelinę, co Konderski Zdziś przylepił pod stołem? A moją kopaczkę! A takie brązowe, z Włosem, co pani techniczka ma koło nosa?

— Widziałam. Nie widziałam. Widziałam.

— A zjadłaś kaszę?

— Andrzej, przysuń się do stołu — uratował ją ojciec. — I nie pomagaj sobie palcem. I zjedz kartofle, bo zimne. Jaś nie dostanie gruszki, jak zaraz nie wypije zupy.

— Dlaczego?

— Bo najpierw trzeba zjeść zupę.

— Dlaczego?

— Bo zupa zdrowa.

— Dlaczego?

— W przedszkolu też dają zupę.

— To dlaczego teraz znów jesz zupę, jak już dostałaś w przedszkolu?

— No, to już zostaw zupę i jedz mięso.

— Lubię niedzielę — westchnął Andrzej z głębi duszy.

Po południu przyszło dwóch kolegów Andrzeja na zabawę towarzyską.

Henio i Bogdanek zatrzymali się w progu pokoju i stali, popychając się, aż rodzice Janka domyślili się i wyszli do kuchni, zamykając za sobą drzwi. Zaraz potem usłyszeli ożywioną rozmowę i odgłosy świadczące o tym, że wszystkie zabawki zostały wytaszczone na środek pokoju.

Rodzice Janka z westchnieniem ulgi zabrali się do czytania tygodników.

Gdy zaczęli właśnie dyskusję na temat: „Walka o język narodowy w epoce Odrodzenia”, rozległ się straszny krzyk Janka. Porwali się z krzesel jak oparzeni i wpadli do pokoju dzieci. Zastali Janka przywiązanego sznurem do krzesła. Henio i Bogdanek pchali mu w usta plastelinę, a Andrzej rozścielał łóżko.

— Co robicie? — wrzasnęła przerażona matka Janka.

Spojrzeli na nią wzrokiem zimnym jak stal.

— Nie widzisz? — powiedział Andrzej wyraźnie zażenowany ignorancją rodziców.  
— Bawimy się w przedszkole.

## IMIENINY

Ojciec Janka, który, co tu ukrywać, jest urzędnikiem państwowym, naraził się bardzo swojemu dyrektorowi. Dyrektor zastał go bowiem spacerującego w zamyśleniu po biurze, z założonymi na plecach rękami, i śpiewającego następującą piosenkę:

Beksa lala  
Pojechała  
Do szpitala!  
A w szpitalu  
Operacja!  
Mama woła —  
Już kolacja!

Ojciec wrócił do domu zły i zabronił chłopcom śpiewania piosenek.

- A nam pani z przedszkola kazała.
- A ja zabraniam.
- Dlaczego?
- Idźcie bawić się klockami. Zbudujcie coś.

Kto zbuduje z klocków zwierzę,  
Kto sukienki lalkom pierze,  
Wytnie ptaszka lub wiatraczek?  
To na pewno przedszkolaczek...

- No to jazda budować zwierzę.
- Jakie zwierzę?
- Lwa albo tygrysa.
- Andrzej, Janek, do kuchni, na kolację! — zawołała matka Janka. — Ojciec dzisiaj źle się czuje.

- Do szpitala z nim! — zawyrokował Janek krótko.
- Na kolację była fasola. Janek przełykał każdą fasolkę pojedynczo, nie żując.
- Co robisz?

- Łykam jak pigułkę. Bawię się, że jestem chory.
- Jedz jak człowiek i żuj, bo się rozchorujesz.
- Przecież mówię, że już jestem chory.
- Jesteś niemożliwy.
- Wiesz co, idź, zmierz tatusiowi gorączkę — zaproponował Andrzej.
- Mama, on wciąż to łyka jak kaczką.
- Skarżypyta bez kopyta.
- Mama, on się drażni.

Matka Janka uciekła z kuchni, by zadośćuczynić żądaniom ojca, który po przeczytaniu wielu podręczników na temat pedagogiki doszedł do wniosku, że nie należy się wtrącać do zatargów dzieci.

Po chwili z kuchni rozległ się wrzask Janka.

Pobiegli obydwójce.

Fasola była na podłodze, na stole i we włosach Andrzeja. Wrzeszczał Janek.

— Co tu się dzieje?!

— On się rzuca fasolą — oświadczył Andrzej tryumfalnie, rozmazując fasolę po czole.

— To dlaczego on płacze? — spytał ojciec bezradnie.

— Żebyś go nie sprął — powiedział Andrzej z pewnym odcieniem pogardy dla takiego braku zrozumienia.

— Przestań płakać i jedz — powiedział ojciec.

Mazgaj tylko w kącie płacze,

Pięknie śpiewa przedszkolaczek...

— zanucił Andrzej patrząc spode łba na ojca. — Ojciec załamał ręce i wyszedł z kuchni.

— Jak mi tu zaraz nie będzie cicho, to nie pójdziecie w niedzielę do Basi.

To podziałało. O urodzinach Basi mówiło się od dwóch tygodni. Janek codziennie przeglądał zabawki, żeby zdecydować, co jej podaruje. Ale po chwili robiło mu się żal każdego połamanego samochodzika lub potarganego misia.

W niedzielę rodzice Janka i Andrzeja wpadli na genialny pomysł. Postanowili odprowadzić ich do Basi i po prostu zostawić tam do wieczora. Sami zaś zamierzali pójść na wystawę do Zachęty. Myśl ta wprowadziła ich w doskonały humor.

Andrzej śmiało, Janek z opuszczoną głową weszli do nieznanego mieszkania.

— Jak ja jej dam prezent i zjem grzecznie podwieczorek, i trochę się pobawię, to czy będę mógł iść do domu? — zapytał Janek z niepokojem.

Rodzice zapewnili go, że tak, i truchtem zbiegli ze schodów, by odciąć wszelką możliwość powrotu.

Wrócili o wpół do siódmej, by odebrać chłopców. Janek i Andrzej spojrzeli na nich spode łba, zza przewróconych krzesel. Bawili się w zbiorowego chowanego i oczywiście żaden nie chciał wyjść. Na głowach mieli papierowe czapki, a kieszenie pełne cukierków. Byli zieloni na twarzach i wyraźnie przejeźdzeni.

Po czterdziestu minutach rodzice Janka znaleźli się wreszcie na ulicy, prowadząc za rękę dwóch zapłakanych, rozkapryszonych i nieznośnych chłopaków.

— To ostatnie urodziny — warknął ojciec Janka już w tramwaju.

— Daj dzieciom spokój, nie widzisz, że są zmęczone — uniosła się z kolei matka Janka. — Trzeba wiedzieć, kiedy grozić, a kiedy obiecywać.

— Trzeba wiedzieć — zgodził się Janek.

— Nie kłóćcie się, ta pani się patrzy — szturchnął Andrzej matkę.

— Całe szczęście, że jutro poniedziałek — stwierdził ojciec Janka.

— Pierwszy raz w życiu słyszę, że się cieszysz z poniedziałku — zdziwiła się matka.

— Spędzę wprawdzie cały dzień w biurze, a potem na zebraniu — powiedział ojciec z determinacją — ale będę za to wiedział, że oni są w przedszkolu.

## POLOWANIE NA KROKODYLA

Ani Janek, ani Andrzej nie chodzili do przedszkola. Natomiast matka ich chodziła od rana do wieczora i przez cały wieczór, i przez większą część nocy, z kuchni do łazienki, z łazienki do pokoju z różnymi naczyniami, z syropami, z mlekiem, z miodem, z herbatą, z miską, z nocniczkiem, z mokrą szmatką i ręcznikiem, z kaszką manną (gorącą w drodze z kuchni do pokoju, a zimną w drodze powrotnej), z kompresami na szyję, z gorącą bańką gumową, z bańką na lód, z rosołkiem, z barszczykiem, z watką, szmatką, z kropłomierzem i termometrem — i wciąż potrzasała przed użyciem.

Janek i Andrzej byli chorzy. Sprawdziły się przepowiednie ciotki Andzi i babci, że przedszkole to żadna ulga dla rodziców, tylko zawracanie głowy, że dzieci chodzą tydzień do przedszkola, a potem dwa tygodnie chorują w domu. Chorowali nie wiadomo na co. Owszem, mieli temperaturę i wysypkę, i kaszel, i katar, i naloty w gardle. Był najpierw jeden lekarz, a potem drugi, ale rodzice nigdy nie dowiedzieli się, co im właściwie było. Diagnoza wahała się od zapalenia wyrostka robaczkowego do ospy, anginy i dyfterytu. Tylko odra została wykluczona, ponieważ przechodzili ją w zeszłym roku.

Andrzej wyspecjalizował się w pokazywaniu gardła. Wywalał język i mówił: „Aaaaa...”, z wprawą godną śpiewaka operowego. Nie było w tym nic dziwnego. Musiał kilka razy dziennie pokazywać gardło matce, w południe przychodziła sąsiadka i chciała obejrzeć gardło, potem ojciec wracał z biura i też spełniał swój obowiązek. Potem zwykle zjawiał się znajomy lekarz z tej samej klatki schodowej, który również oglądał gardło, używając do tego łyżeczki stołowej.

Janek gardła nie pokazywał i nie było takiej siły na świecie, która by go mogła do tego zmusić. I pewnie dlatego pierwszy został uznany za zdrowego i wrócił do roboty, czyli do przedszkola.

Wyszedł w poniedziałek rano, pierwszy raz w życiu sam, bez brata, opatulony w szalik i czapkę wełnianą, zaopatrzonego w chusteczkę do nosa, nafaszerowany witaminami. Z tryumfem obejrzał się za siebie, gdzie w łóżku siedział zielony, rozczochrany Andrzej.

— Pa, pa! — kiwnął ręką. — Nie martw się, może ci coś przyniosę. Może jutro będzie niedziela.

— Kiedy dzisiaj nie jest sobota — mruknął Andrzej.

— U małuchów jest taka dziewczynka, co nazywa się Zosia Sobota. Ta ma dobrze. Pa, pa! — powiedział Janek i złapawszy matkę za rękę ruszył do wyjścia.

Matka zaprowadziła go na postój „blaszanki”, gdzie stała już pokaźna gromadka dzieci. Janek został natychmiast otoczony i zarzucony pytaniami i wiadomościami:

— Gdzie byłeś?

— Gdzie Andrzej?

— Będzie zabawa.

— Ja będę przebrany za zajączka.

— Tańczymy krakowiaka.

— Henio Kominek stał w kącie bez trzymania.

— Wczoraj były pyzy i czekolada.

— Kucharski jest przeniesiony do średniaków.

— Masz palto w dechę.

— Janek, pamiętaj, żebyś zdjął sweter w klasie i żebyś za dużo nie biegał — powiedziała matka Janka słabym głosem i bez większego przekonania i wróciła do domu kupiwszy po drodze sok malinowy, syrop od kaszlu, paczkę waty, jabłka na kompot i książeczkę do rysowania.

W domu Andrzej był ponury.

— Co jest? Boli cię co?

— Brzuch.

— Kłamiesz.

— Chore dziecko zostawia się samo tyle czasu. Kaszlałem.

— Hipochondryk.

— Nie wezmę, bo to gorzkie.

— Nie ciągnij nosem, bo cię znów będzie ucho bolało.

— Pan doktor kazał, żebym oddychał nosem, a w nosie mam pełno.

— To oddychaj ustami.

— Kiedy ty się na tym nie znasz. Mnie kazał doktor. Co przyniosłaś?

— Książeczkę do rysowania.

— Oj, znowu te żyrafy.

— Jesteś niemożliwy.

— Ja jestem chory i nie dostałem dziś jeszcze tego brązowego lekarstwa.

Po południu Janek wrócił zmęczony, blady, ale bardzo z siebie zadowolony.

— Uczyliśmy się nowej piosenki — oświadczył Andrzejowi od progu i zaśpiewał dyszkantem:

Oj, warszawscy ludzie,  
Co wy tu robicie?  
Budujemy mosty  
O bledziutkim świecie...

— O czym? — spytała matka Janka.

— Drugi raz nie powtórzę — obraził się. — Powiedziałem średniakom, że już więcej nie przyjdiesz, bo jesteś chory i umrzesz — dodał z uroczym uśmiechem.

— Jazda, myć ręce! — zakrzętnęła się matka Janka.

Po zgaszeniu światła odbywała się w pokoju dość ożywiona dyskusja. Lecz matka Janka była zbyt zmęczona, żeby stać pod drzwiami i podsłuchiwać. Jednakże około godziny dziesiątej rozległ się potworny ryk. Ryczał Janek. Rodzicie przybiegli z kuchni.

— Krokodyl pod łóżkiem! — zanosił się Janek. — Prędko, zastrzel go!

Andrzej udawał, że śpi.

— Skąd wiesz, że pod łóżkiem jest krokodyl? — spytał ojciec Janka rzeczowo.

— Andrzej go zauważył — szlochał Janek.

— Chore dziecko — mruknął pod nosem ojciec. Wyciągnął spod łóżka ranne kapcie Janka i pomachał nimi przed nosem jednemu i drugiemu.

— Macie waszego krokodyla.

— Zastrzel go! — domagał się przerażony Janek. Matka Janka zrozumiała, że musi wyjść z pokoju.

Przez dobre dziesięć minut była w domu idealna cisza, przerywana tylko wybuchami śmiechu i salwami strzałów. Odbyło się regularne polowanie na krokodyle i kilka innych egzotycznych zwierząt.

Ojciec Janka wrócił do kuchni i zatopił się w swojej broszurze. — Nieznośne bachory — mruknął. — Dałem im dobrą szkołę.

## CHOINKA

Siódmego Janek obudził się o szóstej rano i płakał. Płakał raz, że chce mu się pić, potem, że jest głodny, potem, że chce na nocnik z jedną potrzeba, a po chwili, że z drugą. Gdy matka Janka po raz piąty wyszła z ciepłego łóżka, by dowiedzieć się, o co chodzi — domyśliła się w pół drogi. O jedenastej miała być „choinka” w przedszkolu. O spaniu już nie było mowy. Śniadanie, czysta koszula, jeden czerwony krawat ojca dla Janka, drugi dla Andrzeja. Ojciec zły, włożył krawat w paski i oświadczył, że na „choinkę” nie pójdzie, tylko sam na spacer, bez bab i dzieci, szybkim krokiem. — Udaje, że idzie na spacer — powiedział Andrzej — a potem przyjdzie do przedszkola przebrany za Dziadka Mroźa.

— Skąd wiesz? — pytał Janek.

— Bo zawsze jakiś ojciec się przebiera. W tym roku pewnie nasz.

— Jak poznajesz? Przecież zawsze noszą fartuch Pani doktor?

— Łatwo. Po butach.

— Kiedy ja wiem, że będzie panna Kazia, bo słyszałem, jak mówili.

Wyszli z domu wszyscy czworo. Ojciec kupił gazety i znikł. Matka Janka wepchnęła się z chłopcami do tramwaju. Na jednej z ławek siedziała zażywna pani trzymająca dużego chłopaka na kolanach.

— Tomek! — krzyknął Janek. — Tomek Kornacki!

— Czy to twój kolega? — spytała matka Janka.

— On też jest u maluchów. Znasz go. To ten, co mówiłaś, że ma zawsze brudną szyję.

Pani Kornacka przywitała się chłodno z matką Janka.

Tomek ubrany był w nowusieńki kożuszek, czapkę na futrze. Na szyi miał olbrzymi, wełniany szal. Z wielkim trudem zgramolił się z kolan matki i stał, sztywno trzymając ręce po bokach, jak kukielka.

— Masz wdechowe palto — stwierdził Janek.

— Nowe — powiedział Tomek. — Tata kupił na Gwiazdkę.

— Na Nowy Rok — poprawiła go matka.

— Czy mu nie za gorąco? Spoci się w tym wszystkim i przeziębi — zaryzykowała matka Janka.

— A pani dzieci wciąż kaszlą, bo są najlżej ubrane z całego przedszkola — odgryzła się pani Kornacka.



Tomek zaczął się bić z Jankiem o bilet tramwajowy i natychmiast znalazł się na zabłoconej podłodze w nowym kożusku. Przegrał w pierwszej rundzie. Janek tryumfował.

— Widzisz, on się wcale nie może ruszać. Za to pokazał język.

Skarżypyta bez kopyta  
Nie ma ojca ani brata,  
Język lata jak łopata...

— zaśpiewał Tomek.

Obydwie matki wycierały go chusteczkami do nosa i zdecydowały zignorować piosenkę.

W przedszkolu usiadły jak najdalej od siebie. W pierwszym rzędzie, naprzeciwko wielkiej choinki, siedział komitet rodzicielski, a dalej zwyczajni rodzice.

Po dłuższym czekaniu wmaszerowały na salę wszystkie maluchy, średniaki i starszaki, a za nimi wczółgało się kilku żłobkowców. Dzieci usiadły naprzeciwko rodziców na podłodze. Na głowie miały kolorowe czapki i patrzyły przed siebie ponuro — spode łba. Rodzice wyszukiwali swoich. Na sali rozległ się naraz dziwny szept.

— Wytrzymaj nos, Antek.

— Zapnij guzik od koszuli.

— Małgosia, Małgosia, warkocz ci się rozplótł. Kierowniczką klasnęła w dłoń.

— Prosimy o ciszę — zawołała i matki umilkły.

— W imieniu rodziców przemówi pani Kozłowska.

Dzieci, siedzieć mi cicho! Słuchajcie uważnie. Potem będą występy.

— Kochane dzieci — zaczęła mama Kozłowska. — Stary rok nam się skończył, a zaczął się nowy. Prawda? — Umilkła. — No, prawda, dzieci? Powiedzcie!

— No, dzieci! — krzyknęła kierowniczką. — Odpowiadajcie! Odpowiadajcie, że to prawda.

— To prawda! — wrzasnęły chórem dzieci.

— No więc skończył się ten stary rok i zaczął się ten nowy rok. W tym starym roku dużo się zrobiło. No, co się zrobiło, dzieci?

— Dużo się zbudowało — powiedziała mała blondynka od średniaków, w wianku z czerwonych maków na głowie.

— Tak, o widzisz. A co się zbudowało?

— Pałac kontury.

— Dobrze, i co jeszcze?

— I taki płot na naszej ulicy.

— I fabryki cukierków.

— I takie coś okrągłe.

— I domy.

— No, już dosyć. Dosyć. I wydobyło się dużo węgla, prawda? A do czego jest węgiel, dzieci?

Zapanowało milczenie.

— No, do czego?

— Do piwnicy! — wrzasnął Janek.

Pani Kornacka spojrzała na matkę Janka długim spojrzeniem pełnym współczucia.

— Cicho, dzieci — zdenerwowała się kierowniczką. — Podziękujcie pani Kozłowskiej za jej ciepłe słowa. Teraz przystępujemy do następnego punktu programu.

Matka Janka wymknęła się na korytarz na papierosa. Zerknęła do klasy maluchów. Tam przebierano dziewczynki za śnieżki. U średniaków przebierano chłopców za górali.

— Panno Kaziu — spytała mimochodem — o której się to skończy?

— Oj, chyba nie przed drugą.

— No, to ja skoczę coś załatwić. Gdyby się chłopcy pytali, to zaraz wrócę.

Ubrała się szybko i wskoczyła do tramwaju. Po dziesięciu minutach siedziała z ojcem Janka w cukierni, piła herbatę i rozwiązywała konkursy świąteczne w tygodnikach.

— Przedszkola — zdecydował ojciec Janka — przedszkola powinny stanowczo być czynne w każdą niedzielę.

## PRAWDZIWY TALENT,

W sobotę nagle i niespodziewanie zjawiała się ciocia Andzia.

— Przywiozłam im dwa drewniane koniki, zupełnie identyczne, żeby nie rozwijać w nich uczucia zazdrości — oświadczyła. — Zostaję tydzień i zajmę się nimi, żeby ciebie odciążyc. Możesz sobie chodzić do teatru czy do znajomych, ja będę czuwała. A gdzie oni właściwie są?

— W przedszkolu — odpowiedziała matka Janka nieco zdziwiona.

— W przedszkolu o tej porze? Jest czwartą. Ty już wróciłaś z roboty, a oni wciąż poza domem?

— Właśnie po nich idę. A do domu wróciłam dziś wcześniej, bo chyba mam grypę.

— To doskonale! — ucieszyła się ciocia Andzia. — To ja obejmuję całkowitą pieczę nad chłopakami.

Rodzice Janka ustawili dla cioci Andzi łóżko polowe w pokoju chłopców.

— Ona chrapie :— oświadczył Andrzej przyglądając się wysiłkom rodziców. — To nam przeszkadza.

— Nic podobnego — oburzyła się ciocia Andzia. — Jesteś niegrzeczny. Mam dla was prezenty, ale nie wiem, czy wam dam.

— Ona wcale nie chrapie — odezwał się Janek. — Ona tylko tak oddycha, bo jej się śni pociąg. Czy przywiozłaś mi pociąg?

— To niespodzianka — ciocia Andzia wyciągnęła z walizki dwie paczki i wręczyła je chłopcom. Każdy patrzył na paczkę drugiego, jednocześnie na ślepo mocując się ze sznurkiem.

— Koń — powiedzieli chórem. — Twój koń. I mój też koń. Taki sam. Pokaż, czy taki sam?

Już siedzieli na ziemi i jakby iskali te koniki.

— Co wy robicie? — zdziwiła się ciocia Andzia.

— Ha! — ryknął tryumfalnie Andrzej. — Mój ma koło ucha taką brudną plamę, a twój? Pokaż?

Janek pośpiesznie zajrzał swojemu koniowi za uszy. Plamy nie było.

— Mój ma za to jedno ucho większe od drugiego. A twój?

Wszystko było w porządku. Każdy odłożył konia na swoją półkę i zaczęli ustawiać krzesła gęsiego do zabawy w pociąg.

Ciocia Andzia stała zdumiona.

— Dziwne dzieci — szepnęła. — Różnie o nich mówią. Czy oni wiedzą, że ty o nich piszesz? — szepnęła matce Janka na ucho.

— Ależ skąd — zdenerwowała się matka Janka. — Zażądaliby części honorarium. Ty ich nie znasz — dodała znacząco.

— No, to co teraz robi się z dziećmi? — chciała wiedzieć ciocia Andzia. Nałożyła już biały fartuch, zakasała rękawy, przyczesła gładko włosy. Była gotowa do objęcia pieczy. — Ty się kładź i tylko mów, co i jak, a ja będę robić.

— Idź do kuchni — zaczęła matka Janka — nastaw wodę i mleko. Podgrzej marchewkę z obiadu. Utrzyj surową kapustę. Nakrój chleba, posmaruj marmoladą i może białym serkiem. Podsmaż kartofle. Ustaw to wszystko na tacy. Zanieś do ich pokoju. Przedtem każ im zrobić siusiu i umyj Jankowi ręce. Przypilnuj, żeby Andrzej umył ręce. Zawiaż im fartuszki. Daj im po dwie tabletki witaminy C. Napuść wody do wanny. Rozściel łóżka. Wywietrz pokój. Sprawdź, czy jest woda w zbiorniku na kaloryferze. Wyjmij ich piżamy, zanieś do łazienki.

— Mama, Andrzej uderzył mnie w nos — krzyczał Janek.

— Nie szkodzi. Oddaj mu. Wyciśnij pastą do zębów na szczotki, bo inaczej wycisną całą tubę. Pamiętaj, żeby kąpiel nie była za gorąca. Wyszczotkuj im porządnie włosy. Sprawdź paznokcie. Potem przypilnujesz, żeby porządnie jedli. Poczytasz im po kolacji jakąś bajkę. Każesz im sprzątnąć zabawki. Potem sama je sprzątniesz. Potem wykąpiesz Janka. Wysmarujesz mu nogi gliceryną, bo mu skóra pęka. Potem włożysz mu piżamę i zaniesiesz go do łóżka, potem wykąpiesz Andrzeja i wysmarujesz mu łokcie i kolana taką maścią, co jest na półce nad wanną, bo ma jakąś wysypkę. Pamiętaj, żebyś mu nie tarła pleców, bo on tego strasznie nie lubi. Potem zaniesiesz Andrzeja do łóżka i sprzątniesz zabawki, które powyciąga przez ten czas Janek. Potem przeczytasz im coś do snu i będzie awantura, kto ma prawo spać z książką po przeczytaniu. Potem dasz im po łyżce tranu, bo tran najlepiej działa na noc. Potem zgasisz światło. Potem zawołają cię raz, że im się chce pić, raz, że ich brzuch boli, raz, że im przeszkadza pies sąsiadów, raz, żeby ci powiedziec coś bardzo ważnego, a potem już przestanieś chodzić, jak cię będą wołali, i gdzieś koło ósmej będą spali. Wtedy będziesz mogła włożyć na siebie coś suchego... Ciocia Andzia była już w kuchni.

Nazajutrz była niedziela. Ojciec Janka miał od rana ważną naradę i znikł z domu. Matka Janka drzemała w łóżku, w głębokim grypowym zamroczeniu, i słabym głosem wydawała dyspozycje cioci Andzi. Ciocia Andzia miała włosy w nieładzie, plamy na fartuchu i silnie pachniała tranem.

— Ona wcale nie chrapie — oświadczył Andrzej przez drzwi. — Za to obiecała mi, że pójdziemy do takiej dziewczynki, co ma narty, i że mi pożyczy.

— Ewunia od Grabowskich — dodała ciocia Andzia. — Kupili jej narty w zeszłym roku. Ale sama wiesz, jak dzieciaki rosną. Więc będą dla niej za krótkie, a w sam raz dla Andrzeja. Przywiozłam Grabowskiej słoik konfitur z derenia. Zaraz idziemy, ty się wyśpij.

Po pewnym czasie trzasnęły drzwi wyjściowe i matka Janka po raz pierwszy od dwóch lat znalazła się w niedzielę sama w pustym mieszkaniu. Przymknęła oczy. Lecz zaraz otworzyła je szeroko i zaczęła się wpatrywać w sufit. Szkoda było spać.

Około drugiej zjawiała się ciocia Andzia z Jankiem.

— No i jak tam? — chciała wiedzieć na pół drzemiąca matka Janka.

— Udało nam się wspaniale — powiedziała ciocia Andzia. — Przede wszystkim Grabowska zatrzymała nas na obiedzie, więc nic nie muszę robić. Poza tym narty są jak ulał, a Ewunia dostała na gwiazdkę nowe, więc pożyczyłam je dla Andrzeja z tym, że będziesz musiała zapłacić 140 złotych, bo o kijki bardzo trudno. Janka zaraz położy, żeby odpoczął, bo prawie zasypia.

— Gdzie Andrzej? — spytała matka Janka słabym głosem.

— Został z Ewunią. Wiesz, te narty... Zaraz przyniosę ci coś do zjedzenia i herbatę.

— To doskonale.

Janek usnął jak kamień. Ciocia Andzia zjawiała się z tacą.

— Kto przyprowadzi Andrzeja? — zapytała matka Janka po trzeciej już szklance herbaty z sokiem malinowym.

— Sam chyba przyjdzie — zdziwiła się Andzia.

— Jak to sam? — krzyknęła matka Janka. — Gdzie on właściwie jest? Która godzina?

— Czwarta dochodzi. Jest z Ewunią w parku. Uczy się jeździć na nartach.

— Ale z kim?

— Jak to z kim. Z Ewunią.

— Sam?

— Nie sam, tylko z Ewunią. Ewunia umie jeździć.

— Ile lat ma Ewunia? — spytała matka Janka głosem spokojnym, lecz groźnym.

— Siedem.

— Ubieraj się i idź natychmiast ich szukać. Czy ty wiesz, że Andrzej jeszcze nigdy w życiu nie wyszedł sam poza próg mieszkania?

Ciocia Andzia zbladła. Wstała bez słowa i znikła.

Ciemniało. Ściemniło się zupełnie. Janek spał. Matka Janka maszerowała po pokoju, od okna do drzwi, od drzwi do okna. Andrzeja nie było. Cioci Andzi ani śladu. Po chwili trzasnęły drzwi wejściowe. Wszedł ojciec Janka.

— Co się tu dzieje? — spytał zaniepokojony.

Dlaczego tak cicho?

— Janek śpi.

— A co? Chory?

— Nie, tylko nie chcę go budzić, żeby się ode mnie nie zaraził.

— A gdzie ciocia Andzia?

— Wyszła.

— A Andrzej?

— Jest na nartach z Ewunią.

— Z jaką Ewunią?

— Od Grabowskich.

— Od jakich Grabowskich? Skąd ma narty? Połamie sobie ręce i nogi. Jest ciemno. Jest straszny mróz. Wiatr człowieka przewraca. Czy wyście powariowały?

— Zawsze mówiłeś, że ja Andrzeja trzymam pod spódnicą. Że nigdy nie będzie sportowcem. Jest w parku. Albo w Ujazdowskim, albo w Łazienkach. Może Paderewskiego...

Pod drzwiami wejściowymi rozległo się tupanie. Ojciec Janka wypadł jak oparzony.

W progu stał Andrzej cały pokryty śniegiem, okropnie mokry, zziębnięty, za sobą włożył narty i kijki. Był jednak rumiany i tryskał dumą.

— Wdechowe narty — powiedział do ojca. — Trochę się płaczą — ale zjeżdża się klawo. Jeden pan mi je przypiął. Ta druga strasznie przeszkadza. Czy nie można by zjeżdżać na jednej? Czy ty umiesz? Ta rękawiczka mi przymarzła.

Ojciec miał twarz poważną. Po chwili znikli obaj w łazience. Długo ich nie było. Potem poszli do kuchni, gdzie też spędzili dłuższy czas. Unieruchomiona przez gripę matka Janka nasłuchiwała. Wreszcie wyszli na korytarz, gdzie ojciec zaczął uczyć Andrzeja zasad krystianii. Janek przebudził się z krzykiem. Matka Janka słabym głosem wołała męża.

Przez uchylone drzwi wsunął rozpromienioną twarz.

— Poczekaj chwilę. I nie rób mu żadnych awantur. Chłopak ma talent, rozumiesz. Prawdziwy talent. A z Andzią już ja się rozprawię.



## SAKRAMENCKIE PRZEDSZKOLE

— Myśmy dziś sami jechali do przedszkola — zawołał Janek. Nos miał czerwony, z butów lało się błoto na podłogę.

— Dlaczego sami?

— Bo nikogo więcej nie było.

— Dlaczego nikogo więcej nie było?

— Bo grypa — wrzasnął Andrzej.

— Pani kierowniczka ma grypę, panna Kazia ma grypę, pani intentka ma grypę, pani Hania ma grypę i dzieci też. Tylko Kornacki jest zdrowy i Kozłowski strasznie smarka. Dlaczego my nie mamy grypy?

— A czy dali wam obiad? — zaniepokoiła się matka.

— Pewnie, że tak. Jeszcze każdemu wpychali dokładkę.

— I mamy taką lampę, co się goło pod nią leży. Tylko panna Zosia wcale się nie chce rozbierać, a nam każe.

— Jaką lampę? Co ty gadasz?

— Taką fioletową. Trzeba pod nią nosić okulary.

— I rozbieracie się do goła w taki mróz? I potem wychodzicie na spacer?

— Na spacer? My w ogóle nie chodzimy teraz na spacer.

— Sakramenckie przedszkole — mruknęła matka Janka wycierając błoto z podłogi.

— Wyrazy! Mama mówi wyrazy! — ucieszył się Janek i już w kapciach poczłapał do kuchni. — Jestem głodny. Dawaj jeść.

— Dobry znak! — krzyknęła matka Janka do ojca Janka, który właśnie wchodził do mieszkania.

— Jaki znak? — zdziwił się.

— Dziecko chce jeść. To dobry znak. Znaczy się, że grypy nie ma.

— A dlaczego on ma znów mieć grypę? — rozzłościł się ojciec.

— Znów? Przecież jeszcze nie miał!

— Jak to? Dwa tygodnie w listopadzie w łóżku leżał!

— To nie była grypa, tylko angina, i wtedy w ogóle nikt nie chorował. To się nie liczy. Oni dziś sami jechali do przedszkola. Panna Kazia ma grypę.

— Mama, my chcemy jeść!



— I ja też — oświadczył ojciec Janka stanowczo. — I w ogóle chciałbym zaznaczyć, że nie życzę sobie, żeby wciąż o chorobach, a szczególnie o grypie. Ludzie czy w biurze, czy w tramwaju o niczym innym. Zwariować można. Czy jest gorąca zupa?

Był gorący krupnik i przez niedługą chwilę panowało milczenie.

W pewnej chwili Andrzej kichnął do talerza. Krupnik rozprysnął się po stole.

Rodzice spojrzeli na siebie znacząco, lecz powstrzymali się od komentarzy. Matka wytarła szybko ceratę i podała na stół kartofle i buraki.

Janek zakaszłał gwałtownie.

— Jemu nic nie jest — powiedział Andrzej pełnymi ustami. — On nie lubi buraków.

— Chyba ich jednak nie będę dziś kąpała — mruknęła pod nosem matka Janka.

— A ja bym kąpał. Nie trzeba się poddawać psychozie — powiedział ojciec tonem stanowczym. — Dzieci naszych wszystkich znajomych wyrastają na hipochondryków, bo się im ciągle wmawia jakieś choroby: grypy i anginy. A dorośli też. U mnie w biurze Maciejski wciąż trzyma się za puls. Gadasz do niego, a on liczy sobie tętno. Od czasu, jak Kwiatkowski miał ten zawał...

— Mama, dlaczego ja nic nie rozumiem, co tata mówi? — chciał wiedzieć Janek. — Bo mówi jak dorosły — powiedziała matka zbierając ze stołu.

Ojciec Janka, najedzony, rozgrzany, życzliwy dla ludzi, rozsiadł się wygodnie na krześle.

— Chodź tu, Janku — powiedział. — Ja ci to wytłumaczę. Widzisz, puls to jest tutaj, zobacz, tyka jak zegarek. Jak bije za szybko, to znaczy, że człowiek jest chory. A zawał? Zawał to jest taka choroba serca. Serce też tak tyka jak zegarek. O, posłuchaj.

— Kto mówi o chorobach? — odezwała się matka Janka od zlewu.

— To dobrze — Janek zeskoczył z kolan ojca. — Andrzej, chodź, będziemy się bawić w szpital.

Znikli w swoim pokoju. Gdy w kuchni już było posprzątane, matka wypaliła w spokoju papierosa, a potem podniosła się z krzesła.

— No co, chyba ich wykąpiemy — westchnęła.

— Wykąpiemy — potwierdził ojciec stanowczo.

Chłopcy byli bardzo zajęci. Andrzej rysował na papierze tarcze zegarowe, które starannie wycinał. Janek układał zwierzęta pod kołdrą.

— Misiowi już jest lepiej. Miał wdechową grypę, ale przyłożyliśmy mu zegarek. Poczekaj, zaraz będzie miał anginę...

## PEKŁY RURY

To nie był dobry dzień. Mimo że niedziela. W sobotę rodzice Janka wrócili późno z imienin jednego redaktora i od rana bolały ich głowy. O ósmej matka wstała, nałożyła szlafrok i poszła do pokoju dzieci. Janek i Andrzej w piżamach siedzieli na dwóch krzesłach ustawionych na stole i łowili ryby. Andrzej siedział przy sterze, a Janek zapuszczał wędkę sfabrykowaną z ciupagi, do której przymocowane było sznurowadło z butów ojca, lekkomyślnie pozostawionych w kuchni.

W pokoju było zimno. Mieli czerwone nosy i sine nogi.

— Powariowaliście! — krzyknęła matka. — Marsz do łóżka. Jest jeszcze noc. Ojciec źle się czuje. Ja się źle czuję. A wy się pochorujecie.

— Co będzie ze śniadaniem? — zapytał rzeczowo Andrzej.

— Jeszcze czas na śniadanie. A zresztą, ubierajcie się. Dam wam mleko i chleb i wracam do łóżka. Dostaniecie po dwa złote, jeżeli się będziecie cicho bawić.

— Cztery złote — powiedział Janek spokojnie i stanowczo.

— Trzy — matka machnęła ręką i znikła w kuchni. Wróciła szybko ze śniadaniem na tacy. Chłopcy mówili szeptem i chodzili na palcach. Janek miał sweter nałożony na lewą stronę i próbował wciągnąć lewy but na prawą nogę.

— Ile dajesz za ubieranie się? — chciał wiedzieć.

— W skórę — powiedziała matka. — Wracam do łóżka i żeby was nie było słychać.

Ojciec spał głębokim snem.

Matka Janka nakryła się kołdrą i przymknęła oczy. Powoli nagrzewały jej się nogi. W pokoju było diabelnie zimno, szyby gęsto zamarznięte, wróble żałośnie ćwierkały na balkonie.

„Trzeba je też nakarmić” — pomyślała i zdrzemnęła się.

Śniło jej się, że płynie łódką po jeziorze. Słońce przygrzewało, Janek i Andrzej łowili wielkie, kolorowe ryby, ojciec wiosłował. Łódź kołysała się łagodnie.

Poczuła, że przygniata ją wielki ciężar, i próbowała się zerwać, lecz nie mogła. Janek siedział jej okrakiem na brzuchu i łachotał ją końcem wędki w czoło.

— Wstawaj, u nas kapie. Ale nie krzycz, bo myśmy tego nie zrobili.

Boso, w nocnej koszuli pobiegła do pokoju dzieci. Sufit był zalany wodą, woda kapiała na podłogę, lała się po ścianach. W kuchni to samo. To samo w łazience.

— Łobuzy! — wrzasnęła. — Andrzej, idź, obudź ojca. Jak wyście to zrobili?

— To nie my — powiedział Andrzej rzeczowo. — To pewnie ta Zosia, co mieszka nad nami.

— Jaka znowu Zosia?

— Ta, co ma złote guziki przy swetrze i co jej ząb wyleciał z przodu.

Ojciec Janka na widok sufitu i ścian szybko oprzytomniał.

— Musiał im trzasnąć kaloryfer na górze — zdecydował. — Zaraz tam pójde.

— To i ja idę z tobą, bo chcę zobaczyć, czy wypadł jej ten drugi — zawołał Andrzej.

Po chwili z łazienki rozległ się zrozpaczony krzyk ojca:

— Nie ma wody w kranach! A niech to diabli wezmą!

Dzwonek u drzwi. W drzwiach trzy postacie z kubłami.

— Czy u państwa może jest? Bo u nas nie ma.

— U nas też nie ma — powiedziała uprzejmie matka Janka owijając się mocniej szlafrokiem.

— Jak to nie ma? Jest pełno! — zawołał Janek. — Leje się w pokoju i w kuchni.

Matka Janka zatrzasnęła drzwi.

— Ja się dzisiaj już chyba nie ubiorę.

— Dam ci dwa złote — zaofiarował się Janek.

— Jakie dwa złote? — przerwał mu Andrzej.

— Te, co dostanę za to, że się ubrałem i że byłem cicho.

— Przecież już ich nie masz, bo sprzedałem ci za nie moje ryby.

— Jakie ryby? — chciał wiedzieć ojciec. — Te na niby, co złowiłem.

— Czy wszystkie dzieci są takie dziwne? — westchnął ojciec.

— Wszystkie — powiedział Janek poważnie. — Kasiński nawet mówił raz, że złowił wieloryba i potem sprzedawał tran. Mama, mnie jest zimno. Zobacz, woda leje się na wszystkie książki.

— I weź dwa kubły — krzyknęła matka Janka do wychodzącego ojca. — I przy okazji od razu przynieś wody z sąsiedniej kamienicy, bo nie ma z czego zrobić herbaty.

Po godzinie wrócił ojciec w bardzo dobrym humorze i bez wiader.

— Gdzie byłeś? — zdenerwowała się matka Janka. — Gdzie kubły? Kubły dziś to skarb. Gdzie woda? I w ogóle dlaczego wyglądasz, jakby cię głowa już nie bolała?

— Wody dziś nie będzie — zawyrokował ojciec. — Na górze pękły kaloryfery. Znaleźliśmy z Michalskim, gdzie i co, i zreperowałoby się, bo to głupstwo, tylko narzędzi nie mamy. Poza tym zamarzyły rury, bo jest 22 stopnie zimna. Michalskim zalało spiżarnię.

Pomogłem im powynosić zapasy. Mają doskonałą dereniówkę i wiśnie w alkoholu, i domową śliwownicę.

— Chłopcy, wkładamy wszystkie swetry i jedziemy do stryjka — powiedziała matka Janka energicznie.

— Pewnie — powiedział Janek. — Z tego mieszkania już nic nie będzie.

Ojciec nic nie mówiąc wyszedł, pewnie po kubły. Chłopcy wraz z matką, owinięci w swetry i szale, ruszyli na dół schodami. W bramie spotkali ojca niosącego wodę.

— Jak się ogolisz — powiedziała matka Janka łagodnie — to przyjdź do Heniów na obiad.

Na dworze panował okropny mróz. W autobusie było mało ludzi i bardzo zimno. Janek zaraz zaczął bawić rozmową jakąś osobę, która była tak pozawijana w różne wełniane szmaty, że widać jej było tylko oczy.

— U nas zalało mieszkanie — chwalił się — i nie ma wody, bo rury popękały. A myśmy łowili ryby.

Opatulona osoba coś mruzczała pod nosem.

— Nie mamy teraz gdzie mieszkać — mówił dalej Janek. — Chyba pójdziemy do lasu i wilki nas zjedzą.

Opatulona kiwała powoli głową.

— A zresztą — dodał Janek i zaczął chuchać w szyby — a zresztą możemy zawsze zabrać ojca i mamę i przenieść się do przedszkola.

## WYJAZD

Matka Janka knuła coś od kilku tygodni. Prowadziła w tej sprawie długą i częstą korespondencję z ciocią Andzią. I udało się. Ciocia Andzia poświęciła się.

— Chłopcy! — powiedziała matka Janka w pewien piątek. — W niedzielę rano przyjeżdża ciocia Andzia i wieczorem zabierze was do Karpacza na dwa tygodnie. Tam są góry i śnieg, i różne dzieci. Będziecie mieszkać u babci Rogalskiej.

— Ja nie dam sobie postawić baniek — powiedział Janek od razu. — Czy dostanę sanki?

— Sanki pewnie tam będą — uspokoila go matka. — W Warszawie też są, ale bardzo drogie. Pożyczycie sobie od kogoś. Andrzej, weźmiesz narty?

— Pewnie, że wezmę. Tylko kup mu sanki, bo on mnie zamęczy.

— Sanek nie kupię, bo nie mam pieniędzy, chyba że pójdziecie piechotą do Karpacza.

Zaczęli się nad tym zastanawiać, a matka Janka wzięła się do cerowania, łatania i przyszywania guzików.

— Poproś ojca, żeby zdjął walizkę z pawlacza — powiedziała do Andrzeja.

Pobiegli obydwaj do pokoju i po chwili wrócili.

— Tata zły.

— Dlaczego?

— Mówi, że zajęty.

— A co robi?

— Nic nie robi.

— Nic?

— No nic. Czyta.

— No to dajcie mu spokój.

— Tata to nigdy nic nie robi, tylko albo czyta, albo pisze — powiedział Janek. — Ja muszę mieć oddzielną walizkę, bo ja mam różne rzeczy do zabrania. Pojadą wszystkie zwierzęta i garaż, co mi zrobił stryjek na imieniny.

— No chodźcie, pomożecie mi ułożyć na łóżku wszystko, co jest do zabrania, a potem zapakujemy — powiedziała matka Janka, która od kilku dni była we wspaniałym humorze.

Po pewnym czasie w pokoju dzieci zjawił się ojciec Janka.

— Dajcie spokój! — krzyknął od progu. — Czy oni muszą to wszystko zabrać? Przecież jadą tylko na dwa tygodnie. I w ogóle, skąd oni mają tyle tych łachów. To niesłychane!

— Jest zima — tłumaczyła matka Janka cierpliwie. — Dzieci muszą mieć swetry, wiatrówki, zapasowe buty, zapasowe skarpetki wełniane, ciepłą bieliznę, po dwie pary rękawiczek, czapki...

— Już teraz rozumiem, dlaczego od pięciu lat nie mogę sobie sprawić nawet pary portek, nie mówiąc o zapasowych — powiedział ojciec. — Hej! — krzyknął nagle. — Skąd Andrzej ma granatowe spodnie narciarskie? To przecież z mojego jedyne go wizytowego ubrania! — Dzieci, chodźcie do kuchni — powiedziała matka Janka szybko. — Czas na kolację. A ty mógłbyś nam zdjąć walizkę z pawlacza.

Ojciec Janka wlaź na krzesło, zdjął walizkę i dość hałaśliwie postawił ją na podłodze.

— Tata znów zły — stwierdził Janek. — Dobrze, że wyjeżdżamy.

— No pewnie — dodał Andrzej ustami pełnymi chleba z marmoladą. — Odpocznie się trochę od niego.

— Jesteście bezczelni — zdenerwowała się matka. — Wstyd mi przed babcią. Jak wy się odzywacie? To skandal.

— Powiemy jej, żeśmy się nauczyli w przedszkolu — uspokoił ją Janek.

— Pakować będziemy jutro — oświadczyła matka Janka. — Dzisiaj wszystko poreperuję. A wy zdecydujcie się, które książki jadą. Każdy może zabrać po jednym zwierzaku, po jednej zabawce i po dwie książeczki.

— Ja muszę garaż — wrzasnął Janek.

— Słyszałeś, że nie wolno — wrzasnął Andrzej.

— Bo ci dam.

Mały, nie bądź taki śmiały, Bo jak przyjdzie duży, To ci łeb okurzy...

— Odkurzy.

— Okurzy! Mama, on się kłóci.

Chciałabym już być o dwa dni starsza — westchnęła matka Janka. — Ja bym chciał być o dwa lata starszy, to będę u starszaków — powiedział Janek z głębi serca.

— Pójdziemy we wtorek do teatru — rozmarzył się ojciec Janka wieczorem, gdy już chłopcy spali. — Zaprosimy Zosię i Maćka na kolację. Zrobisz sałatkę śledziową, która szkodzi Jankowi. W niedzielę ugotujemy kapuśniak na żeberkach, potem pójdziemy na kawę na Stare Miasto, a wieczorem do kina... Będzie można wreszcie wyciągnąć wszystko z

pawlacza i zobaczyć, co się tam dzieje, z tym, że nikt nam tego nie rozwlecze po mieszkaniu. Będzie mnóstwo wolnego czasu.

— Słuchaj — powiedziała matka Janka cicho — w niedzielę... w niedzielę się wyśpimy.

Rozległo się wołanie Janka. Matka zerwała się z uśmiechem i bez słowa protestu pobiegła do pokoju dzieci.

— Ja chcę zabrać garaż — mazał się Janek. — Inaczej nie pojedę.

— Weź garaż, kochanie, weź, co chcesz, weź sobie taczkę i grabie, i kubeł od węgla.

Otuliła go kołdrą. Leżał uśmiechnięty, ciepły, zadowolony, i

Minęło pół godziny. Przed matką Janka piętrzyły się zacerowane skarpetki, koszule z poprzyszywanymi guzikami, pięknie połatane podkoszulki i majteczki. Ojciec Janka pisał coś przy stole. Znow rozległo się wołanie. Ojciec uspokajająco kiwnął głową i sam udał się do pokoju dzieci. Wrócił po chwili z zatroskaną miną.

— Wiesz — powiedział — ten Janek to jednak dziwne dziecko. Nie wiem, dlaczego Andrzej nigdy takich rzeczy sobie nie wymyślał. Powiedział mi, że absolutnie nie chce brać kubła od węgla do Karpacza. Musiałem mu przyrzec. Mam nadzieję, że teraz już uśnie na dobre.

## LISTY

### **Babcia Rogalska z Karpacza do rodziców Janka w Warszawie**

*Kochane dzieci!*

*Andzia z dziećmi dojechali szczęśliwie, chociaż Andrzej gonił się z jakimś chłopcem po korytarzu i podarł mu spodnie. To nie była wina Andrzeja, bo ten chłopiec zahaczył o gwóźdź, który sterczał w drzwiach przedziału. Andrzej go tylko gonił. Jednakże matka tego chłopca była bardzo zdenerwowana. Powiedziałam jej na dworcu, że przed wojną nie było gwoździ w pociągach i że dzieci są dziećmi. Moi kochani, chociaż już dużo czasu upłynęło, jak miałam do czynienia z małymi dziećmi, te staram się je zrozumieć i przystosować się do różnych nowomodnych wybryków, których dawniej się nie znało. Na przykład — żeby taki mały chłopiec jak Andrzej miał jeździć na nartach! To nonsens!*

*Moi kochani! pożyczylam od sąsiadów saneczki dla Janka. Ale on ich nie chce, bo są z oparciem. Powiada, że musi zjeżdżać na „śledzia”, i ani ja, ani Andzia nie wiemy, o co mu chodzi. Może byście napisali. Muszę przerwać, bo są jakieś krzyki... Jest wieczór i chłopcy śpią. Andzia też się położyła, i zaraz zasnęła. Wykąpałyśmy ich w balii. Napiszcie, czy naprawdę trzeba codziennie. Nie chcę nic zmieniać w ich przyzwyczajeniach, bo to przecież wasze dzieci, a nie moje, i za dwa tygodnie wrócą do was. Kończę już, bo się oczy kleją. Chciałabym, żebyście pamiętali, że ich pobyt tutaj jest dla mnie prawdziwą przyjemnością. Mam nadzieję, że odpowiednio wykorzystacie ten czas i dobrze sobie odpoczniecie. Czy to prawda, że doktor zabronił Andrzejowi pić mleko?*

*Wasza matka.*

### **Matka Janka z Warszawy do przyjaciółki w Łodzi**

Warszawa w marcu.

*Miła Jadziu!*

*Od trzech dni mieszkamy sami, bez dzieci, w dwóch pokojach z kuchnią i łazienką. Wczoraj przyszli dwaj młodzieńcy i dokładnie wymierzili nasze mieszkanie. Wobec tego, że*



*chłopców nie ma — wyjechali na dwa tygodnie do mojej matki do Karpacza — musiałam im pokazywać wszystkie zabawki, żeby mi uwierzyli, że mieszka nas tu czworo, a nie dwoje. Bawili się przez pewien czas elektrycznym samochodzikiem Andrzeja, potem coś tam mierzyli, powiedzieli, że mamy 45 metrów, i wyszli z poważnymi minami. Już w drzwiach dodali jeszcze, że metraż jest w porządku. Nie masz pojęcia, co to jest mieszkać w takim mieszkaniu we dwoje. Chodzimy po pokojach i gwiżdżemy. Mój małżonek kąpie się o dwunastej w nocy i śpiewa w wannie na cały głos piosenki z „Mazowsza”. Pożyczył gramofon od jakiegoś kolegi biurowego i gra wieczorami płytę za płytą. Sąsiedzi skarżą się, że od czasu jak dzieci wyjechały, u nas są straszne hałasy. Nazajutrz po ich wyjeździe ugotowałam bigos — i jemy go codziennie, żeby nie było gotowania. Byliśmy dwa razy w kinie. Raz na włoskim filmie, raz na naszym, krajowym. Znasz mego męża. Kręcił nosem, że te nasze dziewczyny takie czyste i brzydkie, a te Włoszki takie brudne i ładne. Byliśmy w teatrze, a potem na kolacji w restauracji. Bardzo kosztowne warszawskie wakacje. Dzieci to jednak duża frajda. Często myślę, że ty powinnaś sobie jednak zafundować przynajmniej dwoje. Zastanów się nad tym.*

*Twoja Marysia.*

### **Babcia Rogalska z Karpacza do rodziców Janka w Warszawie**

*Moi kochani!*

*Możecie się zupełnie nie niepokoić o dzieci. Są w doskonałej formie i zrobili tu masę znajomości. Przyprawiają różne dzieci na podwieczorek. Są bardzo wesole i wciąż mówią, zwłaszcza Janek ma zawsze coś do powiedzenia. Ty, moja Marysiu, nie byłaś w jego wieku taka rozwinięta. Nie przypominam sobie też, żeby z tobą było tyle roboty, co z tą parą. My z Andzią wciąż albo gotujemy, albo zmywamy, albo pomagamy im się ubierać, myć czy rozbierać. Jest też trochę kłopotu z sąsiadami, szczególnie bezdzietnymi, którzy nie chcą zrozumieć, że dzieci są dziećmi, co im stale muszą powtarzać. Ale pamiętajcie, że ich pobyt tutaj jest dla mnie prawdziwą przyjemnością, i wykorzystujcie wasz urlop, jak możecie. Pociągi do Warszawy chodzą codziennie, jednakże koło pierwszego i piętnastego jest duży tłok, zastanówcie się więc, czy nie lepiej by było, dzieci jechały kilka dni przed pierwszym. Andzia jest mizerna. Chce pojechać przynajmniej na tydzień do Zakopanego, jak się to skończy, to znaczy, jak uda się jej dostać miejsce w „Orbisie”.*

*Wasza matka.*

*P.S. Już wiemy, jak się zjeżdża na „śledzia”. Tak zjeżdżają tu teraz wszystkie dzieci.*

**Matka Janka z Warszawy  
do swojej matki w Karpaczu**

*Warszawa w marcu.*

*Kochana mamusiu!*

*Dziękuję ci bardzo za listy. Cieszymy się, że masz tyle radości z pobytu chłopców. Dowiadywałam się o pociągi. Rzeczywiście jest duży tłok w okresach urlopowych. Wobec tego trzeba będzie poczekać kilka dni po pierwszym. Proponujemy, żeby dzieci zostały do piątego. Ty je tak rzadko widzisz i wiemy, ile radości sprawia ci ich obecność w tym nudnym Karpaczu. Ucałuj Andzię i chłopców. Te krzyżyki to są całusy: ++++++ dla Janka ++++++ dla Andrzeja.*

*Prawda, że obcowanie z takimi szczeniakami odmładza człowieka?*

*Twoja Marysia.*

## POWRÓT DZIECI

Mżyło, jak to zwykle na dworcach o siódmej rano.

Z pociągu wysypało się mnóstwo ludzi, dzieci, walizek, nart, dwa psy na smyczach i kilka par saneczek.

Janka, Andrzeja ani cioci nie było widać.

— Nie przyjechali — stwierdził ojciec Janka.

Przeszli raz jeszcze wzdłuż pociągu. Przy jednym z okien spostrzegli splaszony nos i dwoje dużych oczu.

— Janek!

W przedziale ciocia Andzia próbowała metody perswazji.

— Czyście zwariowali! — krzyknęła matka Janka. — Czemu nie wysiadacie?

— Bo jeszcze nie było Krakowa — powiedział Andrzej bardzo stanowczo.

— Ale tu jest Warszawa i pociąg zaraz odejdzie na boczny tor. Wysiadać!

— Myśmy chcieli zobaczyć Kraków.

— Pociąg nie jedzie przez Kraków. To nie moja wina — tłumaczyła się ciocia Andzia.

Ojciec Janka wytaszczył już walizkę na peron i stał bezradny.

Po chwili całe towarzystwo wyszło z przedziału.

— Ty jednak doskonale umiesz sobie z nimi radzić — powiedziała ciocia Andzia do matki Janka z uznaniem.

— No, oczywiście. To jest tylko kwestia autorytetu — matka Janka wyprostowała się i spojrzała na ojca Janka. — Wiesz co, weźmy taksówkę.

— Taksówkę? — zdziwił się ojciec Janka. — Przede wszystkim nie zmieścimy się, a poza tym to będzie kosztowało jakie osiem złotych.

— Ty możesz jechać wprost do biura tramwajem — zdecydowała matka Janka. — My się już zmieścimy. Ja funduję.

— Rób, co chcesz, mnie się wydaje, że to nonsens.

— Tatuś się wyraża — powiedział Janek wysokim głosem. — Nonsens, ponsens.

— No to ja już jadę do biura, tylko was załaduję. A jak będziesz niegrzeczny, to taksówką nie pojedziesz.

— Kiedy mama obiecała, że jak wyjdziemy grzecznie z pociągu, to pojedziemy.

— Nie ma to jak autorytet — stwierdził ojciec.

— Jak co?

— Nie marudźcie, nie marudźcie — matka Janka torowała sobie zręcznie drogę nartami Andrzeja.

— Ciocia Andzia bardzo ładnie chrapie — powiedział Andrzej do grubego pana w zielonym lodenie. — Niech pan patrzy, już skończyli budować Pałac Kultury.

— Pałac Kultury, nauki i na sztuki — poprawił go Janek.

— Tam będzie kino — uświadomił Andrzej grubego pana — i kukielki, i centralne ogrzewanie, i winda...

— U nas w domu też jest winda — dodał Janek.

— Tylko że zawsze zepsuta — przekrzyczał go Andrzej.

— Pewnie — ożywił się pan w lodenie. — Tak jak wszystko w dzisiejszych czasach.

— W czym? — zapytał Janek uprzejmie. Pan w lodenie wzruszył ramionami i przyspieszył kroku.

Już w taksówce przegonili w alejach pana w zielonym lodenie.

— Bardzo podobny do Bęc—Walskiego — stwierdziła ciocia Andzia. — Czy wszystkie dzieci zwracają się obcym ludziom?

— Nie znam innych dzieci.

— Lubisz psy? — zapytał nagle Andrzej poważnie.

— Lubię, bardzo lubię. Przestań się wiercić, bo ci narty spadną na głowę.

— Myśmy z babcią obiecały im psa — szepnęła Andzia niepewnym szeptem. — Widzisz, nie mamy twojego autorytetu i nie chciałyśmy ich bić. Były bardzo grzeczne, jak im się mówiło, że dostaną psa po powrocie do Warszawy.

— Pomówimy o tym później — powiedziała matka Janka pośpiesznie. — Wsiadajcie.

W godzinę później, gdy matka Janka i ciocia Andzia sprzątały kuchnię po śniadaniu, wpadł Andrzej czerwony na twarzy.

— Gdzie jest ta rączka, co się odłamała od mojego kubelka? A grzebień misia? A kurek od lokomotywy? A ta złamana ciupaga, co ją dostałem od Henia? Poginęła masa rzeczy. Janek nie może znaleźć tego pudełka od waweli, w którym była plastelina.

— To nie ja, to pani Gasińska — powiedziała matka Janka szybko. — Robiło się porządki świąteczne. Nie widzisz, że okna są umyte?

— Nie widzę. Ale co ona zrobiła z naszymi zabawkami?

— Pewnie wyrzuciła te, co były połamane. Rozległ się straszny ryk z pokoju dzieci.

— Gdzie jest ten obgryziony zielony ołówek? — wrzeszczał Janek.

Płakali obydwaj na cały głos.

— Zrób coś! — krzyknęła matka Janka do cioci Andzi. — Ja muszę zaraz iść do pracy, bo się spóźnię. Oszaleć można.

Ciocia Andzia poszła do pokoju dzieci i po chwili zapanowała cisza.

Matka Janka ubrała się i przed wyjściem zerknęła przez szparę w drzwiach do pokoju dzieci.

— Będziecie go musieli codziennie czesać — mówiła ciocia Andzia. — I pamiętać, żeby miał zawsze w miseczce świeżą wodę.

— I będziemy mu dawali zupę i tran — zawołał Janek.

— I będziemy go codziennie wyprowadzali na spacer — dodał Andrzej.

— Dobrze, dzieci, a teraz zastanówmy się, jak się będzie nazywał?

— Jak się będzie nazywał? — spytała matka Janka.

Był wieczór. Ojciec Janka próbował naprawić lokomotywę Andrzeja, której odpadły dwa koła.

— Kto?

— No pies.

— Czyj pies? — Nasz pies.

Lokomotywa z trzaskiem spadła na podłogę.

— Uważaj, obudzisz dzieci. Musimy zdobyć psa. Andzia i babcia obiecały im. U Grocholskich są szczeniaki. Wszystkie już rozprzedane, tylko został jeden sfelerowany, bo ma białą łatę na piersi. Oddają go za pół ceny.

— Skąd ty to wszystko wiesz? I co to za kundle?

— To nie kundle, tylko czarne rasowe pudle. Ten sfelerowany jest najmniejszy, ale bardzo ładny. Byłam tam po południu i zadatkowałam.

— Zadatkowałam sfelerowanego pudła?

— Przecież nie chcemy psa na pokaz, tylko dla dzieci.

— Nic mi nie wiadomo, że chcemy psa dla dzieci.

— Przepadło — powiedziała matka Janka. — Zresztą powiedziałam im, że ty jutro po biurze przyjdiesz go zobaczyć. Jeżeli go nie chcesz, to zwrócą zادةk. Jak my go nie weźmiemy, to kupią Królikowscy.

— Ja bym nie chciał być psem Królikowskiego. To brutal.

— No widzisz, też sobie tak pomyślałam. Jak usłyszałam, że może się dostać w ręce Królikowskiego, to z miejsca dałam zادةk.

— Ale dajże pokój, kto się nim będzie opiekował przez cały dzień, jak nas nie ma w domu?

— On jest do wzięcia dopiero za dwa tygodnie, a ja po Wielkanocy przecież zaczynam pracę w bibliotece i nie będę musiała chodzić tak rano do biura. Pies to doskonały towarzysz dla dzieci. We wszystkich książkach pedagogicznych mówią, że dziecko wielkomejskie pozbawione kontaktu z przyrodą...

— To potworne zawracanie głowy. Ja umyłam rękę. Gasińska ci zrobi dziurę w brzuchu o podłogi. Dywan trzeba będzie zwinąć na kilka miesięcy. Myślę, że powinien spać w kuchni, a może lepiej w korytarzu. Podobno niezdrowo, jak pies śpi w sypialni. Chociaż, jak mu codziennie trzepać—materacyk? Tylko żeby nie skakał na łóżko. Trzeba go od razu przyzwyczaić, żeby chodził przy nodze. A co do jedzenia, to wiem, że...

— Pójdiesz tam jutro, to zobaczysz sam. Pozostawiam tę sprawę całkowicie do twojej decyzji. Mógłby się nazywać Wicus.

— Ale skąd. Gdzie tam Wicus. Może być Dżok?

— Skąd? Lepiej Kajtuś.

— Mowy nie ma. Najlepiej Fafik.

— Fafik to nazwisko redaktora „Przekroju”.

— Przestańcie się kłócić — powiedziała ciocia Andzia spokojnie. — O ile się nie mylę, to sprawa imienia psa jest przesądzona. Andrzej i Janek to ustalą. Jutro mają ogłosić ostateczną decyzję.

## „NA GAZETĘ”

Pies miał pięć tygodni, czarny nos guzikowy, zamglone ślepia, długie uszy, niepokojąco wielkie łapy i płakał jak niemowlę chore z przejedzenia.

— Ja go się wcale nie boję — oświadczył Janek i podciągnął nogi pod siebie.

— On się boi takiego małego psa — powiedział Andrzej pogardliwie. — Taki pies to jeszcze nawet nie gryzie.

— A później będzie gryzł? — chciał wiedzieć Janek.

— No! — potwierdził Andrzej krótko.

— Dlaczego on wciąż płacze?

— Bo mu tęskno za swoją mamą i za swoimi braciszkami — pouczał Andrzej.

— Za braciszkami? — zdziwił się Janek. — Na pewno nie. Kto by tęsknił za braciszkami?

Pies zawodził przenikliwie.

— Poczekaj! Dam mu zabawkę. — Andrzej poleciał i po chwili wrócił z wypchanym słoniem. Pies wył dalej.

Janek przyniósł mu drewniany samochód. Pies zawodził.

Matka Janka gwizdała z kuchni.

— Chodź tu, pieseczku, dostaniesz mleczka.

— On nie będzie pił mleka — zaopiniował Janek fachowo. — Mleko jest obrzydliwe.

— Mamo, on nasiusiał na dywan! — wrzasnął Andrzej.

Ojciec Janka szybko schwycił gazetę i rozłożył ją na podłodze.

— W książce pod tytułem Wychów młodego psa piszą, że trzeba nauczyć psa czystości „na gazetę” — powiedział przyglądając się uważnie mokrej plamie. — Trzeba psu przed nosem mocno pomachać gazetą, wytrzeć tąże gazetą plamę, położyć inny kawał gazety na podłogę, szybko przenieść psa na tę gazetę i mówić stanowczym głosem: „Na gazetę, na gazetę!”

— Na to trzeba co najmniej dwu osób — rzuciła matka Janka mimochodem.

— Jak pies nauczy się załatwiać na papier, wtedy można przystąpić do drugiej fazy nauki — ciągnął ojciec Janka wycierając plamę.

— Wyrzuć „Nową Kulturę” — krzyknęła matka Janka. — Jest niewsiąkliwa! Najlepsze „Życie Warszawy”.

— O, tu, tu, nowa plama — ucieszył się Janek. — Ja mu pomacham przed nosem, dobrze?

W kuchni pies nie chciał pić mleka, natomiast zrobił trzecią pokąźną plamę.

— Trzeba mu dodawać fosforan wapnia — pouczał ojciec Janka. — Witaminę A i D. Witaminę E, żeby miał połyskliwą sierść i żywe oczy, no i koniecznie tran, żeby nie miał krzywicy. — Na gazetę, na gazetę! A niech cię... Będę musiał jeszcze zaabonować „Głos Pracy”, bo nie nastarczymy.

— Gdzie on będzie spał? — chciał wiedzieć Janek.

— W naszym pokoju — zdecydował ojciec Janka. — To mu nie będzie smutno.

— No to dobrze, niech śpi u nas. I trzeba wreszcie nadać mu imię. Czy wy się nigdy na nic nie zdecydujecie?

— Lejek — zaproponował Janek.

— Bo ciągle leje.

— Lepiej Robby, bo ciągle robi.

— Mowy nie ma — zachnął się ojciec Janka. — To brzmi za bardzo z angielska.

— No to Lejek — zgodził się Andrzej.

— O, tata widzi, on się też zgadza, już leje.

W koszu wyścielonym najlepszym frotowym ręcznikiem Lejek spał do północy snem kamiennym. O północy zaczął przeraźliwie płakać.

— Trzeba mu dać pić — stwierdził ojciec Janka przez sen.

— Trzeba — zgodziła się matka Janka.

— Może go coś boli?

— E, pewnie tak zawsze pierwszą noc.

— Jeden mój znajomy major powiedział, żeby psu na pierwszą noc położyć do legowiska budzik zawinięty w ręcznik, to mu będzie tykało jak serce matki — ziewnął ojciec Janka. — Może by mu tak dać budzik?

— Można mu dać.

— A może jest głodny?

— Może. Do tego wszystkiego trzeba jednak wstać z łóżka.

Ojciec Janka zamruczał i zaczął szukać rannych pantofli. Znalazł je pod oknem, koło świeżej kałuży.

— Jaki chytry piesek, już się bawi pantoflami. No chodź, Lejek, chodź, pójdziemy do kuchni.

Matka Janka usnęła natychmiast. Obudził ją jęk psa.



— Doskonała kielbasa — stwierdził ojciec Janka.

— Chyba mu nie dałeś kielbasy?

— Pewnie że nie. Zrobiłem sobie kilka kanapek i wypilem butelkę piwa. Jestem głodny, jak mi nie dają spać. Nie ma co, trzeba będzie poczytać, bo o spaniu mowy nie ma. Pies będzie tak wył przez trzy noce. Dałem mu budzik, ale nie chce nawet słuchać. Gdzie masz gazety?

— Gazety? Wszystkie zużyte. Przynies jakie dwie powieści z półki. Co ci jest, Lejek? No chodź tu, chodź!

Nad ranem pies umilkł. Ojciec Janka wstał na palcach z łóżka. Pies leżał w jego bucie z pończochą matki Janka w pysku. Uśmiechał się.

## PSÓW WPROWADZAĆ NIE WOLNO

— Dlaczego ja muszę jechać na kolonie? — zapytał Janek nad talerzem pełnym czereśni?

— Pamiętaj, żebyś wypluł pestki — odpowiedziała ciocia Andzia.

— Pamiętam, ale dlaczego ja muszę jechać, kiedy nie chcę?

— Wcale nie musisz, nie pleć. Tylko że to dobrze dla ciebie, bo tam są twoi koledzy i jest świeże powietrze, i my też musimy kiedyś odpocząć, i nie jedz tyle czereśni, bo cię brzuch rozboli.

— To ja zabiorę Lejka. — Nie ma mowy.

— Dlaczego?

— Bo kolonie nie są dla psów.

— Dlaczego?

— Bo jakby każdy zabrał psa, to by było więcej psów niż dzieci.

— Nieprawda! — krzyknął Andrzej — to by było tyle samo psów co dzieci! A może o jednego mniej, bo Niedzielscy są bliźnięta.

— Bzdura! — powiedziała ciocia Andzia. — Zdejmuj portki, to ci przyszyję guzik.

— Ciocia zawsze zagaduje — stwierdził Andrzej. — Ja się bardzo cieszę na te kolonie, bo tam nie trzeba ciągle myć rąk, tylko nogi wieczorem.

— Zdejmuj portki szybko, bo zaraz przyjdzie tata, to was weźmie ze sobą na ciastka — powiedziała ciocia Andzia.

Andrzej stał jeszcze bez portek, gdy Lejek pobiegł w podskokach do drzwi, w których właśnie zazgrzytał klucz.

— On zawsze jest pierwszy — oburzył się Janek i wpadł na ojca. — No co? Idziemy?

— Idziemy — powiedział ojciec Janka. — Zabieram was do kawiarni dziecięcej do Cepelii na MDM—ie i stawiam wam podwieczorek.

— Ja będę prowadził Lejka! — krzyknął Janek.

— To pies też idzie? — zaniepokoił się ojciec Janka.

— No pewnie, mama obiecała.

W kawiarni dziecięcej Cepelii był remanent. Przez wielką szybę wystawową widać było trzy sprzedawczynie siedzące na ladach i robiące sobie manicure.

— Zamknięte — powiedział ojciec Janka ponuro — co my teraz zrobimy?

— Obiecałeś ciastka — powiedział Janek groźnie. — Poczekamy, aż otworzą.

— Kiedy nie otworzą, bo jest remanent.

— Nie widać żadnych malarzy — powiedział Andrzej podejrzliwie.

— Nie remont, tylko remanent.

— Tata mówi dziwne rzeczy — rozpląkał się Janek — po to, żeby nam ciastek nie kupić.

— Nie płacz. Co ja poradzę? — szepnął ojciec Janka. — Ludzie patrzą. Pójdziemy tu obok do cukierni na taras. Tam są parasole i dostaniecie lody. Tylko nie wiem, czy tam dzieci wpuszczają.

Na pierwszym piętrze szatniarz spojrział niedobrym okiem na Lejka i zatrzymał ojca Janka.

— Psów nie wolno — oświadczył krótko.

— To dobrze — ucieszył się ojciec Janka — bo ja myślałem, że tu się nie wpuszcza dzieci.

— Też dowcipy — obruszył się szatniarz. — Niech pan wyjdzie z tym psem.

— Lejek! — przypomniał sobie ojciec Janka. — A dlaczego nie wolno?

— Bo nie wolno.

— To się okaże — powiedział ojciec Janka. — Chodźcie, dzieci, idziemy na górę.

Na tarasie nie było parasoli, ale znalazł się wolny stolik. Lejek ułożył się chytrze pod krzesłem Janka. Był niemal że niewidoczny. Nie poruszył się nawet, kiedy kelnerka przyniosła ciastka i lody. Ojciec Janka dyskretnie podkarmił go swoim ciastkiem. Janek i Andrzej robili z lodów zupę. Panowała idylliczna atmosfera.

— To oni — rozległ się nagle głos szatniarza tuż nad głowami Janka i Andrzeja. — To oni, panie kierowniku.

— Gdzie pies? — spytał kierownik krótko.

— Lejek! — zawołał Janek i Lejek wyszedł spod stolika merdając ogonem. — Prawda, jak ładnie ostrzyżony?

— Proszę opuścić lokal — powiedział kierownik wyniośle. — Pies jest nieprzepisowy.

— A jaki ma być? — zapytał ojciec Janka chłodno, lecz uprzejmie.

— Ma go nie być — odparł kierownik kawiarni.

— Dlaczego?

— Dlatego, że są przepisy.

— Przepisy? — zdziwił się ojciec Janka. — że pudle nie? A na przykład bokserzy mogą być?

— Pan sobie kpi ze mnie — rozgniewał się kierownik. — Tu nie chodzi o rasę, tylko o fakt. Psów do lokalów zbiorowego żywienia wprowadzać nie wolno. Zaraz zawołam milicję.

Janek i Andrzej milczkiem, szybko jedli lody.

— Chcę zobaczyć ten przepis — oświadczył ojciec Janka. — Nie wierzę, że nie wolno przyjść na otwarty taras ze szczeniakiem. Co on komu szkodzi?

Kierownik wyprostował się.

— A jak pchła z tego kundla skoczy na lody tej pani? — spytał głosem ostrym jak brzytwa.

Na to dictum zapanowała cisza.

— Kundla — powiedział ojciec Janka przeciągle. — Kundla! No dobrze. Pokazuj pan ten zakaz, inaczej się nie ruszę.

— Mam w biurze, a biuro zamknięte po godzinie czwartej.

— To otwieraj pan.

— Tata — odezwał się Janek — myśmy już zjedli. Możemy iść.

— Ja się nie ruszam, aż nie zobaczę przepisu.

— Kiedy my chcemy iść — powiedział Andrzej. — Wszyscy się na nas patrzą.

— Pies jest przyjacielem człowieka — powiedział ojciec Janka — ale nie w Warszawie. W Warszawie nie wolno z psem w ogóle nigdzie chodzić. Człowiek, który ma psa, jest niewolnikiem, nic nie załatwi, nic nie kupi. Do apteki nie, do kawiarni nie, do sklepu nie. Nawet na otwarty taras nie,

— Nawet do Łazienek nie! — zawołała obok siedząca pani.

— Ani do tramwaju! — powiedział starszy pan z wąsami.

— Tak, jedyne wyjście to mieć — pekińczyka — powiedziała osoba w niebieskim kostiumie i wskazała na zgrabny koszyczek, z którego wystawał wilgotny, czarny nos, otoczony kłębem rudych loków.

— Proszę opuścić salę — rozzłościł się kierownik — to znaczy taras. I to samo dotyczy pekińczyka. Przepis jest jeszcze z 1936 roku.

— Z 1936 roku? — krzyknął pan z wąsami. — Sanacyjne przepisy nam pan tu będziesz stawiał za wzór? Zaraz wiedziałem, że w tym jest coś podejrzanego!

Kierownik poczerwieniał.

— To my idziemy na ulicę — powiedział Andrzej stanowczo — bo zanim tata załatwi z tym panem, to jeszcze potrwa, a Lejek zaraz się zleje.

Pekińczyk warknął krótko, Lejek otarł się o spodnie kierownika i zniknął z Jankiem i Andrzejem na schodach.

Po kwadransie zszedł ojciec Janka. Chłopcy stali grzecznie przed wystawą z zabawkami.

— Wygrałem — powiedział zadowolony.

— Co tata wygrał? Niech tata pokaże — podskoczył Janek.

— No, wygrałem. Musiał otworzyć biuro i pokazać mi ten zakaz. Rzeczywiście sanacyjny, rzeczywiście z 1936 roku. Odpisałem go sobie, bujda taka. W lokalach, w których przygotowuje się lub przechowuje jedzenie, psom przebywać nie wolno. A apteka to co? A Łazienki? A u niego na tarasie przechowuje się jedzenie? A z wami, łobuzami, to ja się w domu rozprawię. Kto wam kazał schodzić na dół z psem, zanim on mi przepis pokazał?

## LIST Z KOLONII

— Dlaczego nie ma wiadomości od chłopców? — denerwowała się matka Janka.

— Bo chłopcy nie umieją jeszcze pisać. — Ojciec Janka rozłożył aparat radiowy na małe kawałki i teraz składał go.

— Dlaczego wysadzasz język? — Mmmm... — odpowiedział.

— Dlaczego rozłożyłeś aparat? Za chwilę będzie koncert, który chcę usłyszeć.

— Mmm...

— Jesteś gorszy od dzieci — stwierdziła matka Janka tonem stanowczym. — Ale dlaczego nie ma od nich słowa? Chyba tam jutro pojedę.

— Nie pojedziesz — zachnął się ojciec Janka. — A niech to wszyscy diabli, ugryzłem się w język. Nie pojedziesz, bo wiesz, że nie wolno. Już dosyć się wyglupiałaś przy wyjeździe. Siłą trzeba cię było wyciągnąć z autobusu?

— Nic podobnego — oburzyła się matka Janka. — A Buraczkowska to co? Pojechała pociągiem i była na kolonii, zanim jeszcze dzieci się zjawily. Cały dzień siedziała w krzakach i obserwowała.

— Wariatka! — stwierdził ojciec Janka krótko.

— Nic podobnego. Złapała swojego Kazia dwa razy, żeby mu nos wytrzeć. Poza tym zdała nam dokładne sprawozdanie o warunkach. Przyłapała naszego Andrzeja, jak kozikiem wycinał coś z deski.

— No i co?

— Kierowniczką ją wyrzuciła.

— To doskonale! — ucieszył się ojciec Janka. — Co zrobiła z kozikiem Andrzeja? Ja mu go podarowałem na drogę. Zwariować można z tymi babami.

— Jak to, co zrobiła? Odebrała mu. Miała czekać, aż się skaleczy?

— Gdzie kozik? — krzyknął ojciec Janka.

— Nie wiem. Nie pytałam się.

— Masz go natychmiast od niej odebrać.

— Ja się denerwuję o dzieci, a tobie chodzi o kozik.

— Mnie chodzi o dzieci. Andrzej miał zrobić ptasznik. Umówiliśmy się, że postawimy go na balkonie na zimę.

— Do zimy daleko, a ja umówiłem się z panną Kazia, tą nową od średniaków, że ona będzie pisała.

— Jak nie przestaniesz mówić, to ja nigdy tego radia nie zreperuję.

— Kiedy ono wcale nie było zepsute, ślicznie grało, poza tym nie mówisz chyba rękami.

Ojciec Janka zerwał się z krzesła.

— Wiesz co, zejdę do skrzynki, może tam coś jest. Lejek, na spacer!

Lejek wygramolił się błyskawicznie spod łóżka. Matka Janka zajrzała tam podejrzliwym wzrokiem.

— Czego szukasz? — chciał wiedzieć ojciec Janka. — On na leżąco nie leje.

Matka Janka bez słowa wyciągnęła spod łóżka jedną wełnianą skarpetkę, pokrywkę od słoika z dżemem i ołówek.

— On w mieszkaniu już prawie nie leje — powiedziała. — Dziś tylko cztery razy i tylko raz na dywan. Poza tym oblewa schody, co jest już bardzo dobrym znakiem, bo świadczy o tym, że domyśla się, że w domu nie wolno. Pudle to bardzo mądre psy.

— Dozorczyni jest innego zdania — mruknął ojciec Janka pod nosem. — No chodź już, idziemy. I żebyś mi części od radia nie ruszała.

— Przecież to radio było zupełnie dobre... Ojca Janka już nie było.

Po chwili wrócił, tryumfalnie wymachując niebieską kopertą.

— Jest, no widzisz, po co się było denerwować.

— Dawaj już albo sam czytaj na głos

— „Kochana mamó — czytał ojciec Janka — to znaczy szanowna pani, bo pani nie jest moją mamą, ale Andrzej dyktuje, więc piszę: kochana mamó.” — Czytaj sama, bo ja nic nie rozumiem.

— Dawaj. To panna Kazia. Przecież to jasne. Ona nie jest moją córką, więc nie może pisać „kochana mamó”. Ma osiemnaście lat. Co ty sobie wyobrażasz, że ja już jestem taka stara? — „Tutaj jest bardzo dobrze, Janek wciąż za mną chodzi i mi przeszkadza, i nie chce jeść płatków, i już nie mam czasu, bo idziemy nad rzekę.” — No, widzisz, tam jest rzeka, a nam nic nie mówili. Potopią się. Janek zaraz dostanie kataru. Ja chyba jutro tam pojedę.

— No i co? To już wszystko? — zapytał ojciec Janka.

— Nie, jeszcze dużo. Tylko tu są jakieś krzyżyki zrobione ołówkiem. — „Te krzyżyki to zrobił Janek, ale niech się pani nie gniewa, bo to mają być pocałunki. Teraz dyktuje Janek. — Kochana mamusiu, całuję cię w buzię i w nos, i w całego człowieka. Czy Lejek nie mógłby tu przyjechać, bo tu są szyszki? — Szanowna pani. Andrzej polecał gdzieś i Janek też, więc poczekam do jutra, żeby jeszcze coś podyktowali. Jest już jutro, to znaczy dziś, i udało mi się złapać Andrzeja, żeby jeszcze coś podyktował, bo rozumiem, że się pani

niepokoi, a ja takiego krótkiego listu nie chcę wysłać. — Kochany tato. — To mówi Andrzej. — Mam nadzieję, że państwo rozumieją, o co chodzi, bo sama zdaję sobie sprawę z tego, że ten list trochę dziwnie wychodzi. O, Andrzej przez ten czas, co ja pisałam to ostatnie zdanie, uciekł na boisko i przeszkadza starszym chłopcom w siatkówce. Zaraz go sprowadzę. Wczoraj nie udało mi się sprowadzić Andrzeja do dyktowania, bo musiał za karę siedzieć w sypialni przez całe popołudnie. Nie chcę się na niego skarżyć, ale przecież muszę wytłumaczyć, dlaczego tyle dni trwa pisanie tego listu. — Kochany tato, jedna pani zabrała mi siłą kozik, co mi dałeś, ale sobie pożyczyłem od Buraczkowskiego. Razem zrobiliśmy ptasznik, ale bez dna. Będzie wdechowa zabawa, jak te ptaki się będą zimą nabierały i wypadały na ziemię z ptasznika. Janek rozbił sobie kolano i od tego czasu kaszle. Jest tu jeden pies, większy od Lejka, ale jakiś głupi, bo wciąż staje przy drzewach na trzech nogach. Nie mam więcej czasu Pa! — Szanowna pani, już chyba wyślę ten list, bo więcej mi się nie uda z nich wyciągnąć. Tu jest bardzo dobrze, wszystko w porządku. Zaraz zabiorę ten kozik Buraczkowskiemu. Z poważaniem — Kazia.”

— No i widzisz, wszystko w porządku — powiedział ojciec Janka zamykając skrzynkę radiową.

— Mówiłam, że Janek się przeziębi, jak będzie wchodził do wody. Już kaszle. Dokąd idziesz z tym radiem?

— Muszę je oddać do naprawy. Jest poważnie uszkodzone. A po drodze wstąpię do Buraczkowskiej po ten kozik.



## SPACERKIEM PO WARSZAWIE

— Pewnie coś ważnego zgubili — powiedział Janek z głębokim przekonaniem.

— Co mieli zgubić? — Andrzej pogardliwym ruchem kopnął kamień i pobiegł za nim Mika kroków, potem znudziło mu się i dał spokój.

— Może pieniądze — spróbował Janek — albo klucze. Na pewno klucze. Mama też ciągle gubi klucze i przewraca wszystko do góry nogami.

— A tata w zeszłym roku zgubił spinkę i okropnie się denerwował, aż ciocia Andzia ją znalazła w mankencie od koszuli.

— A mój stary — powiedział Kowalski — mój stary raz zgubił całą teczkę i krzyczał na mamę, a mnie sprął. Ja nie lubię, jak co w domu ginie, bo zaraz jest na mnie.

— Co ty masz takiego, co jest takie stare? — zainteresował się Janek.

— Stary? To mój ojciec — zdziwił się Kowalski. — A twój nie stary?

— Mój? Bardzo stary — stwierdził Janek. — Ale my na niego mówimy tata. Ja myślę, że oni pewnie zgubili jakieś wiadro, ba bardzo szukają.

— Szyny zrywają — stwierdził Andrzej. — Mama, zostańmy tu chwilę, to zobaczymy, jak się tramwaj wykołei. Nie ma jak Warszawa. Okropnie się wynudziłem na tych koloniach.

— Zobacz, rozwalają takie fajne duże płyty od chodnika. Jak będę dorosły, to zostanę inżynierem od rozkopywania. To lepiej niż być konduktorem.

— Jak będziesz duży — powiedziała matka Janka dydaktycznie — to Warszawa już będzie cała odbudowana.

— Jak myśmy wyjeżdżali na kolonie, to tutaj już też wszystko było odbudowane — powiedział Janek. — Pamiętani bardzo dobrze, bo w tym sklepie ciocia Andzia kupowała nam kredki. Tylko musiało im coś zginąć i wszystko rozkopali z powrotem. Może im pod szyny wpadło?

— Mają wdechową maszynę do rozwalania asfaltu — stwierdził Kowalski. — Tylko że jak człowiek przy niej trochę popracuje, to się potem jąka.

— Mówisz straszne głupstwa — wtrąciła się matka Janka.

— Tak powiedział wczoraj mój stary — burknął Kowalski — a mama się bardzo śmiała i powiedziała, że mój stary...

— Nie mówi się stary na ojca — zirytowała się matka Janka. — Jeszcze by tylko brakowało, żebyś mówił o swojej matce stara.

— Kiedy mój stary mówi na nią stara — stwierdził Kowalski ze spokojem. — Ale tutaj kurz! Znowu każą nogi myć wieczorem. Chodźmy do tej kawiarni dla dzieci na MDM—ie, co jest zawsze zamknięta.

— Nie możemy, bo tam jest remont — westchnęła matka Janka. — Ostatnim razem był remanent, potem była zajęta dla szkół przez cały miesiąc, raz byliśmy rano, to była otwarta dopiero po południu, raz była zamknięta tylko na ten jeden dzień, a raz była zamknięta tylko chwilowo, a raz byliśmy z Lejkiem, to nas nie chcieli wpuścić z psem.

— Ja wolę chodzić wzdłuż tych szyn, co rozkopują — powiedział Jaś. — Może coś się znajdzie.

— Dobrze — Andrzej na znak aprobaty podskoczył na jednej nodze. — Tam dalej jest w oknie Pałac Kultury z cukru, to sobie obejrzymy.

— Z cukru, wieceelka rzeecz — przeciągnął Kowalski. — Trochę dalej pójdziemy i zobaczymy prawdziwy.

— Kiedy ja wolę ten z cukru — uparł się Andrzej — bo muchy po nim chodzą.

— Po tym dużym też chodzą muchy, tylko ich nie widać — powiedział Janek. — Oj, zobaczcie, jak tu nawalili płyty kamienne na trawnik. Jak nasz Lejek biega po trawniku, to dozorca nam grozi milicją. Lejek waży tylko dziesięć kilo, a taka płyta? Mama, ja zapytam tego inżyniera, co robi dziurę w chodniku, ile waży ten kamień.

— Nic go nie pytaj, tylko chodź. Wrócimy do domu. Pani Kowalska się pewnie denerwuje, że nas tak długo nie ma.

— Moja mama się nie denerwuje — oświadczył Kowalski. — Moja mama wie, żeśmy poszli spacerkiem po Warszawie i że to jest duże miasto.

— Lejek jest sam w domu — zachęcała matka Janka. — Trzeba mu dać jeść.

— Trzeba go było zabrać — powiedział Kowalski z wyrzutem. — Żeby psa samego w domu zostawiać...—

— Chodziłbyś po tych ulicach ze szczeniakiem? Nogi by sobie połamał! — krzyknął Andrzej. — On się męczy i chce, żeby go nosić na rękach, inaczej siada ci na środku ulicy i rób co chcesz.

— Ja wolę być kierowcą, jak będę dorosły — odezwał się Janek. — Ty możesz być inżynierem od robienia dziur, a ja wolę być kierowcą.

— Dlaczego? — zdziwił się Kowalski.

— Popatrz, jak oni wjeżdżają w ludzi na przystanku tramwajowym. O, zobacz, jak ta pani śmiesznie podskakuje. Taki kierowca to ma zabawę.

— Jesteś obrzydliwy — powiedziała matka Janka z oburzeniem. — Wróciliście jacyś dziwni z tych kolonii.

— Matki się zawsze czepiają — szepnął Kowalski Jankowi do ucha. — Zupełnie jakbyś ty najeżdżał na tych ludzi. Wiesz co, może oni wcale nic nie zgubili, tylko właśnie coś znaleźli.

— Co?

— Może węgiel. Na pewno węgiel, dlatego nogi takie czarne wieczorem.

— Może... a może sól.

— Chyba nie.

— Może cukier — zaryzykował Janek.

— Cukier jest z buraków — wtrąciła matka Janka niepewnie.

— Eeeee — wszyscy trzej chłopcy spojrzeli na nią z niedowierzaniem.

— Dostałem raz buraka z marcepana, tylko że w środku był biały, a na wierzchu pomalowany — powiedział Kowalski uprzejmie.

— W domu wam wytłumaczę — powiedziała matka Janka — ale na pewno z buraków albo z trzciny. No to marsz, skręcamy na lewo. Chodźcie gęsiego, bo was jeszcze przejadą. I uważajcie na te deski, bo się jeszcze wywrócicie.

Na skrzyżowaniu z otworu kanalizacyjnego wyłoniła się nagle najpierw głowa ślusarza, a potem powoli tułów i reszta ciała. Janek, który siedł pierwszy, stanął jak wryty.

— No widzicie, to jego szukali — westchnął z ulgą. — Musi być jakiś ważny, że całe miasto dla niego rozkopali.

## NA BOCZEK

— Podobno Lejek stał w gazecie — powiedział Andrzej wpychając jednocześnie całą bułkę do ust.

— To nieprawda — oburzył się Janek.

— Od czasu jak on wrócił z kolonii, dodaje przed każdym r literę e — stwierdziła ciocia Andzia. — To bardzo dziwnie brzmi. Trzeba by na to zwrócić uwagę.

— Ja zweracam na to uwagę — powiedział Janek — ale mnie to jakoś wychodzi. W naszej gerupie już wszyscy tak zaczęli mówić.

— Tylko ja nie — stwierdził Andrzej z dumą. — Już drugi raz pytam, czy Lejek stał w gazecie, czy nie.

— Nie — powiedziała matka Janka.

— Tak, w „Przekroju” — powiedziała jednocześnie ciocia Andzia.

— To ja chcę zobaczyć tę gazetę — zawołał Andrzej. — Mnie powiedział Kowalski, a ja mu powiedziałem, że on jest kłamczuch, no i zobacz, jaki mam siniac na nodze.

— Peroszę pokazać Lejka w gazecie — krzyknął Janek.

— Kiedy ja już nie mam tej gazety — wykręciła się matka Janka. — Może jak tata wróci do domu, to wam pokaże.

— Może, może — przedrzeźniał Andrzej ze złą miną. — Jak coś ma być potem, to już nigdy nie jest.

— Filozof — powiedziała matka Janka.

— Żaden znów filozof.

— Nie obrażaj się, bo to nic złego.

— Akurat, nic złego. Ale nie szkodzi, jak jutro tak powiem na Kowalskiego, to będzie dopiero miał. Filozof!

— Ciocia Andzia mnie powie, co znaczy to słowo — poprosił Janek.

— Tata ci powie, jak wróci.

— Jak tata wróci, to ja już dawno zapomnę.

— Przestań z tym wróci, bo nam się w głowie kręci od tego mówienia.

— A dokąd poszedł tata? — chciał wiedzieć Andrzej.

— Poszedł z Lejkiem na spacer.

— A nas nie zabrał!

— Bo poszedł uczyć Lejka do nogi.

— Do czego?

— Uczyć go, żeby chodził przy nodze.

— Wielka sztuka. Jakby sobie nogę wysmarował słoniną, to pies zaraz by chodził przy tej nodze. Już ja znam psy — powiedział Andrzej z wielką pewnością siebie.

— Albo keremem, też by chodził — dodał Janek w zamyśleniu.

— Janek, jak ty mówisz — zawołała ciocia Andzia w rozpacz.

— Albo serem — dodał Andrzej. — Andrzej!

— Ser, co w tym złego?!

— Nic, już mi się wszystko pomieszało. Wyjdźcie na balkon, to zobaczycie tatę z Lejkiem.

Wyszli na balkon.

Ciocia Andzia, nachylona nad wielką dziurą w skarpetce, mruzczała coś pod nosem.

— Czego meruczysz? — spytała matka Janka.

— To ty już też?

— Co ja?

— Nic,— Ja nie meruczę, tylko właśnie myślałam, jak to jest: kerem, serem.

— O, jest tata! — zawołał Janek z balkonu. — Co on robi z tym psem?

— Pies by chodził porządnie — oburzył się Andrzej na cały głos — gdyby go tata nie ciągnął do tyłu.

— To pies ciągnie do przodu — ciocia Andzia wyszła na balkon. — Tata go właśnie uczy, żeby nie ciągnął i żeby chodził równo i spokojnie.

— Z góry to wygląda na odewrót — powiedział . Andrzej. — No, ale trudno właściwie powiedzieć, kto kogo ciągnie. Może ja zejść na dół, to bym zobaczył. Tata, czy ja mogę zejść?

Ojciec Janka machnął ręką, nie wiadomo, czy na znak zgody, ale Andrzeja już nie było na balkonie. Po chwili zjawił się na ulicy i pędem podbiegł do Lejka. Gdy ciocia Andzia wyrzała po chwili przez okno, zobaczyła, że Andrzej prowadzi psa na smyczy. Ojciec Janka szedł za nimi z rękami w kieszeniach, z dumą spoglądając na psa, który jak złoto szedł u boku Andrzeja, z wysoko podniesioną głową, tanecznym, lekkim krokiem, merdając krótkim ogonkiem.

Po pewnym czasie ojciec Janka, Andrzej i pies powrócili do domu.

— Widzieliście, jakem go wytresował? — spytał ojciec Janka z dumą. — Chodzi jak stary. Nie ma mądrzejszych psów nad pudle. Zawsze mówiłem.

— Gdzie jest boczek, który przygotowałam na kolację? — rozległ się z kuchni głos matki Janka.

Andrzej chwycił Lejka za obrozę i znikł za drzwiami pokoju.

— Gdzie boczek? — denerwowała się matka Janka. — Przecież cudów nie ma, był przed chwilą.

Ciocia Andzia energicznym krokiem weszła do pokoju dzieci. Gdy wyszła, miała w ręku spodnie Andrzeja.

— Powąchaj! — powiedziała krótko do matki Janka.

Obok prawej kieszeni spodni widniała wielka, tłusta plama.

— Wziął go na boczek — powiedziała ciocia Andzia sucho. — Nic dziwnego, że pies szedł przy nodze.

— Na boczek — mruknął ojciec Janka.

Potem nagle zaczął szukać czegoś intensywnie w szafce z książkami.

— Tata, peroszę mi pokazać Lejka w „Przekroju” — zawołał Janek.

— Proszę mi teraz nie przeszkadzać — powiedział ojciec Janka tonem nie wróżącym nic dobrego. — Jestem bardzo zajęty, muszę coś ważnego przeczytać.

Janek speszony zamknął za sobą drzwi i poszedł do kuchni. — Tata jest obrażony — stwierdził. — Żeby to można wiedzieć dlaczego.

## ZUPEŁNIE NOWY POMYSŁ

— Żeby się z psem pchać do pociągu — wrzasnęła gruba kobieta w chustce na głowie — tego jeszcze nie było. Idź pan piechotą z tym kundlem.

— Z jakim znowu kundlem? — krzyknął Andrzej. — To jest prawdziwy pudel.

— Pudel nie pudel — warknął wąsaty facet w butach z cholewami — miejsce obywatelom zajmuje. Jeszcze kogo pogryzie. Bez kagańca takiego czarnego psa wozić. Przed wojną tego nie było.

— Psy się trzyma i karmi w dzisiejszych czasach — oburzyła się jejmość w granatowym płaszczu z futrzanym kołnierzem. — Pewnie jeszcze mięsem karmią. I na co to? Co się z tego ma? Króliki hodować — to rozumiem, albo świnie.

— W mieście trzymać świnie trudno — powiedział wąsaty. — Ale króliki, owszem. Można. Niedrogo kosztuje, a mięso jest dobre i skórki się sprzedają.

— A my właśnie świnie w piwnicy trzymamy — odezwała się spod okna kobieta w średnim wieku, z wielką torbą na ręku. — Z całego domu odpadki się zbiera. Świniak tłusty aż miło. Będzie z niego szyneczka, że palce lizać.

— Mama, oni chcą świnie zamordować — szepnął Andrzej przerażony.

— Kury, też rozumiem — dodała jejmość w granatowym płaszczu. — U nas znów w piwnicy kury się trzyma. Na dwór nie puszczamy, boby się rozleciały po całej Warszawie.

— Kury też męczą — denerwował się Andrzej.

— Co tam kura wie — zaśmiała się jejmość. — Chce jeść i tyle. Cały dzień by żarła. Jakby się męczyła lataniem, to by mało jaj składała.

— A składa? — zapytał Andrzej.

— Właściwie to nie — zamyśliła się jejmość.

— No widzi pani — Andrzej niepostrzeżenie wpychał Lejka pod ławkę. — A pies pilnuje domu. Jakby złodziej chciał się zakraść, to zaraz by go pogryzł i narobiłby takiego hałasu, że wszyscy by się zbudzili.

— A mówiłam — krzyknęła kobieta z torbą na ręku. — Gryzie! Gryzącego, psa w wagonie wiozą. Zaraz dam znać milicji. Niech tylko pociąg się zatrzyma. Taki szczeniak, żeby trzymał psa.

— Mama, ona na mnie mówi szczeniak — zaczerwienił się Andrzej.

— Nie szkodzi, nie szkodzi — powiedziała matka Janka wciśnięta na ławce pomiędzy dwie baby z koszami. — Zobacz, jakie drzewa, o, a tu młyn.

— Gdzie młyn? Jaki młyn? — zainteresował się Andrzej.

— Nie możesz go zobaczyć, bo nie sięgasz okna — powiedziała matka Janka z uroczym uśmiechem. — Może chcesz biszkopta?

— Dawaj biszkopta! — zdecydował Andrzej. — Czy my jeszcze daleko jedziemy?

— Jeszcze dwie stacje.

Lejek błyskawicznie wygramolił się spod ławki i stanąwszy na tylnych nogach porwał Andrzejowi z ręki biszkopt.

— O, dzikie zwierzę! — przeraziła się jejmość. — Milicja! Gdzie ta milicja? Nigdy ich nie ma, jak potrzeba. Tu może się stać lada chwila nieszczęście. Może ten pies ma wściekliznę?

— On był szczepiony — zawołał Andrzej na cały głos.

— Szczepiony, widział to kto — zaperzył się wąsaty. — Ludzie mają źle w głowie, jak Boga kocham. Psy, psiakrew, trzymać, do doktorów z nimi chodzić. Raz sam na własne oczy widziałem w tramwaju, jak jedna taka z chorym psem jechała. Cały był opatulony w jakiś szal. No i jeszcze ta mówi, że właśnie dostał zastrzyk penicyliny. Penicylinę dla psa się marnuje? Takie przyszły czasy. A jak mój szwagier chorował, co to mówili, że ma wrzód na dwunastnicy, to myśli pani, że lekarz z ubezpieczalni mu dał penicylinę? Skąd? Pożałowali mu. Tylko krajać, to owszem, chcieli, i to zaraz. Ale on nie frajer, nie zgodził się.

— No i co? — zainteresowała się jejmość.

— Umarł — powiedział wąsaty lakonicznie.

— Taki młody — westchnęła jejmość.

— A pani go znała? — ucieszył się wąsaty. — Bo to już kawał czasu. Zmarło mu się w trzydziestym siódmym roku, na same Boże Narodzenie.

— Skądże, nie znałam go. Nie wiem, o kim pan mówi — zachnęła się jejmość.

— Z babami gadać — splunął wąsaty w szarawą chustkę do nosa. — A w ogóle mówiłem o psach.—Kopnąłbym go, ale diabli wiedzą, czy się nie rzuci. Poczekajcie, jak dojedziemy do stacji. Ja was urządzę razem z tym psem. Przepisy się łamie. Porządku nie ma. Taki naród.

— Co pan znów na baby, na baby — zaperzyła się jejmość. — Psa chce kopać, widzieliście go. Naród mu się nie podoba. Piękny piesek. — Nachyliła się nad Lejkiem. — O, jaki ostrzyżony.. To pani sama go strzyże? — zwróciła się z rozkosznym uśmiechem do matki Janka.

— Strzygę go, a jakże, co dwa miesiące — uradowała się matka Janka. — Masa z niego wełny schodzi.



— To jego się strzyże jak owcę? — zainteresowała się siedząca obok kobieta z koszem.

— Jak owcę — potaknęła matka Janka.

— No i co z tą wełną? — chciała wiedzieć kobieta z koszem.

— Można ją zgręplować i swetry albo skarpetki robić — powiedziała matka Janka śmiejąc.

— To rozumiem — rozentuzjzmowała się kobieta z koszem. — Psy na wełnę trzymają. A opłaca się to? Czym to się karmi?

— Kaszą, mięsem, jarzynami — krzyknął Andrzej. — I wapno dostaje.

— No, macie — warknął wąsaty. — Mówiłem, źle ludzie w głowach mają.

— Kaszą, samą kaszą, jakim znowu mięsem — uniosła się matka Janka. — To on tylko tak mówi na złość. Taki pudel daje wełny parę kilogramów rocznie. Bardzo się opłaca.

Pomruk uznania przebiegł przez przedział.

— Można go dotknąć? — dowiadywała się uprzejmie baba z koszem.

— Proszę bardzo — powiedziała matka Janka. — Chodź tu, Lejek, wyłaź spod ławki. Proszę, jaki miękki.

— I tłusty — dodała baba z koszem. — Na oko z piętnaście kilo waży. Za ile by go pani odstąpiła?

W koszu babinym coś się poruszyło. Andrzej zajązował pod szmatę.

— Tam jest gęś! — krzyknął. — Związana sznurkiem! Dokąd ją pani wiezie?

— Na targ — powiedziała baba ze spokojem. — Na sprzedaż, na mięso! Rozumiesz? — Spojrzała porozumiewawczo na matkę Janka. — Jeżeli pani nie zna terenu, to owszem, mogę pani ułatwić interes. Młode mięso, po odliczeniu wełny będzie chyba ze dwadzieścia kilo. Samą skórę na karakuł się sprzedaje.

Matka Janka zzieleniała na twarzy.

— Bardzo dziękuję — powiedziała słabym głosem — ale on jeszcze rośnie, jeszcze nie jest wyhodowany.

— Popłaczalny interes — zamyślił się wąsaty. — Zupełnie nowy pomysł. Bo i wełna, i skórka, i mięso, i w mieszkaniu trzymać można, i porządku nauczyć nietrudno. Zresztą ja mam balkon. Pani szanowna nie odstąpiłaby jednej parki? — zwrócił się do matki Janka.

— Owszem, owszem, ale my już wysiadamy! — krzyknęła matka Janka z rozpaczą w głosie. — Chodź, Andrzej, bierz psa, szybko, bo pociąg już staje.

— Kiedy to jeszcze nie nasza stacja — zawołał Andrzej.

— Nasza! Nie szkodzi! Chodź i trzymaj mocno Lejka!

Wszyscy uprzejmie rozstąpili się przed matką Janka, Lejkiem i Andrzejem. Wąsaty nawet otworzył drzwi. Cały przedział patrzył na nich wzrokiem pełnym uznania i szacunku.

## „PRZEKRÓJ” Z KASZĄ

Janek leżał w łóżku z grypą. Andrzej z wrzodem na kostce kuśtykał po kuchni. Matka Janka gotowała mannę. Lejek leżał na samym środku kuchni, wyciągnięty na co najmniej cztery metry, i nie było takiej siły, która mogłaby go stamtąd ruszyć.

— Mama, dlaczego on ma grypą, a ja tylko wrzody? — dowiadywał się Andrzej.

— Bo on złapał jednego wirusa, a ty innego — powiedziała matka Janka nieopatrznie.

— Ja żadnych wirusów nie łapałem — oświadczył Andrzej. — Ja znów jestem dyżurny od karmienia ryb.

— Nie rozumiem, co mówisz — zirytowała się matka Janka.

— Ja też nie rozumiem, co ty mówisz o tym łapaniu wirusów. Ja jestem dyżurny na ten tydzień i karmię ryby w akwarium.

— To dobrze, to bardzo dobrze — zgodziła się matka Janka. — Zjedz trochę tej manny?

— Nie zjem. Ryby karmi się takimi suchymi bobkami, co trzeba kupować na Nowym Świecie.

— Ale ja nie mówię o rybach, tylko o tobie. Zjesz kaszę?

— Nie zjem, bo ja nie jestem chory. Niech je Janek. Ryby, jak się ich nie karmi, to zdychają, to ja pilnuję, żeby nie zdechły.

— To ślicznie. Codziennie je karmisz?

— Ja ich nie mogę karmić.

— Ale przecież mówisz, że jesteś dyżurny od karmienia ryb.

— Jestem, tylko że nasza pani zapomina im kupić pokarm, to ich nie mam czym karmić. Wczoraj wrzuciłem im landrynkę, ale jej nie tknęły. Jutro ją sobie wyłowię i zjem. Jak nie chcą, to nie.

— A dlaczego wasza pani nie kupuje pokarmu dla ryb?

— Bo zapomina.

— No to co się dzieje z rybami?

— Jedna wczoraj zdechła. Pochowaliśmy ją pod choinką w ogrodzie. Ma piękny grób. Krysia kopała, Oleś Kuliński włożył ją do środka, a ja przyniosłem kwiaty. Maluchy nam ją potem odkopały, tośmy ich sprali. Jutro zrobimy drugi pogrzeb.

— A gdzie ta rybka?

— Włożyłem ją; do pudełka. Ale teraz ją dałem Jankowi, żeby się nią trochę pobawił, bo on jest strasznie zły, że choruje i do przedszkola chodzić nie może.

— Pilnuj tej manny! — wrzasnęła matka Janka. — Bzika można z wami dostać! Janek siedział w łóżku z wypiekami od gorączki i wgniatał plastelinę w kołdrę.

— Gdzie ryba? — krzyknęła matka Janka.

— Jaka ryba? — zdziwił się Janek. — Ja żadnej ryby jeść nie będę i kaszy też nie. Ja jestem chory, i mnie nie wolno do niczego zmuszać.

— Coś zrobił z tą rybą, co ci dał Andrzej? W pudełku, z akwarium, z przedszkola. No, mów!

— Pudełko mam pod poduszką, a rybę porwał Lejek. Tylko nie mów Andrzejowi, bo oni nie będą mieli jutro co pochować. On mówi, że oni się z tą rybą bawią w chowanego.

— Mama, z tą manną dzieje się coś dziwnego — wrzasnął Andrzej z kuchni. Prawie cała zawartość garnuszka wykipiiała na podłogę, tuż koło nosa Lejka.

— Lejek ma szczęście — ucieszył się Andrzej. — Janek też — dodał filozoficznie.

— Ugotuję drugą — powiedziała matka Janka twardo. — Nic innego na kolację nie ma. Jest przed pierwszym.

— Przed pierwszym czym?

— Nie stawiaj głupich pytań.

— A kiedy będzie przed drugim?

— Po pierwszym. Może byś poszedł do mojego pokoju, tam leży nowy „Przekrój”, to sobie obejrzysz obrazki.

— Co tam są za obrazki? Takie duże jak znaczki pocztowe. — A tata mnie nie chce dać swojego szkła powiększającego.

— Nie chcesz, to nie, ale przestań gadać choć na pięć minut.

Andrzej obrażony wyszedł z kuchni.

— Mama, ja chcę „Przekerój”! — zawołał Janek ze swojego pokoju. — Tata mówi, że „Przekerój” będzie miał urodziny.

Z „Przekrojem” i miseczką kaszy matka Janka siadła na skraju łóżka.

— To ile lat ma ten „Przekerój”? — chciał wiedzieć Janek.

— Dziesięć — powiedziała matka Janka.

— To czy on jest starszy ode mnie, czy młodszy?

— Starszy.

— To on się narodził jeszcze przed wojną? — Nie, po wojnie.

— A ja kiedy się narodziłem?

— Też po wojnie.

— Ano tak — powiedział Janek z pełnymi policzkami kaszy — bo w czasie wojny to wszyscy walczyli i się nie naradzali.

— Naturalnie — powiedziała matka Janka nie słuchając. — Zjesz kaszę, to szybciej wyzdrowiejesz. Dolać ci soku?

— Dlaczego?

— Nie wiem — powiedziała matka Janka — Czy

— Mama, a gdzie „Przekrój” się narodził?

— W Krakowie.

— A ja?

— W Łodzi.

— Dlaczego?

— Bo myśmy tam wtedy mieszkali.

— Całe szczęście — ucieszył się Janek — Bo jak ja bym się narodził w Łodzi, a wy byście byli w Warszawie, to ja bym nigdy do was nie terafił.

— Rzeczywiście — zmartwiła się matka Janka. Nie trafiłbyś.

— Mama! — obruszył się nagle Janek — co to jest? Ja już perawie zjadłem całą kaszę bez opowiadania bajek. Opowiedz coś!

— To raz i mnie się udało — powiedziała matka Janka. A zresztą, dosyć zjadłeś. Tata ci coś opowie, jak przyjdzie.

— Tata pewnie jest na zeberaniu — zachlipał Janek — i weróci w nocy. A mama mnie nabierała z tą kaszą i z tym „Przekrojem”.

— Przecież cały czas z tobą gadałam o tym „Przekeroju”. To też ciekawe.

— Ale to prawdziwe, to to się nie liczy — oburzył się Janek.

W zamku od drzwi wejściowych zazgrzytał klucz.

Lejek jak szalony wypadł z kuchni i zaczął się zwijać dokoła własnej osi, jednocześnie podskakując.

Z pokoju wyskoczył Andrzej, też podskakując na jednej zdrowej nodze.

— Tata! — wołał Janek ze swego łóżka. — Tata opowie bajkę z zeberania.

— Tata! — krzyczał Andrzej. — Ja też jestem chory! Jutro będzie pogrzeb ryby! Mama rozlała kaszę! Janek ma gorączkę! Mama mnie nie chce nic dać jeść!

— Dobrze, żeś wcześniej wrócił — ucieszyła się matka Janka. — Trzeba Lejka wyprowadzić na spacer, dać mu jeść. Potem ja zapuszczę Jankowi krople do nosa, prześcieleę mu łóżko, przez ten czas ty mógłbyś wykąpać Andrzeja. Potem ja mu zrobię opatrunek na

nogę. Aha, jeszcze trzeba wyczesać psa, znieść kubel na dół i przetkać zlew, bo coś tam wpadło. Na wszelki wypadek zmierz temperaturę Andrzejowi, a ja zmierzę Jankowi. Dam mu syropu od kaszlu, aspirynę i herbaty z sokiem malinowym. Potem ja poczytam Jankowi, a ty Andrzejowi. Aha, jeszcze trzeba przenieść łóżko Andrzeja do naszego pokoju, a my zjemy sobie w kuchni i po kolacji popracujemy przy stole kuchennym. Tylko przenieś mi maszynę do pisania.

Ojciec Janka bez słowa poszedł do kuchni, wziął kubel ze śmieciami, założył Lejkowi linewką i otworzył drzwi wejściowe. — Te zeberania — powiedział wychodząc — te zeberania teraz zupełnie niepotrzebnie kończą się coraz wcześniej...

## AWANS NA ŚREDNIAKA

— Przestałem być maluchem — powiedział Janek mimochodem w czasie kąpieli. —  
Wie mamusia?

— Możesz mi mówić ty. Nigdy nie doszorujemy tego kolana.

— Wiesz ty?

— Co?

— No przecież mówię, że nie jestem u maluchów.

— A gdzie?

— U średniaków, razem z Andrzejem. Dlaczego mamusia nie kąpie Lejka?

— Bo psy kąpie się raz na miesiąc.

— A mnie to codziennie, tak?

— Bo ty jesteś codziennie czarny.

— A on to nie? Cały czarny:

— Dawaj drugą nogą.

— A na czym będę stał?

— Zrobiłeś się strasznie bezczelny.

— A mamusia to co? Sam wczoraj słyszałem jak tata mówił na mamusię: bezczelny pies.

— To nie na mnie, tylko na Lejka. Jazda, wysiadać z wanny, bo wrócisz do maluchów. Zadzwoń do pani kierowniczkii.

— Pani kierowniczka jest ważniejsza od wszystkich mamus. Myśmy wczoraj sadzili pietruszkę, a maluchy tylko patrzyły, i u nas jest retmika, a u nich nie, i u nas jest takie szklane pudełko, a w nim rośnie trawa i pływa taka ryba. Ona pewnie chora, bo tak oddycha jak wtedy, co Andrzej miał taką gorączkę...

— No to marsz do łóżka. Andrzej już leży. Tata wam poczyta.

— Ee, tata zawsze czyta o tym koziołku, co wpadł do studni w pegeerze. To ja nie chcę. Ja już nie jestem maluch. Niech mama poczyta Kaczką Dziwaczką.

— Kaczką Dziwaczką znasz na pamięć, a w ogóle jestem zmęczona i muszę jeszcze umyć wannę.

— Zanieś mnie do łóżka, bo mnie Lejek gryzie po nogach.

W pokoju dzieci Andrzej leżał z kołdrą naciągniętą na głowę. Matka Janka zerwała kołdrę i zawołała:

— A kuku! Znalazłam cię.

— Nie wygłupiaj się — warknął Andrzej. — Takie zabawy to dla szczeniaków.

— Bezczelny pies! — zawyrokował Janek.

— Nie będzie za karą żadnego czytania. Jesteś bardzo niegrzeczny.

— On jest zły, że ja jestem u średniaków — powiedział Janek. — A ja jestem grzeczny i proszę mi czytać. Już niech będzie o tym kułaku.

— O kułaku czyta tata — matka Janka ułożyła na krzesłach ubrania dzieci i zabierała się z pokoju.

— O kułaku książki już nie ma — mruknął Andrzej spod kołdry. — Zjadł ją Lejek. Teraz gryzie ranny pantofel taty, bo tata nigdy nie chowa pantofli do szafy.

Ojciec Janka wsadził głowę przez uchylone drzwi.

— Czytać wam Kaczkę Dziwaczką? — spytał z podejrzaną dobrodusnością.

— Podśluchiwałeś — stwierdziła matka Janka i wyszła.

Na korytarzu leżał Lejek i targał namiętnie stylonową pończochą. Ranne pantofle ojca Janka stały wysoko na szafie.

— Och, ty łajdaku!

— Czy to o mnie? — chciał wiedzieć ojciec Janka.

Nie było odpowiedzi.

Gdy po kwadransie ojciec Janka powiedział chłopcom po raz siódmy dobranoc i wszedł do drugiego pokoju, zastał Lejka szarpiącego rytmicznie jego nowiutkie czerwone skarpetki, własnoręcznie zrobione na drutach przez ciocię Andzię.

— Dawaj to! Skąd je wziąłeś, przecież były w zamkniętej szufladzie! Chodź tu, dobry piesek, dobry, oddaj, oddaj...

W skarpetkach były tylko trzy dziurki. Ojciec Janka szybko wrzucił je z powrotem do szuflady, wysunął na środek pokoju ranne pantofle matki Janka i poszedł do kuchni

W kuchni matka Janka spojrzała na niego wyczekująco.

— Co jest na kolację? — spytał ojciec obojętnie.

— Makaron. A gdzie piesek?

— Piesek? Śpi sobie w swoim koszu. A bo co?



## METODA PAWŁOWA

W niedzielę rano zadzwonił telefon.

Andrzej podbiegł szybko i podniósł słuchawkę.

— Kto mówi? — zapytał.

— Jak to, kto mówi? Ach to ty, Andrzejku — powiedział stryjek Henio w słuchawce.

— Czy mogę mówić z mamusią?

— Mamusia śpi — szepnęła Andrzej — nie mogę jej obudzić, bo powiedziała, że mnie spierze i że nic nie dostanę na Dzień Dziecka.

— A czy mogę mówić z tatusiem?

— Tatus też śpi i jego też nie mogę zbudzić, bo też spierze.

— No trudno, to zadzwonię we wtorek wieczorem.

— Możesz zadzwonić wcześniej. Oni się na pewno obudzą przedtem — powiedział Andrzej. — Już bym nawet chciał, żeby się obudzili, bo jestem bardzo głodny, a Janek stoi w bieliźnie na balkonie i oblewa ludzi z konewki, i zalał cały nasz pokój, wysmarował ściany moimi farbami. Lejek narobił w czterech miejscach na dywan w przedpokoju i przewrócił butelkę z mlekiem, i wszystko wypił, a tym, co zostało, Janek namalował duży obraz w kuchni na podłodze. Ale ja jestem bardzo grzeczny i nic nie robię, ale jestem głodny. Lejek też jest głodny, bo je taką dużą książkę tatusia z obrazkami i warczy, jak mu chcę odebrać, i nie mogę znaleźć jednego sandała, bo mi gdzieś zawlókł. Oni byli na imieninach.

— Lepiej już obudź mamusię — zawyrokował stryjek Henio. — Powiedz, że ja kazałem.

— Może byś ty przyszedł i ją obudził? Ja jej nie obudzę. Chcę dostać hulajnogę na Dzień Dziecka.

— Ja ci kupię hulajnogę na Dzień Dziecka.

— O, dziękuję. To mama będzie mi mogła kupić teczkę. Wiesz co, przyjdź i zrób śniadanie. Zjadłem już całą czekoladę, co była w tym pudełku, co mama chowa na szafie, ale znów mi się chce jeść. Ja już lecę, bo muszę zobaczyć, czy mi Janek znów wszystkich klocków nie wyrzuca na podwórze. Pa!

O dwunastej ojciec Janka zmęczonym krokiem wszedł do łazienki. Do lewej nogawki od piżamy uczepiony był Lejek i jechał za nim na tylnej części ciała.

— Tata — wrzasnął radośnie Andrzej — niech tata wejdzie do naszego pokoju. Tata zobaczy, jakie tam jest kino Praha. W kuchni też. To Janek zrobił. Ja nic. Ja tylko zjadłem

czekoladę, ale odkupię z tygodniówki, jak mi tata da. Basia jest dwa centymetry niższa ode mnie i dostaje.

— Mów trochę ciszej — ojciec Janka trzymał się za głowę — mam straszny ból głowy. Wczoraj pracowałem do późnej nocy. Jest jeszcze bardzo wczesnie i mamusia śpi. Zabierz tego psa.

— Tata go przestraszy, to on puści. Ten Kazio, co na naszym podwórzu robi Królaka na rowerze, powiedział, że najlepiej szczeknąć na psa, to się odczepi.

— Hau! Hau! — szczeknął ojciec Janka. Skutek był piorunujący. Lejek puścił piżamę i szmyrgnął za miskę.

— Tata widzi.

— Widzę. Idź, obudź mamusię i poproś, żeby zrobiła coś do zjedzenia, tylko nie mów, że ci kazałem.

— Ja mamusi nie obudzę, bo nie kupi mi teczki na Dzień Dziecka.

— Ja ci kupię teczkę na Dzień Dziecka.

— To dobrze, mamusia będzie mogła mi kupić trąbkę do roweru. Powiem Jankowi, żeby ją obudził, on i tak nic nie dostanie.

— Idź już, bo mi głowa pąka.

— Bo tata nie pije mleka. Ten Kazio, co jest za Królaka, mówi, że trzeba pić mleko i wczesnie chodzić spać, i się gimna... tata wie: kucać, skakać i udawać zajączka. Jakby tata kucnął i udawał zajączka, to by tacie głowa przestała. A wódkę tata pił na imieninach?

— Uciekaj, bo szczekną.

— Bo Kazio mówi, że nie wolno pić. Tata myśli, że Królak by wygrał, żeby pił wódkę? Figa z makiem.

W drzwiach łazienki stanęła matka Janka w szlafroku i rozczochrana. Pies rzucił się do szlafroka i zaczął ciągnąć za połę.

— Hau! Hau! — szczeknął ojciec Janka. Pies puścił i uciekł za wiadro.

— Widzisz — uśmiechnął się ojciec Janka tryumfalnie. — To według metody Pawiowa.

— Nic podobnego — oburzył się Andrzej. — Żadnego Pawiowa, tylko Królaka, chciałem powiedzieć — Kazia.

— Gdzie Janek? — zaniepokoiła się matka Janka. — Ale mnie głowa boli.

— Na balkonie, ale on prezentu nie dostanie, mamusia zobaczy.

U drzwi rozległ się dzwonek. Matka Janka otworzyła, przyglądając odruchowo włosy.

W drzwiach stanęła młoda dziewczyna w chustce na ramionach.

— Ja spod piątki — powiedziała obrzucając przerażonym spojrzeniem podłogę kuchenną, na której mlekiem namalowany był wielki Pałac Kultury. — Moja pani kazała powiedzieć, że tu ktoś od pani wyrzuca przez balkon na podwórze łyżeczki od herbaty i różne inne rzeczy, i leje wodę, i...

— Hau! Hau! — szczeknął ojciec Janka z łazienki. — Hau! Hau! No widzisz, działa za każdym razem.

Lejek jak oparzony wpadł do kuchni i rzucił się za spizarkę.

— O raju! — wrzasnęła dziewczyna. — To ja już pójdę.

Po drugiej stronie sieni otworzyły się drzwi i ukazała się głowa innej dziewczyny.

— Pani podziękuje swojej pani — powiedziała matka Janka uprzejmie i zamknęła drzwi.

— Niech ja skonam — usłyszała jeszcze z sieni — ale to musiały być imieniny!

## ALBO DZIECI, ALBO PIES

W aptece był długi ogonek. Matka Janka stanęła z Andrzejem jako dwunasta.

— My po lekarstwo dla psa — zaanonsował Andrzej na cały głos. — Janek go przycisnął drzwiami i kuleje.

— Lekarstwo dla psa — oburzył się tęgi pan. — I miejsce w kolejce zajmują. Dla psa. Ja dla żony na reumatyzm stoję już pół godziny.

— Andrzej, nie rozmawiaj z obcymi ludźmi — powiedziała matka Janka.

— A dlaczego ta pani idzie bez kolejki?

— Bo ona się tylko pyta.

— To pytać wolno bez kolejki?

— Wolno.

— A ten pan też się pyta?

— Też.

— Ich to szybko załatwiają.

— Szybko.

— Ale przez nich to my się nie ruszamy.

— Może byś wyszedł trochę na ulicę. Albo nie, lepiej zostań, tylko przestań gadać.

— Mama, nie ma witaminy D.

— Skąd wiesz?

— Bo ten pan bez kolejki pytał.

— Bądź cicho.

— Mama, nie ma witaminy A!

— Nie gadaj.

— Witaminy dla psa! — warknął tęgi pan. — To po prostu grzech.

— To nie jest jeszcze pies! — Andrzej, namiętnie dłubiąc w nosie, podsunął się pod sam brzuch pana. — To jest jeszcze dziecko. Ząbkuje. A w ogóle nazywał się Lejek, ale teraz kuleje, to nazywa się Kulejek.

— Andrzej! — zawołała matka Janka słabym głosem. — Idź bez kolejki i dowiedz się, czy jest plaster, co się nazywa Hansaplast.

Andrzej poszedł i wrócił po chwili.

— Jest! — wrzasnął. — Ale za to nie ma amoniaku.

— Wyjdź już lepiej na ulicę, tylko nie schodź z chodnika i wyjmij palec z nosa.

Gdy po dwudziestu minutach matka Janka wyszła z apteki z Hansaplastem dla Lejka i witaminą C dla Andrzeja, zastała Andrzeja stojącego tuż przy drzwiach apteki.

— Jesteś bardzo grzeczny — powiedziała z uśmiechem zadowolenia na ustach.

— Bawiłem się przez ten czas w aptekę — powiedział Andrzej. — Jak ktoś próbował wchodzić, to ja mówiłem zaraz: cebionu nie ma, witaminy A nie ma, witaminy B nie ma, amoniaku nie ma. Jedna pani nawet pogłaskała mnie po głowie, a jeden pan dał mi dziesięć groszy. O, mama widzi. A jeden pan był zły, powiedział, że robię propagandę jakąś tam i nic mnie nie chciał słuchać, tylko wszedł do środka. Ale zaraz wyszedł.

— Jazda do domu i żebyś tego ojcu nie opowiadał — powiedziała matka Janka szybko.

— Bo co, bo też będzie zły?

— Też będzie zły.

W domu ojciec Janka siedział ponury na fotelu i czytał gazetę.

— Czy złe wiadomości? — przestraszyła się matka Janka.

— Hm — odburknął ojciec Janka.

— Co, pewnie Amerykanie zerwali konferencję genewską? Bałam się, że to się tak skończy.

— Nic podobnego. Bredzisz.

— No, to co się stało?

— Nic. Nic.

— Tata nadepnął Kulejkowi na tę samą łapę, co ja mu przycisnąłem w drzwiach — odezwał się Janek z kąta. — I jeszcze mnie zbił po łapach,

— Ten pies się nie uchowa w tym domu — westchnęła matka Janka. — Gdzie on jest? Mam dla niego plaster.

— Psu na budę plaster — powiedział ojciec Janka. — Kto to słyszał, żeby psu plaster nakładać. Noga mu się sama rozchodzi.

— Aż plastra zrobimy psu budę — ucieszył się Janek. — Niech mama daje plaster. Ja chcę, zobaczyć, jak mu się noga będzie rozchodziła.

— Pies jest pod łóżkiem i proszę go nie ruszać. — Ojciec Janka podniósł się z fotela. — Ja muszę jeszcze wyjść na chwilę coś załatwić.

— Tata jest na nas obrażony — stwierdził Janek, gdy ojciec wyszedł.

Przy kolacji zjawił się Lejek wesoły, merdający, i zjadł bardzo szybko kromkę chleba z białym serem, przeznaczoną dla Janka.

— To ja go wyleczyłem, mama widzi! — krzyknął Andrzej. — Wsunąłem mu pod łóżko kawałek czekolady.

Ojciec Janka wrócił po dwóch godzinach, gdy chłopcy już spali. Był zatroskany.

— Byłem u Suwalskich, tych, co hodują boksery — powiedział podając Lejkowi rękę do obgryzienia. — Suwalski powiedział mi zupełnie serio, że albo dzieci albo pies, inaczej pies wyrośnie „na kalekę. Poza tym trzeba mu robić masaż tej łapy i na wszelki wypadek prześwietlić kręgosłup, czy nie uszkodzony. Suwalscy mają sześć pięknych szczeniaków — dodał po chwili — ale są bezdzielni.

## NIESPODZIANKA

— My mamy dla taty niespodziankę — powiedzieli chórem.

— Dwie niespodzianki — dodał Janek szybko. — Ciocia Andzia przyjechała i niech tata spojrzy na oknie u siebie w pokoju.

— Jak ty mówisz po polsku? — chciał wiedzieć ojciec Janka.

— Jak? — zdziwił się Janek. — Zwyczajnie, jak wszyscy. Niech tata już zobaczy, co tam jest.

Na parapecie okiennym stała miseczka z wodą, w której były jakieś ciemne plamy.

— No? — spytał Andrzej z zapartym tchem. — Myśmy je znaleźli nad Wisłą, a jutro zaniemiemy je do przedszkola do akwarium. To się pani ucieszy! Mama kazała to tu postawić, bo mówi, że my się będziemy nimi całą noc bawili. Czy to prawda, że dzicy ludzie to jedzą?

— Co to jest? — przeraził się ojciec Janka.

— Ślimaki! Ślimaki! Tata nie widzi?

— A gdzie ciocia Andzia?

— Wyszła z mamą do sklepu. Dzwonił jeden pan, ale Janek z nim rozmawiał.

— Powiedziałem mu o ślimakach — dodał Janek.

— A Lejek?

— Lejek poszedł z nimi.

— To my jesteśmy sami? — zdenerwował się ojciec Janka. — A ja jestem głodny.

— Może tata spróbuje ugotować ślimaki. Ciocia Andzia mówi, że w jednym takim kraju, gdzie nie ma co jeść, to nawet od nas samolotami sprowadzają.

— Idźcie do siebie i zagrajcie w Piotra Bumelanta, a ja zaraz przyjdę.

— Tylko niech tata Lejkowi nie zje zupy, bo on będzie bardzo zły.

Po chwili Janek wbiegł do kuchni.

— Tata je, to dobrze — zawyrokował. — Andrzej prosi, żeby tata jeszcze wypił jego mleko. Stoi w spizarni na półce. I niech tata mi schowa gdzieś tę strzelbę, bo to Andrzeja. Ja sobie pożyczyłem, tylko on jeszcze nie wie i okropnie nie lubi.

Wiatrówka Andrzeja powędrowała do skrzynki.

— Tata jest wdechowy — westchnął Janek z głębokim przekonaniem. — Nic nie dam więcej na tatę powiedzieć.

— Gdzie moja strzelba — wrzasnął Andrzej wpadając do kuchni jak szalony. — Moja wiatrówka, co mi ciocia Andzia przywiozła.

— Ty wiesz, że ja nie lubię takich zabawek — powiedział ojciec Janka.

— Tata mówi pełną buzią — odciął się Andrzej — a poza tym to jest strzelba do obrony pokoju, a nie żadna taka zabawka. Oddaj, cholendero! — wrzasnął na Janka.

— Tata słyszy, on mówi cholendero, żeby tata nie rozumiał, ale to znaczy to samo co cholera. — Janek schował się za krzesłem ojca.

— Oddaj strzelbę!

— On mi nigdy nie pożycza swoich zabawek.

— Bo ty wszystko psujesz. Masz swoje, to się baw.

Janek zacisnął pięści.

— Dobrze, niech mu tata odda. On i tak jest starszy, to pierwszy umrze, a wtedy ja się będę bawił wszystkimi jego zabawkami.

— Wariat!

— Ty wariat!

— Przestańcie.

— Pewnie, że on wariat, bo gdyby nie był wariat, to by nie mówił na mnie wariat, jak ja mówią na niego wariat.

— Przestańcie, bo ja zwariuję.

— Jest Lejek! — krzyknął Janek i pobiegł do wejściowych drzwi.

— Dobry wieczór! — Matka Janka i ciocia Andzia weszły rozpromienione, z paczuszkami w raku. — Jakie dobre dzieci, wszystko zjadły. No, chodźcie, pobawimy się w nagrodę w krasnoludki i dostaniecie jeszcze chałwy, zanim umyjecie zęby.

— Lepiej zobaczymy, co robią ślimaki — zaproponował Andrzej.

W miseczce na parapecie okiennym było tylko trochę wody i kilka podejrzanie wyglądających ciemnych kłębów na dnie.

— Tata jednak zjadł ślimaki — przeraził się Janek.

— Nie gadaj głupstw — matka Janka niespokojnym wzrokiem wodziła dokoła. — Myśmy zapomniały, że ślimaki chodzą. Rozeszły się po całym mieszkaniu. Ile ich było?

— Nie wiem. Dużo! — Andrzej z niedowierzaniem patrzył w miseczkę. — One zrobiły kupki i poszły sobie.

— Szybko, szukajmy wszyscy ślimaków — zawołała matka Janka.

— Ja zaraz wrócę, tylko jeszcze zejść po chleb, bo jest za mało — odezwał się ojciec Janka od progu.

Jeden ślimak znalazł się pod łóżkiem, drugim Lejek bawił się w piłkę nożną, trzeci został przemocą oderwany od ściany.



— Resztę na pewno zjadł tata. Był bardzo głodny. Zjadł nawet mój rabarbar —  
powiedział Janek ze smutkiem. — Nie ma co szukać.

## KTO POGRYZŁ BERNARDA?

— Jutro o wpół do dwunastej na rogu Kluczej i jeszcze jednej ulicy — wrzasnął Janek podskakując w szalonym podnieceniu. — Myśmy się umówili z naszym kolegą.

— Jutro jest niedziela i tata chce was zabrać na wystawę psów do parku Skaryszewskiego — oznajmiła matka Janka. — Oj, ale ty masz czarne ręce.

— Bo myśmy odkopywali kartofle w przedszkolu, żeby zobaczyć, czy się przyjęły. My jesteśmy umówieni z naszym kolegą, z Piechockim Grzesiem, na rogu Kluczej o wpół do dwunastej. Niech mama nie zapomni.

— I niech mama zadzwoni do Piechockiej, to znaczy do jego matki, bo ona mu na pewno nie pozwoli — dodał Andrzej, także podskakując na jednej nodze.

— Zobaczmy, zobaczmy. Teraz chodźcie myć ręce.

— Nic nie zobaczmy. Mama niech dzwoni, bo się wszystko pokręci. Grześ będzie stał na rogu całą niedzielę. I w ogóle to jest bardzo ważne, bo on jest nasz kolega i myśmy się umówili.

— A na wystawę psów nie chcecie iść?

— Pewnie, że chcemy, ale tylko z Grzesiem, bo on jest nasz kolega.

— I zabierzemy Lejka — zdecydował Janek.

— Lejek za mały.

— Jaki on mały. Mama widzi, sięga do stołu. Zjadł całą „Danusię”, co tam leżała.

— Myjcie ręce czy nie?

— Myjemy, jak mama zadzwoni do Grzesia. Pani Piechocka była bardzo uprzejma i zgodziła się z miejsca, bez dyskusji. Janek i Andrzej bez dyskusji umyli ręce i zjedli kolację.

— Tata się ucieszy, że pozna naszego kolegę — powiedział w wannie Andrzej niepewnym głosem.

— Ucieszy się, ucieszy — zgodziła się matka Janka. — Jeżeli Grześ jest grzeczny chłopiec, to bardzo miło.

— Grześ jest najważniejszy u średniaków — zawiadomił ją Andrzej. — Wszyscy go słuchają, bo jak nie, to on leje kijem. Jego ojciec też jest bardzo ważny — dodał po chwili — pracuje na kolei, a nie tak jak tata w ministerstwie. Może mama tacie powie dopiero jutro rano, że on z nami idzie.

Przed domem Piechockich na ulicy Kruczej rodzice Janka wraz z Andrzejem i Jankiem byli już o jedenastej.

— Co to jest wystawa psów? — chciał wiedzieć Janek.

— Jak to? — zdziwił się ojciec Janka. — Mówimy od tygodnia o wystawie psów, a ty się teraz dopiero pytasz. Tam się wystawia psy.

— Co to znaczy?

— To znaczy, że tam każdy, co ma ładnego psa przychodzi i go wystawia.

— A jak mą brzydkiego psa?

— To go nie wystawia.

— A czy są wystawy brzydkich psów?

— Nie, nie ma.

— To gdzie się wystawia brzydkie psy?

— Brzydkich psów się nie wystawia.

— Wcale?

— Wcale.

— To po co ludzie mają brzydkie psy?

— A po co ludzie mają głupie dzieci?

— Janek, nie denerwuj ojca — powiedziała matka Janka szybko. — Chodź tu, zobacz, jaki ładny nowy autobus.

— Wiem, to ZIS. Kupiliśmy trzydzieści.

— Ładne, tylko krótsze od prawdziwych.

— Gdzie ten Grześ? — chciał wiedzieć ojciec Janka.

— Tata będzie spokojny, on zaraz przyjdzie — powiedział Andrzej. — On tacie pokaże najlepszą drogę do parku Skaryszewskich. On jest cwany jak mucha.

Tata zobaczy.

Z bramy wyszła szczupła pani w kwiecistej sukience, pantofelkach na wysokich obcasach, dużym słomkowym kapeluszu i białych rękawiczkach. Za ręce trzymała dwóch chłopców ubranych od stóp do głów na biało. Białe marynarskie ubranka, białe czapeczki, białe sandały i skarpetki.

— Jak to miło ze strony państwa, żeście zaprosili moich chłopców — powiedziała. — Dobrze się składa, bo ja właśnie wybierałam się do mojej stryjecznej siostry na przyjęcie imieninowe i nie miałabym ich z kim zostawić. Mąż we Wrocławiu — dodała. — No, to do widzenia, chłopcy, bądźcie grzeczni. Grzesiu, pilnuj Heniusia, jako starszy.

— To Heniusz też z nami? — zakrzuszył się ojciec Janka.

— Ja ich nigdy nie rozdzielam — pouczała go pani Piechocka. — Dziękuję raz jeszcze.

— My odprowadzimy ich za dwie godziny — krzyknął za nią ojciec Janka.

— Chłopcy, nie schodzić na jezdnię, bo was samochód przejedzie. Jak my się dostaniemy do tramwaju z tą całą zgrają?

— Najlepiej taksówką — oświadczył Grześ. — Do tramwaju się nie dostaniemy.

— Tata widzi — powiedział Andrzej z dumą — ja mówiłem, że Grześ jest cwany i tacie powie, co zrobić. Prawda, Grześ, że ja jestem z twojej paczki?

— Pani weźmie Heniusia — powiedział Grześ — bo on jak się rozpędzi, to go pani nie dogoni. On raz mamie uciekł i nie było go przez trzy godziny. Przez głośnik go szukali.

— Heniuś, chodź tu — powiedziała matka Janka słabym głosem.

— Nie pójdę.

— Daj rękę.

— Nie dam. Ugryzę.

Ojciec Janka skoczył na jezdnię i z narażeniem życia zatrzymał taksówkę. Po dłuższych pertraktacjach szofer zgodził się pojechać za podwójną taryfę.

— Twój ojciec jest klawy — szepnął Grześ Jankowi do ucha. — Przynajmniej się słucha. Mój... och — machnął ręką.

— No tak, mój tata! — westchnął Janek z dumą. — Zobaczysz, pewnie nawet loda nam kupi.

U wejścia na wystawę Heniuś upadł jak długi. Rozbił sobie kolano, ale nawet nie jęknął, tylko rozcierał krew brudną ręką po spodenkach.

— Pożycz chusteczkę do nosa — krzyknęła matka Janka. — Ja swojej zapomniałam.

Ojciec Janka wyjął czysta chusteczkę z kieszeni. Heniuś, dumny, kroczył z obandażowaną nogą, umazany błotem i krwią.

— Poczekajcie, jak go mama zobaczy... — powiedział Grześ tajemniczo.

— Proszę pana, co to za psy takie zakatarzone?

— To pekińczyki — powiedział ojciec Janka. — Ale nie wrzeszcz tak, bo tu nikt nie jest głuchy.

— Trzeba Heniusiowi kupić psa — powiedział Heniuś.

— Proszę pana, pan zabierze swoje dzieci, bo one depczą po nogach i pchają się. Tu jest kolejka do seterów — powiedział starszy pan w butach z cholewami.

— Chodź, Andrzej — szepnął Grześ. — Z tym lepiej nie zaczynać.

— Nie zgubcie się — powiedziała matka Janka z rozpaczą. — Trzymajcie się za ręce. Heniuś, chodź Ho mnie.

— Trzeba Heniusiowi kupić psa — powtórzył Heniuś.

— Mama, gdzie są wilki? — chciał wiedzieć

Andrzej.

— Tu nie ma wilków — przestraszył się Janek. — to — jest wystawa ładnych psów, a nie żadnych wilków.

— Ale założyli fabryczkę! — potracił jakiś wyrostek kolegę. — Zobacz, czterech mają!

— Idźcie naprzód, Andrzej i Grześ, jazda naprzód! — zdenerwowała się matka Janka.

— Trzeba Heniusiowi kupić psa.

— Trzeba, trzeba.

— Proszę pani — wrzasnął Grzesio — pani mąż się zgubił.

Rzeczywiście, ojca Janka nie było widać.

— Gdzie tata? — zawołał Janek. — Miał kupić loda.

— Nie bój się, znajdą go przez głośnik — pocieszył go Grześ. — O, widzisz, są głośniki na drzewach. Zaraz usłyszysz.

— Właściciel pogryzionego bernarda uprzejmie proszony jest o zgłoszenie się z psem na punkt sanitarny — odezwał się głośnik.

— Mama, kto mógł pogryźć takiego dużego psa? — przeraził się Janek.

— Chyba tylko jakieś dziecko — powiedziała matka Janka przez zęby.

— Trzeba Heniusiowi kupić psa — powiedział Heniuś groźnie.

— Ojciec Janka właśnie poszedł kupić psa dla Henusia — ucieszyła się matka Janka.

— A teraz Heniuś będzie grzeczny?

— Trzeba Heniusiowi kupić loda — stwierdził Heniuś z zadowoleniem.

— Mama! Grześ i Janek wpadli w błoto — wrzasnął Andrzej.

— Wracamy — oświadczyła matka Janka. Zerwała chustkę do nosa z kolan Henusia i zaczęła nią wycierać Grzesia.

Pani Piechocka sama otworzyła drzwi.

— Dziękuję uprzejmie — zaczęła. — Mój ty Boże!

Gdzie wyście byli?!

— Ojciec Janka kupi Heniusiowi psa i loda — powiedział Heniuś.

— Jechaliśmy taksówką. Było byczo. Umówiliśmy się z Andrzejem na przyszłą niedzielę! — krzyknął Grześ.

— Tak jest — uśmiechnęła się matka Janka uroczo. — Przyprowadzę moich chłopców na jedenastą. Ja ich też nigdy nie rozdzielam.

## KILO NA KILO

— Przyprawiliśmy Kowalskiego z czwartego piętra — oświadczył Andrzej — bo u nich się smaży. Czy on może dostać podwieczerek?

— Może — powiedziała ciocia Andzia. — A co się u nich smaży?

— Konfitury. Dzień dobry! — powiedział Kowalski grzecznie. — Moja mama jest bardzo zdenerwowana, to czy ja mogę tutaj trochę zostać, bo pada.

— Możesz — powiedziała ciocia Andzia. — Dlaczego u nas się nie smaży? — spytała matki Janka.

— Jak żyję nie smażyłam konfitur i nie zacznę na stare lata. Muszę obcerować całą rodzinę przed wyjazdem na różne urlopy.

— Dokąd jedziecie? — spytał uprzejmie Kowalski. — Bo moja mama jedzie ze mną do Ustki, a mój tata jedzie sam do Zakopanego. Bo mój tata mówi, że on nie może odpoczywać, jak jest z nami. Bo mój tata mówi, że ma nas dosyć cały rok.

— Idźcie do pokoju, a ja was zawołam na pod— wieczerek do kuchni, jak będzie gotów — powiedziała matka Janka.

— Ja nie jem płatków — powiedział Kowalski stanowczym tonem. — Mój tata też nie.

— A czy twój tata też przyjdzie na podwieczerek? — spytała ironicznie ciocia Andzia.

— Skąd? — oburzył się Kowalski. — O tej porze mój tata zawsze ma zebranie.

— Co on robi na zebraniu? — chciał wiedzieć Janek.

— Godziny nadliczbowe — pouczył go Kowalski. — Pokażcie zabawki.

— Dlaczego nie smażysz? — chciała jednak wiedzieć ciocia Andzia przy szykowaniu podwieczorku. — To zawsze taniej i zdrowiej. Kupie jutro na targu szklanki i weźmiemy się do roboty.

— Mama! — wpadł Janek. — Oni mnie tam nie chcą. Mówią, że im przeszkadzam. Kowalski siedzi na moim krześle. Bawią się w straż ogniową. Mama zobaczy, oni zaraz pójdą do łazienki po wodę.

— Powiedz im, że są niegrzeczni — powiedziała matka Janka mechanicznie. — Albo nie chodź tam, bo będzie tylko awantura. Lepiej siedź tu, ale cicho.

— Czy mama będzie piec konfitury? — chciał wiedzieć Janek.

— Smażyć, smażyć — poprawiła go matka.

— No widzisz, przekonałam cię — ucieszyła się ciocia Andzia. — Wiesz co, ja zaraz skoczę na targ, to będziemy mogły zabrać się po kolacji do roboty.

— Nie mam pieniędzy — powiedziała matka Janka niepewnie.

— Ja wyłożę — rozentuzjasmowała się ciocia Andzia. — I wezmę Lejka, bo go trzeba koniecznie wyprowadzić, kręci się podejrzanie. I wezmę Janka — dodała dla zachęty. — I wykąpię ich, a ty będziesz mogła sobie spokojnie popracować ze dwie godzinki przy tej twojej maszynie do pisania. Wezmę torbę i koszyczek dla Janka, i smycz.

Przez dłuższą chwilę panowała absolutna cisza. Nagle rozległo się gwałtowne pukanie do drzwi.

— Pani Kowalska — zawołała matka Janka. — Jak to świetnie, że pani przyszła. Pani podobno smaży. Niech mi pani powie, jak się to robi.

Pani Kowalska trzymała przed sobą dwie ręce koloru piwonii, na czoło spadały jej kosmyki wilgotnych włosów. Fartuch opryskany był czerwonym sokiem.

— Czy jest tu mój Felek? — spytała. — Miał mi znieść śmieci na dół. Winda jak zawsze zepsuta, a my na czwartym piętrze. Niech pani nie smaży, to piekło. Serce mi nawala, trzy razy walerianę brałam od rana. Zwariować można z tym cukrem, co teraz robią. Nie jest czysty. Szumuję i szumuję i końca nie widzę.

— Po co pani szumuje? — zainteresowała się matka Janka. — Proszę, niech pani siada, właśnie robię herbatkę, to się pani z nami napije, i kanapkę pani zje, to pani dobrze zrobi.

— Niech pani nawet o jedzeniu nie wspomina. Nic w ustach nie miałam od trzech dni. Mdli mnie od tego kosztowania. Herbaty, owszem, napiłabym się, ale z cytryną. Ale skąd o tej porze roku wziąć cytrynę. Truskawki, czereśnie, szklanki. Po nocach mi się śnią. Niech pani posłucha, co mi się wczoraj śniło. Jestem w polu, zbiera się na burzę...

— Tu herbatka — przerwała jej matka Janka. — No, niech pani kochana powie, co i jak, bo moja siostra zaraz wróci ze szklankami.

— Przedwojenną szpilkę do włosów musi pani mieć przede wszystkim — zaczęła pani Kowalska. — I rondel miedziany, no i dwa kilo na kilo, bo inaczej spleśnieją.

— Zaraz, zaraz, ale ja nie mam takiego rondla, szpilek do włosów też nie mam. A czego dwa kilo na kilo?

— Owoców na cukier, tfu, cukru na owoce — pani Kowalska zachłysnęła się gorącą herbatą. — Tak się robiło przed wojną. Teraz mowy nie ma, robi się kilo na kilo, no i oczywiście pleśnieją, i tyle.

— A jak pani robi?



— Kilo na kilo.

— No i pleśnieją?

— Nie, pewnie że nie.

— No widzi pani.

— Co widzę, nic nie widzę. Nie wolno robić kilo na kilo, ale co robić.

— A może pożyczylaby mi pani swego miedzianego rondla, bo ja nie mam.

— Ja też nie mam.

— To w czym pani robi?

— W czym? W garnku aluminiowym, ale to bardzo niedobrze.

— A na co szpilka do włosów?

— Na co? — zdziwiła się pani Kowalska. — Do drylowania. Gdzie się pani chowała?

Pestki pani musi wyjąć.

— Z każdej wiśni?

— Z każdej jednej koniecznie, bo inaczej będą gorzkie.

— Ja nie mam żadnej szpilki do włosów — powiedziała matka Janka stanowczo.

— To kupi pani maszynkę do drylowania w CDT, tylko że nic niewarta. Okropnie pryskają. O, widzi pani, jak ja wyglądam, jakbym miała wysypkę na twarzy.

— No i co dalej?

— Najpierw pani dryluje, potem pani sypie cukrem, niech postoją przez noc, potem pani smaży, i tyle.

— Jak długo?

— Na oko.

— No, ale mniej więcej?

— Nic pani nie powiem, potem będzie na mnie. Trzeba mieć wyczucie do tych rzeczy.

Jak pani nie ma, to szkoda gadać.

— Chyba nie mam — stwierdziła „matka Janka ze smutkiem. — Ale skąd ja mogę wiedzieć. Nigdy nie smażyłam. Może i mam. A jak już szklanki usmażone, to co?

— No to do słoików.

— Kiedy ja nie mam słoików.

— To pani kupi.

— Majątek będą kosztowały te konfitury.

— Zawsze tańsze niż w sklepie — stwierdziła pani Kowalska — szczególnie, że kupić pani nie kupi, bo konfitur nie robią, tylko dzemy.

— No i co dalej?

— Do słoików i przykrywa pani celofanem, i chowa pani w chłodne miejsce. No i pilnuje pani jak oka w głowie, żeby się nie scukrzyły i żeby pleśnią nie zaszły.

— Będę pilnowała — przyrzekła matka Janka.

— No to lecę — zerwała się pani Kowalska — bo mi się przypała, jak dwa razy dwa cztery. Niech pani pamięta, co powiedziałam. Jak Felek zje, to niech wraca do domu. Już mu kolacji nie dam. No to do widzenia!

— Do widzenia!

W drzwiach pani Kowalska o mały włos nie przewróciła się przez Lejka, który na długiej smyczy ciągnął ciocię Andzię.

— Przyniosłam pięć kilo, piękny towar — chrypnęła ciocia Andzia zdyszana. — Zamówiłam jeszcze piątą i zapłaciłam. Trzeba będzie jutro odebrać. Cukier przyniosę zaraz ze sklepu. Czy masz wagę, bo Janek jadł całą drogę i karmił jeszcze Lejka, więc nie wiem, ile zostało.

— Mam przepis na konfitury — ciocia Andzia opadła na krzesło. — Spotkałam na targu Jabłońską, tę, co z mamusią na pensję chodziła. Dała mi swój przepis. Bardzo prosty: dwa kilo na kilo, maczasz każdą wiśnię w spirytusie, robisz syrop, wrzucasz wiśnie...

— Nic podobnego — oburzyła się matka Janka. — o syropie mowy nie ma. Sypiesz cukier na noc. Bierzesz szpilkę, a jak nie masz szpilki ani miedzianego rondla, to bierzesz kilo na kilo. I w ogóle dziś nic nie możemy robić, bo nie mam maszynki do drylowania. I wagi też nie mam, i w ogóle...

— To ja już pójdę — w kuchni zjawił się Kowalski. — Dziękuję za podwieczorek. Czy mam coś powiedzieć mamie?

— Powiedz mamie — uśmiechnęła się radośnie matka Janka — powiedz mamie, że u nas jutro na obiad będzie zupa wiśniowa, pierogi z wiśniami i kompot z wisien. I że jak chce, to mogę jej dać zupełnie nowy przepis na smażenie konfitur.

## OD RAZU — HAPS!

— Do Zoo! — podskoczył Janek. — Do małych zoologicznych, do lwów zoologicznych, do tygrysów i do Kasi.

— Jak będziemy grzeczni, to pójdziemy — powiedział Andrzej zmęczonym tonem. — Nie wiesz, że zawsze trzeba najpierw, żebyśmy byli grzeczni, a potem dopiero można pójść.

— Ja już jestem grzeczny, w tej chwili — skakał Janek. — Mogę nawet wypić mleko. Mama, dawaj mleko!

— Nie mam już mleka, wypiliśmy całe na śniadanie. Napij się wody — powiedziała matka Janka.

— Kiedy ja chcę się napić mleka.

— Nie ma.

— No to nic nie będę pił.

— Jesteś niegrzeczny i nie pójdziesz do Zoo. Co ci się stało z tym mlekiem?

— Kiedy ja chcę wypić mleko, żeby pójść do Zoo. Zawsze mama prosi, żebym pił mleko, a teraz mówi, że nie.

— Kiedy nie ma już. Napij się herbaty z sokiem.

— Nic nie będę pił.

— No macie, a przyrzekałeś, że będziesz posłuszny przez całe rano. Jak nie wypijesz herbaty, to...

— Wpadł — powiedział Andrzej do ciotki Andzi. — Chciał być grzeczny, to ma. Teraz musi pić, jak mu się nie chce. Ukradniesz mi cukier w kawałkach dla Kasi?

— A gdzie jest?

— W szafce, w kuchni, koło okna. Mama go chowa dla gości, a nam daje ten taki jak mąka. Tylko teraz nie możesz, bo tam jest awantura z Jankiem. Może on wcale nie będzie mógł pójść.

Po chwili zjawił się Janek, czerwony i zły.

— Brzuch mnie boli, ale wypilem — westchnął. — No to chodźmy już. Co żre słoń?

— Cukier w kawałkach i trawę — pouczał go Andrzej. — Poczekaj, ciocia Andzia nam ukradnie.

— Ja już znam w kieszeni — szepnął Janek. — Tata mi ukradł wczoraj. Dałem mu za to wszystko, co było w skarbonce.

— No to idźcie już, dzieci! — Matka Janka stanęła w progu pokoju z szarą torebką w ręku. — Tu macie cukier dla tego słonia Kasi. I żebyście...

— Byli grzeczni — wrzasnęli chórem.

— Popatrz, jakie mądre dzieci — ucieszyła się ciocia Andzia. — No, to już jedziemy i wrócimy na obiad. Pa!

— Czy pan kiedy karmił słonia? — spytał Janek w tramwaju konduktora.

Nie było odpowiedzi.

— Głuchy albo niegrzeczny — zdecydował Andrzej.

— Cicho bądź, bo on jeszcze usłyszy — zdenerwowała się szeptem ciocia Andzia.

— Konduktorzy są zawsze obrażeni — stwierdził Janek. — Sprzedawczynie w sklepach też. Może mu dać kawałek cukru?

— E, tam! — krzyknął Andrzej. — Kelnerki mają pełno cukru i też są bardzo złe. Byłem wczoraj z tatą na lodach — wyjaśnił z dumą, rozglądając się czy wszyscy słyszą.

Janek był zamyślony.

— Po czym poznaje się lwa? — zapytał po dłuższym czasie.

— Nie wiem — powiedziała ciocia Andzia — ale ci pokażę.

— ‘Jak nie wiesz, to skąd będziesz wiedziała? — Bo widziałam na obrazku.

— A skąd wiedziałaś, że to lew?

— Bo było napisane.

— A kto pisał?

— Pan, co się zna.

— A skąd on wiedział, że to był lew?

— Popatrz, pomnik Kopernika — wykrzyknęła wesoło ciocia Andzia. — Widzisz, co on trzyma w dłoni?

— Jabłko, nam pani w przedszkolu o nim mówiła — zawołał Andrzej. — On myśli, że ziemia się kręci w kółko, ale ja jakoś tego nie czuję. Pewnie już się nie kręci albo bardzo powoli.

— Czy jak lew żre człowieka — odezwał się Janek ze swojego głębokiego zamyślenia — to od razu haps! czy po kawałku?

— Od razu haps! — powiedziała ciocia Andzia mechanicznie.

W tramwaju zapanowała cisza. Za bramą Zoo były klomby, trawniki, wyschnięta fontanna i duża ilość wróbli.

— Gdzie zwierzęta? — chciał wiedzieć Janek.

— Dalej — powiedziała ciocia Andzia niepewnie — tam dalej. Ja nie wiem, bo ja tu nigdy nie byłam.

— A czy to na pewno Zoo?

— Na pewno, bo było napisane.

— Muszę się nauczyć czytać — zdecydował Andrzej.

— Mnie już nogi bołą. Gdzie te zwierzęta?

— Zaraz będą — ucieszył się Andrzej — bo już zaczyna śmierdzieć. Czujecie? Chodźcie do tego domku.

W domku było bajorko, w którym trwał nieruchomo chiński aligator.

— Zdechł! — stwierdził Janek szeptem. — Najadł się czereśni i zdechł. Niech ciocia zobaczy, ile pestek w wodzie.

— A ten wąż też pewnie zdechł, bo wcale się nie rusza — zmartwił się Andrzej. — Też ma pestki i pali papierosy. Widzicie,—pełno niedopałków.

— Niech ciocia zapyta, gdzie ta Kasia, bo mi się w kieszeni cukier rozkleja — powiedział Janek.

Wzdłuż głównej alei było mnóstwo klatek.

— Popatrz, gołębie zoologiczne, takie same jak u babci w Karpaczu — zawołał Andrzej.

— I popatrz! Świnie, zwyczajne świnie, i jakie brudasy! Niech ciocia powie, dlaczego one są zamknięte w Zoo.

— O, psy w klatce! Zoologiczne psy!

Przed słoniem stał milczący tłum dorosłych i dzieci.

Janek, bardzo przejęty, wyciągnął z kieszeni kawałek cukru i powoli, krok za krokiem, zbliżał się do balustrady. Gdy trąba słonia łagodnie nadpłynęła do jego nosa, westchnął głęboko, wyciągnął rękę i wsadził cukier w miękki uchwyt trąby.

— Po raz pierwszy w życiu nakarmiłem słonia — czerwony już teraz po same uszy zwrócił się do stojącego obok starszego pana z uśpionym dzieckiem na ręku. — Widział pan? Wsadził sobie cukier pod trąbę. Nigdy mnie nie zapomni, bo słoń nie może nic zapomnieć, nawet żeby chciał.

— Tylko tata zapomniał, że mama miała imieniny — dodał Andrzej.

— No to idziemy nakarmić lwy resztą cukru — pośpiesznie zaproponowała ciocia Andzia.

Lwy spały tyłem do publiczności, na pięknym tarasie opartym o żelbetonowe skały.

Cztery kawałki cukru wylądowały w fosie. Piąty, rzucony przez ciocię Andzię, trafił na taras. Lwy ani drgnęły.

— Nudziarze! — zdecydował Janek. — Wolę Lejka. Nawet podobny, tylko że czarny. Czy tu nie ma piaskownicy?

— Chyba nie.

— A huśtawek?

— Chyba też nie.

— A czy myśmy już wszystko widzieli?

— Jeszcze są kozy i barany, za tamtym ogrodzeniem.

— A czy jeszcze długo do obiadu?

— Jeszcze dwie godziny.

— No to pojedźmy do naszego ogródka jordanowskiego, a resztą cukru podzielimy się z ciocią.

## „KLEKS”

W szatni było tłoczno i pachniało mokrym ubraniem. Andrzej ścisnął rękę matki, jakby ją chciał zmiążyć.

— Puść rękę, bo muszę się dopchnąć do lady. Poczekaj pod lustrem — powiedziała matka Janka.

— Idę z tobą — powiedział Andrzej ledwo dosłyszalnym głosem. — Mamuś, co to jest kleks?

— To jest taka plama z atramentu.

— Musi być czarna?

— Nie musi.

— A może być biała?

— Chyba tak.

— A gdzie jest ten kleks?

— Poczekaj chwilę, bo zaraz się zaczniesz, a w płaszczech nas nie puszcza.

— A dlaczego tu się nazywa „Kleks”? — Bo to jest teatr dla dzieci,

— To co?

— Zobaczysz.

— A co to jest teatr?

— To jest taki dom, w którym przedstawiają.

— Co to znaczy, że przedstawiają?

— Grają sztuki.

— Sztuki czego?

— Różnych autorów.

— Co to znaczy autorów?

— To są ludzie, co piszą.

— Na maszynie?

— Różnie.

— Piórem też?

— Piórem też. Puść rękę, bo mnie boli.

— I robią kleksy?

— Pewnie, że robią.

— No i co?

— I nic. Może pani na jeden numerek. Dziękuję.

— W Pałacu Kultury jest teatr?

— Jest.

— Musi być bardzo duży.

— Bardzo. Chodź na miejsce, bo zaraz będzie dzwonek.

— Po co dzwonek?

— Ojej, w teatrze nie byłeś?

— Nigdy w życiu nie byłem — powiedział Andrzej z głębokim westchnieniem.

— Wiesz, że to mi do głowy nie wpadło. — Matka Janka zatrzymała się i spojrzała na Andrzeja jak na zupełnie obcego faceta. — Coś podobnego? To właściwie niesłychane. O, słyszysz? Dzwonią.

— Okropnie niewygodne krzesło — stwierdził Andrzej, gdy usiedli. — Będę się wiercił.

— Nie po to przyszedłeś do teatru.

— Mamuś, za tą firanką będzie to kino? Ale duża!

— Nie kino, tylko teatr.

— Będą się ruszać obrazki?

— Nie obrazki, ale żywi ludzie.

— Po czym poznać, że oni żywi?

— No bo się ruszają. Światła zaczęły gasnąć.

— Mama, faza nawaliła — krzyknął Andrzej na cały głos.

— Cicho, smarkaczu! — odezwał się siedzący za Andrzejem brunet z dużą czupryną, wyraźnie z piątej klasy.

— Teraz będzie W osiemdziesiąt dni dookoła świata — szepnęła matka Andrzejowi do ucha. — To znaczy, że będą jechać dookoła świata w osiemdziesiąt dni. Zobaczysz, to bardzo śmieszne.

— Kto będzie jechać. Oni czy my? — dowiadywał się Andrzej.

— Oni. Ten w spodniach w kratkę i ten drugi.

— A co my będziemy robić?

— Nic. Siedzieć.

— To nuda.

— Zobaczysz, że nie. To bardzo śmieszne.

— Mamy tu siedzieć osiemdziesiąt dni? — zaniepokoił się Andrzej szeptem.

— Skąd? Wyjdziemy za dwie godziny.



— Przed chwilą mówiłaś, że oni będą jechać osiemdziesiąt dni.

— To co innego. To jest teatr.

— Dlaczego oni tak krzyczą i tak się denerwują? — zapytał Andrzej po chwili na głos.

— Jak cię trzepnę, przedszkolaku zakichany, to polecisz — syknął czarny z czupryną.

— Mamuś, to może byśmy już poszli? — zaproponował Andrzej bardzo cicho.

— Siedź jak dorosły — szepnęła matka.

— Mówiłaś, że to jest teatr dla dzieci — oburzył się Andrzej.

— No patrz, przecież bardzo dobrze grają — szepnęła matka Janka.

— Bardzo dobrze gra ten struś — zgodził się Andrzej. — Ojej, firanka im się popsowała!

— Wcale im się nie popsowała, tylko ją specjalnie zaciągnęli.

— No, to już koniec.

— Nie, to koniec pierwszego aktu.

— Aktu?

— Części.

— To już nie będzie aktu?

— O, uważaj, widzisz, teraz będzie coś dla ciebie. Sztuki! — uradowała się matka Janka.

Z małej rurki wyskoczyło kilkadziesiąt kolorowych chustek, z cylindra niezliczone bukiety kwiatów, z małego pudełka dwie żywe świnki morskie, z nosa monety, z rękawa karty, z butonierki piłki pingpongowe.

— Świetnie gra — westchnął Andrzej, gdy kurtyna opadła. — Jeszcze lepiej od tego strusia. Właściwie trudno powiedzieć, który lepszy.

— Zaczynasz być bywalcem teatralnym — stwierdziła matka Janka. — Chcesz cukierka?

— No — zgodził się Andrzej. — Co zaczynam być?

— Czym — odezwał się czarny z czupryną.

— Może pan pozwoli cukierka? — spytała matka Janka.

— Chętnie — powiedział czarny i sięgnął zgrabnie nad głowę Andrzeja. — Jestem trzeci raz. Dobre przedstawienie — dodał. — I ten kacyk, i jak się topią, i ta panienska, co tańczy. Tylko niepotrzebne te baby, co śpiewają. Me wiem, dlaczego w teatrze muszą być zawsze baby, co śpiewają.

— Jakby ten facet chciał — stwierdził Andrzej żując krówkę — jakby chciał, to by je zamienił w morskie świnki.

— Tylko że on nie chce mieć przykrości — stwierdził czarny. — O, uważaj, już się znów zaczyna, teraz idzie ten numer ze zwierzętami i jarzynami.

Ukazała się kolorowa dekoracja przedstawiająca domek wiejski w otoczeniu grządek warzywnych. Na sali rozległ się szmer zachwytu, potem oklaski. Andrzej klaskał jak opętany.

— Ten czarodziej to bardzo dobrze zrobił — stwierdził. — Samo by im tak szybko nie wyrosło i w ogóle na deskach i zima. Szkoda mrugać.

— To jest dekoracja — zaperzyła się matka Janka. — Dekoracji nie widziałeś?

— Pewnie, że nie widziałem. Gdzie miałem widzieć? — oburzył się Andrzej półgłosem. — A zwierzęta, co śpiewają, mama widziała? Lipa, tam w środku siedzą dorośli i ryczą. Widzę przez dziurę w głowie. Musi im być cholernie gorąco. Ja bym nie wytrzymał. Czy im za to płacą?

— Pewnie — stwierdził czarny z czupryną. — A coś ty myślał, że oni by się tak codziennie za darmo wygłupiali?

— Codziennie??? — Andrzej szeroko wybałuszył oczy. — Mama, on chyba buja!

— Szszszszsz... — syknęła matka Janka. — Codziennie.

W domu Janek z ojcem czekali, bardzo źli, na powrót Andrzeja z teatru.

— Opowiem wam wszystko — powiedział Andrzej wspaniałomyślnie, zaraz od progu. — Zresztą możecie tam iść, bo oni to robią codziennie. Jeden czarodziej im czaruje dekoracje. Potem dorosłe facety przebierają się za różne zwierzęta i skaczą, i krzyczą, i machają łapami, zupełnie jak w przedszkolu. A dzieciaki, rozumiecie, siedzą spokojnie w krzesłach i patrzą się. Jak im się chce, to się śmieją, a jak nie, to nie, a jak im się chce, to klaszczą, a jak nie, to nie. I tym dorosłym dzieciaki za to płacą i różne kobiety śpiewają i trzymają chustki w rękach, i facety w spodniach jak rurki latają i coś mówią, i okropnie hałasują. A dzieciaki siedzą cicho i jak się który odezwie, to zaraz wszystkie inne szszszsz...

— To kiedy my tam pójdziemy z tatą? — dopytywał się Janek z niecierpliwością przestępując z nogi na nogę.

— Tata by tam nie wytrzymał — powiedział Andrzej Jankowi na ucho. — Przez całe dwie godziny to tylko tym ze sceny wolno gadać.

## NAUKOWY POGLĄD NA ŚWIAT

Matka Janka siedziała przy maszynie do pisania. Drzwi były zamknięte na klucz. W pokoju dzieci przez długi czas panowała niepokojąca cisza.

„Pewnie rozbierają kaloryfer — pomyślała nagle matka Janka i pisała dalej. — Niech rozbierają. Bylebym mogła skończyć tę robotę”.

Po chwili jednak rozległo się gwałtowne stukanie do drzwi.

— Co jest?

— Otwieraj, muszę o coś zapytać — wołał Andrzej.

— Zapytasz mnie później, jestem zajęta.

— Ty zawsze jesteś zajęta. Ja cię w ogóle nie widzę.

— Mam pilną robotą.

— Przecież ty nic nie robisz, tylko stukasz w maszynę.

— Uciekaj, bo cię spiorę, daję słowo.

— Kiedy ja tylko chcę jedno słowo.

— No to pytaj przez drzwi.

— Mama, czy przed wojną było niebo?

— Było, pewnie że było.

Andrzej odszedł, matka Janka stukwała dalej. Ale niedługo. „Czy przed wojną było niebo? Pewnie. Ale o co mu chodzi?”

Poszła do pokoju dzieci.

— Dlaczegoś się pytał o niebo?

— Bo Krysia z podwórka mówi, że nie ma nieba ani piekła. Ona chodzi do szkoły, to ona wie.

— Ale dlaczego mnie pytasz?

— Bo ja chciałem wiedzieć, od kiedy nie ma.

— A to, co jest na górze, takie niebieskie, to co to jest? — dowiadywał się Janek.

— Zgęszczone powietrze — odpowiedział Andrzej krótko. — Krysia mi mówiła. Piekło też zgęszczone powietrze, tylko go nie widać.

— A jak się zgęszcza powietrze? — pytał dalej Janek, bardzo zainteresowany.

— To ja już wrócę do roboty — oświadczyła matka Janka. — Jak ojciec przyjdzie, to się wami zajmie, obiecał mi.

— Tata nie może, bo tata pracuje, a mama przepisuje z książki na kartki to, co już raz było wydrukowane, tylko po to, żeby w kuchni nie siedzieć. Już ja wiem! — oburzył się Andrzej.

Matka Janka przekręciła klucz w zamku. Gdy w pół godziny później ojciec Janka wszedł do pokoju dzieci, skoczył na niego tylko Lejek.

— Gdzie są dzieci? — Zaczął dobijać się do drzwi, zza których słychać było stuk maszyny do pisania.

— Nie przeszkadzajcie mi, bo zwariuję. Nie wiem, gdzie są dzieci, i nie chcę wiedzieć — krzyknęła matka Janka.

Dzieci były pod oknem za zasłoną. Andrzej pociągnął za sznurek, zasłona rozchyliła się. Janek miał na sobie szlafrok ojca i wizytowy kapelusz matki. Andrzej był w cywilu.—

— Bawimy się w teatr — oświadczył Janek. — Szykujemy przedstawienie na święta. Ja jestem Dziadek Chłodek, bo Andrzej mówi, że Święty Mikołaj to też zgęszczone powietrze. Ale przecież ktoś musi przynieść prezenty. Niech mi tata pożyczy teczkę, bo ja nie chcę worka. Zaraz sobie zrobię wąsy z plasteliny. Brody nie będzie.

— Niech tata siada, bo teraz jest próba — poprosił Andrzej. — Ja wygłoszę przemówienie, a potem Janek zaśpiewa piosenką. Niech tata słucha, bo to ważne przemówienie. No już. — Kochane dzieci! — To nie do taty, bo tata nie dziecko, ale to jest próba, tata rozumie, o co chodzi. — Kochane dzieci! Dziś jest wielkie święto na całym świecie, gdzie ludzie pracują. Dawniej nie było świąt i ludzie nie pracowali, i byli sami kapitaliści, i nie mieli co jeść. Ale teraz nie ma kapitalistów i już mają co jeść, i wszystkie dzieci są w żłobkach i przedszkolach, i kobiety teraz pracują...

— Co ty wygadujesz?! — krzyknął ojciec Janka. — Potworne bzdury. Gdzie ty takie rzeczy słyszysz? Wszystko ci się pomieszało. Robisz mi tylko wstyd!

— On wygłasza piękne przemówienie na akademię w przedszkolu, a tacie się nie podoba — mruknął Janek.

Andrzej obrażony usiadł na łóżku i z pasją zaczął ugniatać plastelinę.

— Mów dalej — zreflektował się ojciec Janka. — Niech się już dowiem wszystkiego, to może sobie później jakoś rozsądniej o tym pogadamy.

— Nic nie powiem — chlipnął Andrzej. — Niech Janek śpiewa. On jest drugi punkt. Bo my jesteśmy trupa.

Tak jak trupy pana Dropsa — podskoczył Janek. — Jeżeli ty nie chcesz grać, to ja będę dyrektor trupa. Ale nie szkodzi. Mogę być.

— No to śpiewaj już — Andrzej przykleił Jankowi sumiaste plastelinowe wąsy.

Stoi sobie rusztowanie,  
Ja co rano staję na nie,  
Kładę cegłę przy cegielce,  
Żeby równym rzędem biegły.

— Bardzo ładnie —. powiedział ojciec Janka zadowolony. — Przynajmniej on mi wstydu nie przynosi.

— Niech tata nie przerywa artyście — zdenerwował się Andrzej. — To nie jest koniec. Teraz on będzie musiał zacząć od początku.

Janek śpiewał niewzruszenie:

Tam, gdzie przedtem zgruz i złom,  
Teraz patrzysz — nowy dom.  
A ten murarz, mój koleżka,  
W nowym domu tym zamieszka.  
A dzielnica, już ja wiem,  
Nosi nazwę MDM...

— Tacie się to podoba? — dowiadywał się Janek.

— Bardzo.

Kładę cegłę przy cegielce,  
Żeby równym rzędem biegły.

— A tata nie wie czasem, gdzie biegają te cegły?

— To bardzo dobry żart, cha, cha! — zaśmiał się ojciec Janka niepewnie.

— A tata mnie powie, co to jest zgruz i czy on zawsze musi być przedtem?

— Musi być — zdecydował ojciec Janka. — Czy to jest całe przedstawienie? Czy nie będzie żadnych wesołych numerów?

— To jest akademia, a nie żadne wesołe numery — pouczał go Andrzej. — To nie jest cyrk. Najpierw jest przemówienie, potem piosenki, no i czasami tańczymy ludowe tańce, ale już na dzisiaj dosyć.

— A czy wy nie znacie żadnych bajek albo piosenek, o... bo ja wiem, o konikach czy kwiatkach, czy krasnoludkach?

— Znamy, tylko że to było na akademii;—tata rozumie. Dla siebie to my co innego śpiewamy.

— A co śpiewacie dla siebie?

— A, to kiedy indziej.

Panna z kawalerem  
pod szóstym numerem,

— zaśpiewał Janek cicho na próbę i spode łba spojrzął na ojca.

— Co to ma znaczyć? — zerwał się ojciec Janka.

— No bo tata chciał wiedzieć, co my śpiewamy dla siebie, a teraz się tata denerwuje.

— Mówiłem ci, że nie ma co żartować — powiedział Andrzej ponuro. — Jak tata chce o krasnoludkach, to śpiewaj mu o krasnoludkach.

— Koniec trupy! — wykrzyknął Janek. — Krasnoludki to też pewnie zgęszczone powietrze.

W drugim pokoju zamilkło stukanie w klawisze maszyny. Matka Janka otworzyła drzwi z klucza i dość rozczochrana, patrząc z lekka nieprzytomnym wzrokiem, wyszła na korytarz. Ojciec Janka podszedł do niej i spytał szeptem:

— Słuchaj, czy ty wiesz, czego oni chcą z tym zgęszczonym powietrzem?

— To nic, to nowa przedszkolanka — ziewnęła matka Janka. — Postanowiła, że trzeba im na poczekaniu wyrobić naukowy pogląd na świat.

## TELEFONICZNE PORADY

— Czego on tak wciąż wieczorami kaszle? — zaniepokoiła się matka Janka.

— Dzieci zawsze kaszlą — odpowiedział ojciec Janka zza „Życia Warszawy”. — Zobacz, tu też artykuł o tym, że nie ma pasty do zębów. To już trzeci w tym tygodniu, jeden w „Świecie”, jeden w...

— A ja ci mówię, że on ma koklusz — zdecydowała matka Janka. — A pasty do zębów rzeczywiście nie ma, dzieci od dwóch tygodni myją zęby sodą oczyszczaną.

— Nie ma? Pasty do zębów jest, ile chcesz! — powiedział ojciec Janka zapalając „sporta”. — Nie ma tylko tubek. Są całe olbrzymie składy beczek z pastą. Niedługo nie będzie ich gdzie trzymać. Tylko, rozumiesz, trudności gospodarki surowcowej, połączone z...

— Daj mi spokój. Ja nie chcę wykładu z ekonomii — zerwała się matka Janka. — Próbuję się podzielić z tobą moim niepokojem o zdrowie dziecka, a ty zaraz skręcasz na gospodarkę surowcową. Uważam, że Andrzej ma koklusz. O, znowu kaszle...

— To przez sen — powiedział ojciec Janka wnikliwie. — A jak się tak niepokoisz, to idź z nim do doktora.

— Zadzwońię do starej pani doktor Żórawskiej — zdecydowała matka Janka. — Zna mnie od dziecka, bardzo nas kocha, sama już nie pracuje, ale zawsze poradzi. A ty zejdź z Lejkkiem na spacer. On nie wychodził już od piątej i podejrzanie kręci się przy drzwiach.

— Nie lubię z tym psem wychodzić — warknął ojciec Janka. — Jest wielki jak cielak i wciąż jeszcze kuca. Wstyd przed ludźmi. Jest zapóźniony w rozwoju.

— Pani doktor — mówiła już do telefonu matka Janka — bardzo panią przepraszam, ale Andrzej już kilka tygodni uporczywie kaszle. Żadne syropy nie pomagają, tylko mu psują apetyt. Mnie się zdaje, że to...

— Koklusz — stwierdziła do tubki pani doktor z powagą. — Rozumiem. To możliwe. Jest teraz sporo wypadków. No, ale jest też dyfteryt. Nie dalej jak wczoraj w naszym domu zachorowało jedno dziecko. Wiesz, ta mała Marysi, która z tobą chodziła do szkoły. Pamiętasz ją? Ona też miała koklusz, ale wtedy jeszcze nie było szczepionek. I sepleniła, i jej matka, co ją jeszcze znam z Torunia sprzed tamtej wojny światowej, wyszła za inżyniera i wyjechali do Poznania, on zginął w czasie okupacji, a ona teraz z tą drugą córką mieszka. Nie dalej jak wczoraj była u mnie. Ma reumatyzm i wygląda bardzo staro jak na swoje lata, a jest ode mnie tylko rok starsza. Nigdy o sobie nie dbała...

— Tak, pani doktor — próbowała przerwać matka Janka — ale co do Andrzeja, to on wprawdzie kaszle, ale się nie zanosi, a w zeszłym roku, jak miał grypę, to mówili, że zatoki..

— Wszystkie dzieci mają teraz zatoki — powiedziała pani doktor. — A w ogóle nie lubię tych telefonicznych porad. Idź z nim do poradni, każ go prześwietlić...

— Ja bardzo przepraszam — odezwał się męski głos w telefonie — ja bardzo przepraszam, ale niech go pani nie prześwietla. Ja naprawdę nie mam zwyczaju podsłuchiwać. Tylko że chciałem dzwonić do mojego kolegi z biura w jednej sprawie i nakręciłem numer, no i usłyszałem szanowne panie...

— To niech pan odwiesi słuchawkę — powiedziała pani doktor lodowato.

— Pani pozwoli, że się przedstawię: Domagała jestem — powiedział męski głos. — I naprawdę nie podsłuchiwałem. Ale sam jestem ojcem i usłyszałem o tym kokluszu, i sumienie mnie nie pozwala nie poradzić pani, co robić. Bo, proszę pani, jest bardzo prosty sposób na tę paskudną chorobę i będzie mi pani jeszcze dziękować.

— Niech pan odwiesi słuchawkę — powiedziała pani doktor groźnie. — To nieprzyzwoite. Dawniej ludzie nie mieli takiej śmiałości. Skąd pan się w ogóle wziął w tym telefonie? To bezczelność.

— Żadna bezczelność — oburzył się pan Domagała. — Przede wszystkim to nie moja wina, że się włączyłem, tylko takie są teraz centrale. Druty się poplątały czy co? Sam nie wiem. A poza tym przedstawiłem się, to już nie jestem obcy, a w ogóle powinienem się obrazić, tylko że mnie dziecka szkoda. Niech pani jutro weźmie dzieciaka, zapakuje go ciepło i pojedzie z nim na Śląsk.

— O tej porze roku! — przerwała pani doktor. — Pan bredzi. Fatalna pora, jesienna. Na koklusz absolutnie wykluczone...

— Niech mnie pani wysłucha. To wcale nie względem klimatu się tam jedzie z kokluszowym dzieckiem. Bierze się dzieciaka i zjeżdża się z nim do kopalni.

— To bardzo interesujące, co pan mówi — powiedziała matka Janka z uśmiechem. — Proszę, no i co dalej?

— Z kim ty rozmawiasz? — chciał wiedzieć ojciec Janka, który właśnie wrócił z merdającym Lejkiem.

Matka Janka tylko machnęła ręką.

— Zjeżdża pani z dzieckiem na sam dół, im niżej, tym lepiej, i siedzi pani z nim osiem godzin, czyli jedną szychtę. Andrzej będzie miał frajdę, bo kopalnię zobaczy, nawdycha się węgla. Tak przez kilka dni, i po kokluszu. Gwarantuję pani.



— Nie słuchaj tych bzdur — oburzyła się pani doktor. — Kto pan jest? Może pan jest znachorem? I w ogóle nikt cię do kopalni nie wpuści. To nie jest takie proste. Gdyby wszystkie matki z całej Polski, co podejrzewają, że ich dzieci mają koklusz, zjechały się na Śląsk i do kopalni, to ładnie byśmy z węglem wyglądali...

— Co się pani o węgiel martwi? — zdenerwował się pan Domagała. — Tu jest mowa o chorym dziecku. Mój szwagier ze swoim synkiem w zeszłym roku tak zrobił i co? Dzieciak do tej chwili nie zakaszał. Pewnie, że każdy się do kopalni nie dostanie. Ale ja pani dam adres jednego znajomego inżyniera mojego szwagra. Złoty człowiek. Nie odmówi kobiecie z chorym dzieckiem. Niech pani pisze i niech pani nie słucha, co ta starsza pani mówi.

— Szybko, daj mi kawałek papieru i ołówek — zażądała matka Janka od ojca Janka. — No, pośpiesz się, bo to ważna sprawa.

— Z kim ty rozmawiasz?

— Potem ci powiem. Daj ołówek.

— Jeżeli ty będziesz się wdawać z tym panem w niemądre interesy — powiedziała pani doktor groźnie — to wybaczone, ale ja odkładam słuchawkę. Jeżeli chcesz, możesz do mnie później zadzwonić. Do widzenia!

— Do widzenia! — powiedziała matka Janka. — Ale, panie Domagała, pan jest? To dobrze. Dawaj pan ten adres. Tak, tak, piszę. Jaki numer domu? 53, Dobra jest. I szalenie dziękuję.

— I jak pani wróci, niech pani zadzwoni — powiedział pan Domagała. — Będzie mi pani wdzięczna do grobowej deski. Są tacy, co zamiast jeździć do kopalni, dzieciaka samolotem wożą, ale mój szwagier nie zna żadnego pilota.

— Na pewno zadzwonię i wszystko panu opowiem. Do widzenia i dziękuję.

— Kto to był? — zapytał ojciec Janka.

— Nie znasz go. Domagała, ma szwagra, który zna jednego inżyniera z kopalni „Kazimiera”. Trzeba zabrać Andrzeja na jedną szycztę do kopalni i po tygodniu przejdzie mu koklusz. Jak dobrze, że zadzwoniłam do pani doktor. Zawsze się człowiek czegoś dowie.

— Tyś wcale nie rozmawiała z panią doktor — złościł się ojciec Janka. — Skąd się wziął ten Domagała? Skąd ty go znasz? Co on za jeden?

— Z telefonu, włączył się. Jak nie wierzysz, możesz do niego zadzwonić. A, u licha, nie dał mi swego numeru.

— Absolutnie się nie zgadzam na takie idiotyzmy — krzyczał ojciec Janka. — Nigdzie z dzieckiem nie będziesz jechała. To zakrawa na sabotaż gospodarczy. To są

idiotyczne przesady. Medycyna jest od tego, żeby leczyć. A w ogóle, wszystkie dzieci kaszlą zimą i smarkają. Każdy o tym wie.

— Dobrze, dobrze — zgodziła się matka Janka. — Już dosyć. Nie pojedę. Nie chcę stać na przeszkodzie wypełnieniu planu wydobycia węgla. Są szproty na kolację.

Po kolacji usiedli z książkami na kanapie pod lampą. Panowała głęboka cisza, przerywana tylko brzdąkaniem fortepianu z trzeciego piętra. Dziecko sąsiadów z góry grało już drugi rok tę samą grę.

W pewnym momencie matka Janka podniosła głowę znad książki.

— Wiesz co? — powiedziała rozmarzonym głosem. — Wiesz co? Chciałabym kiedyś poznać jakiegoś pilota.

## DOM DZIECKA

— Mów, co chcesz — powiedziała ciocia Andzia — ale to jest nadzwyczajne dziecko.

— Co on znowu zrobił? — zapytał z niepokojem ojciec Janka.

— Nic nie zrobił — oburzyła się ciocia Andzia. — Wykazał dużo inicjatywy, oryginalności myślenia i brak zachłanności.

— Eee — powiedział tylko ojciec Janka.

— Jak nie wierzysz, to nie — ciocia Andzia złożyła cerowanie i ruszyła do kuchni.

— Skąd ta napięta atmosfera? — zapytała matka Janka przy kolacji. — Dlaczego ze sobą nie rozmawiacie?

— My ze sobą często rozmawiamy, tylko nie akurat w tej chwili — objaśnił ojciec Janka. — No, Andzia, powiedz już, ile mnie będzie kosztował ten i ego brak zachłanności?

— Ani grosza — powiedziała ciocia Andzia wyniosło. — Nie docenicie dziecka. Powiedział mi dzisiaj rano, że jako prezent urodzinowy życzy sobie, żeby go na ten dzień zwolnić z przedszkola i żeby z nim poszła do Domu Dziecka. Czy to nie wzruszające? Chce tylko zwiedzić Dom Dziecka.

— I pewnie będzie sobie chciał wybrać jakiś prezent — dodał ojciec Janka zza gazety.

— Przestań czytać przy stole — powiedziała matka Janka. — Poza tym nie widzę, dlaczego nie miałby sobie wybrać jakiegoś prezentu na urodziny. Należy mu się.

— A co będzie tego dnia z Andrzejem? — dopytywał się ojciec Janka przechodząc do drobnych ogłoszeń.

— Jak tylko siadasz do stołu, to zaczynasz odkrywać w naszej prasie jakieś niezwykle walory — powiedziała matka Janka. — Całymi wieczorami pyskujesz, że nie ma co czytać w gazetach, ale widok miski z kaszą czy kartoflami czyni je z miejsca niezwykle atrakcyjnymi.

— Może to tylko nasze towarzystwo tak na niego działa — powiedziała ciocia Andzia uszczypliwie. — A może on szuka gosposi w drobnych ogłoszeniach.

— O, sypialnia w stylu Ludwika XVI do nabycia okazjnie — ucieszyła się matka Janka. — Pewnie o to mu chodzi. A może o dwie obrabiarki w .dobrym stanie?

Ojciec Janka rzucił gazetę na podłogę kuchenną.

— Już doceniam dziecko! — huknął. — Przysięgam, że dziecko doceniam w całej pełni, i gotów jestem sam z dzieckiem pójść do Domu Dziecka, jeżeli jest coś takiego w Warszawie, i nawet kupić mu prezent. Tylko dajcie mi święty spokój.

— Mama, tata strasznie wrzeszczy i nie daje nam spać — odezwał się głos Andrzeja z pokoju. — Zabierz go do Domu Dziecka, jeżeli chce. My się zgadzamy.

— Doceniam dziecko jedno i doceniam dziecko drugie — mruczał ojciec Janka — a teraz muszę na chwilę iść jeszcze do biura, bo zostawiłem na biurku robotę.

— No to pozdrów ode mnie Karola — powiedziała matka Janka spokojnie — i powiedz Lali, żeby jutro zadzwoniła, jak będzie przy telefonie, i nie jedz grzybków w marynacie, bo znów będziesz miał zgagę.

Ojciec Janka bez słowa zatrzaskał za sobą drzwi wyjściowe.

Przed Domem Dziecka stała duża kałuża, w którą z wielką przyjemnością wlażyły wszystkie dzieci. Ciocia Andzia trzymała za rękę Janka, a matka trzymała się ramienia Andrzeja. Po przejściu przez kałużę jakiś facet w grubej jesionce i z teczka pod pachą odepchnął Janka i puścił mu drzwi wahadłowe w nos. Potem wszyscy dostali w nos welurową zasłoną, wytwornie chroniącą wnętrze Domu Dziecka od przeciągów.

W środku panował przytulny półmrok, z którego się wylaniała, gdy już wzrok się przyzwyczaił, wspaniała, olbrzymia kolejka elektryczna. W mgnieniu oka chłopcy byli już przy kolejce i wpatrywali się jak zaczarowani w pejzaż z papier mache, w semafony, stacje, zwrotnice, tunele, góry, doliny, szosy. Nie było tylko kolejki, ale chwilowo nikomu to nie przeszkadzało.. Kilkoro dzieci w kożuszkach i angorowych czapeczkach na spoconych główkach przyglądało się tępo i cierpliwie krajobrazowi.

— Elektryczna — oświadczył Janek fachowym tonem. — Ciocia mi kupi na urodziny, dobrze?

— Jeszcze nie widziałeś wszystkiego — powiedziała ciocia Andzia z lekkim niepokojem w głosie... — Poczekaj. Tu są cztery piętra.

— Kiedy on się już zdecydował — powiedział Andrzej. — Po co ciocia ma się męczyć i chodzić na czwarte piętro. Już ma ciocia załatwioną sprawę. Tylko gdzie ta kolejka? Kiedy ona przyjedzie?

— Widzisz, że zepsuta — ucieszyła się ciocia Andzia. — Przecież nie będę wam kupowała zepsutej kolejki.

— Ale ona czasami chodzi — powiedziała dziewczynka z czarną grzywką. — Dzisiaj chyba nie, bo ja już tu dawno stoję. Ale mój starszy brat powiedział, że dwa lata temu na 22 Lipca to sam widział, jak chodziła.

— Teraz jest styczeń — stwierdziła matka Janka. — Chodźmy, zobaczymy, co tu jeszcze jest.

— Ja poczekam, aż ona zacznie chodzić — powiedział Andrzej bardzo stanowczym tonem. — Mnie nie obchodzi, co tu jeszcze jest, bo ja i tak nie mam dziś urodzin i nic nie dostanę. Ja poczekam, aż puszczą kolejkę.

— Czy ta kolejka kiedy chodzi? — spytała matka Janka sprzedawczynię o olbrzymiej ilości jasnych loków, która stała zgrabnie wśród wielkiej sterty brunatnych pokrywek do garnków.

— Nie wiem — powiedziała jasnowłosa beznamiętnie.

— To może pani ma nocniczki? — odcięła się matka Janka. — Bo widzę, że pokrywki są.

— Powinna być książka zażaleń na klientów — powiedziała jasnowłosa w przestrzeń.

— Powinni przerobić ją na węgiel — powiedział Janek do stojącego obok chłopca. — Moja babcia zawsze mówi, że te nowe wynalazki nigdy nie działają.

— Węgla potrzebujemy na eksport. Gdybyś chodził do szkoły, to byś wiedział — powiedział chłopiec. — Ciekaw jestem, gdzie jest ta kolejka. Pewnie w tunelu.

— Janek — szepnęła mu ciocia Andzia do ucha — pójdziemy na górę do zabawek. Wybierzesz sobie coś, a w drodze powrotnej tu przyjdziemy, może przez ten czas ją zreperują.

Janek zgodził się, ale Andrzej został, z wzrokiem wbitym w tunel.

Na pierwszym piętrze w dziale sportowym Janek zauważył skafander koloru khaki.

— O! — krzyknął pełen zachwytu. — To bym chciał na urodziny. Będę w tym wyglądał jak żołnierz. I to jest sznurowane na biało. Kup mi.

Ciocia Andzia zbliżyła się do kontuaru, zmrużyła powieki i „uprzejmie poprosiła młodzieńca o pokazanie skafandra.

— Już się robi — powiedziała ekspedientka ochoczo. — Właśnie dzisiaj nadeszły, ma pani szczęście.

Od kilku tygodni stoję tu i odpowiadam, że nie ma. Nie ma skafandrów, nie ma nauszników, nie ma rękawic brezentowych, nie ma spodni narciarskich, nie ma koszul flanelowych. A to jest dział odzieży sportowej dla dzieci. Nerwy tracę. No, ale dzisiaj jest dobry dzień, bo przyszły te skafandry.

— Proszę wymiar na pięć lat — powiedziała ciocia Andzia zadowolona.

— Jest tylko jeden wymiar — powiedziała nieśmiało ekspedientka. — No, ale może akurat będzie na niego dobry.

— Jak to, jeden wymiar na wszystkie dzieci w całej Polsce? — zdziwiła się ciocia Andzia.

— Jeden — powiedziała ekspedientka i uśmiechnęła się. — Proszę pani, ja panią błagam, pani tak miło wygląda, niech pani ze mną na ten temat nie dyskutuje. Bo widzi pani, ja już byłam u lekarza.

— U lekarza? — zdziwiła się ciocia Andzia. — Janek, zdejmuj no płaszczyk, zobaczymy, czy to na ciebie wejdzie.

— No tak — powiedziała ekspedientka. — Bo widzi pani, ja cierpię na bezsenność, a jak zasypiam po proszku, to dręczą mnie straszne sny. Ja przedtem pracowałam w „Delikatesach” przy szynce. Cały dzień, przez całe osiem godzin słyszałam: „Tylko żeby była chuda, bo to dla chorego”. Doszło do tego, że jak jaka klientka tego nie powiedziała, to mnie zaczynało serce bić. Potem robiły mi się czarne plamki przed oczami i ciągle mi się zdawało, że kraję zepsutą szynkę. Ale to było na tle nerwowym. No więc pogadałam z kierownikiem. To bardzo miły człowiek i przenieśli mnie do pomarańczy. No to cały boży dzień słyszałam: „Tylko niech mi pani wybierze dojrzałe, bo to dla dziecka”. Proszę pani, ja byłam kiedyś bardzo uprzejma i uśmiechałam się do klientów, ale po paru tygodniach to tylko zagryzałam wargi i udawałam, że nie słyszę. Ale słyszałam, jeszcze jak słyszałam. Potem pracowałam w aptece... Ojej, dziecko się pani udusi!

Z głębi skafandra dochodziły niewyraźne jęki. Janek trzymał ręce w olbrzymich rękawach, jednakże w żaden sposób nie mógł przepchnąć głowy przez otwór specjalnie do tego przeznaczony. Ciocia Andzia z dużym trudem wyzwoliła go.

— Tułów i rękawy będą na niego dobre za jakie dwa lata — uśmiechnęła się uprzejma ekspedientka. — Tylko głowę ma widać za dużą.

— Nie chcę tego skafandra — powiedział Janek bardzo czerwony na twarzy i z płonącymi uszami.

— Do widzenia! — powiedziała ekspedientka. — Ja chyba postaram się o przeniesienie do sklepu z fortepianami.

Gdy po godzinie ciocia Andzia, matka Janka i Janek spoceni, z płaszcami na rękach, schodzili ostrożnie po wyboistych, drewnianych, kręconych schodach na parter, spostrzegli Andrzeja stojącego z ponurą twarzą, z wzrokiem wciąż wbitym w ciemny tunel.

Po wyjściu z Domu Dziecka obydwaj chłopcy po kostki wleźli w kałużę i chwilę w niej postali.

— Czyście zwariowali? — krzyknęła ciocia Andzia. — Zamoczycie nogi i...

— Daj spokój — powiedziała matka Janka słabym głosem. — Jakieś przyjemności dzieci muszą mieć.

— No i coście kupili? — spytał ojciec Janka czekający w przedpokoju z Lejkiem i wielką paczką pod pachą.

— Nic — powiedziała matka Janka. — To jest najwspanialszy Dom Dziecka świata.  
— Nie wydaje się tam ani grosza.

## TRZEBA PLANOWAĆ

— Mamo, dlaczego jedni mają urodziny, a inni imieniny? — zapytał Janek ustami zapchanymi całym, czerwonym jabłkiem.

— Bo jedni obchodzą, a inni nie.

— To jest tak jak z Gwiazdką i z Nowym Rokiem — tłumaczył Andrzej, który coś tam majstrował przy starym, wyrwanym niegdyś ze ściany kontakcie elektrycznym. — Jedni obchodzą jedno, a inni drugie

— A którzy?

— Jak będziesz starszy, to się dowiesz — powiedziała ciocia Andzia znad skarpetki, którą cerowała.

— Aha — powiedział Janek bez większego przekonania. — A Lejek to jak? będzie miał urodziny?

— Będzie miał.

— A jego bracia i siostry?

— Też będą miały.

— Mamo, a jak on się urodził, to ich było dziewięć szczeniaków. A potem, jakeśmy przyszli drugi raz, to było tylko sześć — przypomniał sobie nagle Janek. — Co zrobili z resztą?

— Wybrali te najładniejsze i najmocniejsze, a resztę... resztą posłali spać — powiedziała szybko matka Janka.

— Utopili — stwierdził Janek sucho. — Ja wiem, bo mnie mówiła dziewczynka, że jej tatuś to je topił w kuble.

— Jak wiesz, to po co pytasz?

— Bo ja nie wiedziałem, czy ty wiedziałaś.

— A nas to dużo było, jakeśmy się urodzili? —: dopytywał się Andrzej znad swojego kontaktu.

— Ty masz najgłupsze pytania świata — zirytowała się matka Janka.

— Nieprawda, nasza pani powiedziała, że Heniuś Heniuś cały dzień się pyta i gada. Nasza pani mu dziś kazała za karę stanąć na środku klasy i wysunąć język.

— Andrzej, bredzisz — powiedziała matka Janka.

— Wcale nie, ja tylko przykręcę te śrubki.



— Nie wierzę, że pani kazała Heniusiowi stać z wywieszonym językiem — powiedziała ciocia An—dzia. — Ojej, jaka dziura w skarpetce.

— Pewnie, że kazała.

— Po co?

— Żeby mu obciąć język.

— Czy tak powiedziała?

— Skąąd. — Andrzej pogardliwie wstrząsnął ramionami. — Co miała mówić. Myśmy wszyscy wiedzieli o co chodzi. Nie trzeba wcale wszystkiego zawsze mówić, trzeba się domyślać.

— Mamo, on zagaduje, a ja chcę wiedzieć, czy ja będę miał urodziny czy imieniny — skrzywił się Janek.

— Ty będziesz miał urodziny — powiedziała matka Janka stanowczym głosem. — Zawsze miałeś, odkąd się urodziłeś.

— A tata ma jedno i drugie — wtrącił Andrzej — bo tata chytry.

— A ja chcę na urodziny narty, bo moje są już za krótkie — odezwał się Andrzej.

— A ja saneczki, bo moje zeszłoroczne się rozleciały.

— A coś z nimi robił? — oburzyła się ciocia Andzia.

— Jeździłem na nich z górki „na śledzia”. Tylko że one się nie nadają do zjeżdżania... za słabe.

— A dlaczego ja się bawię kontaktem? — spytał nagle Andrzej. — Bo to wszystko, co człowiek dostał na Gwiazdkę, rozlatuje się.

— Rozleciało się — powiedziała ciocia Andzia krótko.

— Mogę ci dać stary dzwonek elektryczny na urodziny — powiedziała matka Janka.

— Ja wolę żelazko elektryczne. Albo nie, muszę mieć narty.

— A ja chcę jakieś stare radio i sanki — zdecydował się Janek.

Nazajutrz Andrzej i Janek wrócili z przedszkola w ponurych nastrojach. Przysiedli na ławie w przedpokoju i zaczęli rozsznurowywać mokre buty.

— Co się stało? — zaniepokoiła się matka Janka. Zdejmując im czapki, dyskretnie dotykała dłonią czoła.

— Nie mam gorączki — otrząsnął się Andrzej. — Tylko ani nart, ani sanek już w tym roku nie będzie.

— Skąd wiesz?

— Planowanie.

— Jak to planowanie?

— Ty się na tym nie rozumiesz. Muszę pogadać z tatą, jak wróci do domu.

— Kolasiński nam tłumaczył planowanie — powiedział Janek ponuro. — Jego ojciec sam to robi, to on wie.

— Gadajcie, o co chodzi.

— Powiedzieć jej? — zapytał Janek Andrzeja.

— No, niech będzie — zdecydował Andrzej. — Widzisz, wszystko, co się robi, musi być planowane. Inaczej jest nic niewarte. Teraz jest zima i śnieg, tak? No, to jak się widzi, że zima i śnieg, to myśli się o nartach, tak? No to się planuje, że się będzie robić narty. No, ale od razu nic się nie robi. Bo trzeba iść do lasu i rąbać drzewo. No i przywieźć je do fabryki, i kupić gwoździe. To wszystko trwa. Gwoździe trudno dostać. To jak chcesz, żeby były na zaraz. A zanim się je zrobi, to będzie lato. A latem to się znów planuje łódki i kubelki na plażę, i łopatki. To jest bardzo skomplikowane.

— Nie martw się — powiedziała matka Janka. — To nieprawda. Sama widziałam na wystawie na MDM-ie masę sanek. Zobaczysz, że wszystko będzie dobrze.

— Na wystawie to się nie liczy.

— Na wystawie są, żeby każdy widział, że jest zima i że się pamięta o sankach, i że się je planuje. Ale ci nie sprzedadzą, bo Kolasiński był już ze swoją matką i szkoda mrugać. Z wystawy zdejmują dopiero latem.

— Ciocia Andzia jest na mieście i właśnie załatwia te sprawy — powiedziała matka Janka. — Już niech ciebie o to głowa nie boli.

— Mnie nic nie boli i ja nie jestem chory. Jak ja tylko zaczynam mówić o poważnych sprawach, to mama mnie chce gorączkę mierzyć — zdenerwował się Andrzej.

— Dobrze, to ja idę zaplanować kolację — zdecydowała matka Janka. — I zobaczysz, że będzie na wyznaczoną porę.

— Mama się nie zna na planowaniu — stwierdził Janek.

W kilka godzin później, gdy chłopcy już spali, wróciła do domu ciocia Andzia. Była radosna i pełna optymizmu.

— Pokonałam wszystkie trudności. Będą mieli i sanki, i narty — i to tanio.

— Kazałaś zdjąć z wystawy? — dopytywała się matka Janka.

— Nie ma takiej siły, która spowodowałaby zdjęcie czegoś z wystawy — powiedziała ciocia Andzia. — A nart dziecięcych w sklepach nie ma. Podobno bywają, ale ostatecznie nie można sobie ustawić namiotu przed sklepem i czyhać. Urządziłam się inaczej. Zrobiłam sobie listę wszystkich znajomych, którzy mają o rok starsze dzieci. Widzisz, trzeba te rzeczy robić planowo, a nie latać bez sensu po sklepach. Nie, dziękuję, kolacji nie będę jadła, piłam

wszędzie kawę, herbatę, a u Hani Domagalskiej nawet doskonałą dereniówkę. Zadatkowałam narty, saneczki, spodnie narciarskie dla Andrzeja. Jutro pojedę po kilku domach po kijki. Może nawet jeszcze raz zajrzę do Domagalskich, bo Hania miała poszukać na strychu. Aha, gorzej będzie ze starym aparatem radiowym i zepsutym żelazkiem elektrycznym. Byłam w kilku warsztatach. Nie ma starych aparatów. Wszystko naprawiają. Niech ich ojciec się tym zajmie i szuka.

## KRÓLOWA WYGRAŁA

— Jak będę duży — powiedział Andrzej i podrzucił ranny pantofel pod sam sufit — jak będę duży, to zostanę Chopinem, będę wygrywał konkursy i ożenię się z jakąś królową.

— A ja się ożenię z mamą, prawda, mamó? — Janek też podrzucił ranny pantofel do góry.

— Naturalnie — zgodziła się matka Janka. — Ubierajcie się szybciej, bo późno.

— Ja chcę się uczyć grać na czymś — oświadczył Andrzej. — Kup mi trąbę, dobrze? Daję słowo, że się będę uczył.

— Mnie też kup trąbę, na Wielkanoc — ucieszył się Janek. — Będziemy grali na dwóch trąbach i będziemy dawali koncerty. Albo lepiej kup mi taki patyk do dyrygowania.

— Kupię ci patyk — zgodziła się matka Janka szybko. — No, wkładaj już te portki.

— A mnie trąbę kupisz? — zaniepokoił się Andrzej. — Bo jak nie — dodał od niechcienia — to poproszę ciocię Andzię.

— Chopin nie grał na trąbie — przerwała mu matka Janka. — Chopin grał na fortepianie i komponował.

— A co robi teraz, jak już wygrał ten konkurs? — chciał wiedzieć Janek.

— To nie on wygrał — powiedział Andrzej — wygrała królowa. Mama, po co królowej tyle pieniędzy, kiedy ona ma pałac i samochód, i koronę, i w ogóle.

— Głupi — oburzył się Janek. — A jak chce sobie kupić coś do jedzenia, to przecież musi płacić. Albo buty, albo jak chce iść do Mną. Pieniądze są potrzebne. Żebym miał pieniądze, to bym sam kupił taki patyk do grania na orkiestrze,— a tak to co?

— Janek, gdzie są twoje skarpetki? Spóźnicie się, zobaczycie. O, jedną włożył Andrzej. Zdejmuj ją zaraz. A gdzie druga?

— Lejek ma drugą. Nie szarp, bo podrzesz — pouczył Janek. — Daj mu kawałek kiełbasy albo sera, to sam puści. Ja go znam.

— Mama, czy królowa ma psa, jak myślisz?

— Dajcie mi spokój z tą królową. Zwariować można. Od tygodnia o niczym innym nie mówicie. Nie wiem, czy ma psa. Może ma kota. Może ma papugę. Na pewno nie ma takich niemożliwych dzieci. Marsz do kuchni i pijcie mleko.

— Mama jest przeciwko królowej — stwierdził Andrzej wycierając grzbietem dłoni wąsy z mleka. — A Kowalski ją widział. Całe popołudnie stał ze swoją matką na jednej ulicy

i ją widział. Mówi, że nosi koronę i taki czerwony płaszcz z białym futrem, jak ten król, co jest narysowany w naszej książce, a za nią chodzą różni ludzie i gra muzyka.

— Nic podobnego — oburzyła się matka Janka. — Jest zwyczajnie ubrana, jak każdy człowiek, i jest mała i siwa.

— Skąd mama wie?

— Przypadkowo widziałam ją na ulicy — powiedziała matka Janka szybko. — No, a teraz płaszcz i jazda na dół.

— Szału dostanę z powodu tej królowej — oświadczył ojciec Janka wychodząc z pokoju dzieci. — Pół godziny musiałem im czytać Baśnie narodów Związku Radzieckiego, bo tam jest o królewnach, carach i carycach. W biurze też spokoju nie ma. Wszyscy w kółko o jednym. Kto powinien był wygrać konkurs, kto wygrał, że królowa taka, że tu ją przyjęli, że to zwiedzała. Ludzie zupełnie powariowali.

— Kowalska zupełnie zgłupiała — Czy wiesz, że kilka godzin stała z dzieckiem na mrozie na ulicy, żeby zobaczyć tę kobietę.

— I jak klaskała — oburzył się ojciec Janka. — Żebyś ją widziała, to by ci się wstyd zrobiło. Myślałem, że się pod ziemię zapadnę, przecież ona jest w Lidze Kobiet i zbierała podpisy pod...

— A skąd ty wiesz? — krzyknęła matka Janka.

— Przypadkowo przechodziłem koło szpitala na Litewskiej, kiedy akurat wychodziła królowa z całą świtą. Tuż za nią szła ładna, młoda kobieta. Bardzo szykowne te Belgijki.

— Ta młoda to nie żadna Belgijka, tylko Polka do niej przydzielona. Kowalska mi mówiła. Muszę się zająć moją garderobą wiosenną. Nic zupełnie nie mam. Ale coś ty robił na Litewskiej w biały dzień?

— Szedłem służbowo do Ministerstwa Oświaty — zdenerwował się ojciec Janka. — A co ty sobie wyobrażasz? Gdzie jest Andzia? Czas na kolację.

— Andzia? — powiedziała matka Janka z goryczą i spojrzała na zegarek. — Za pół godziny odchodzi pociąg do Brukseli. Andzia pewnie jest zupełnie przypadkowo na dworcu.

## OKAZJA

Ojciec Janka z Lejkiem na smyczy powrócił ze spaceru. Lejek otrząsnął się gwałtownie w przedpokoju i zaraz pobiegł do kuchni do swojej miski z wodą, pozostawiając po sobie na podłodze duże, mokre czarne plamy.

— Otwieramy tę butelkę czerwonego wina węgierskiego, co stoi od świąt — zapowiedział ojciec Janka od progu kuchni. — Co jest na kolację?

— Biały serek — powiedziała matka Janka niezbyt głośno. — A bo co się stało?

— Tata został dyrektorem! — wykrzykiwał Andrzej podskakując w górę. — Teraz tata będzie miał samochód i będzie można robić wyścigi na Nowym Świecie i opryskiwać chodnik błotem, i...

— Cicho, smarkaczu! — zdenerwował się ojciec Janka. — Żadnym dyrektorem nie zostałem i przestań robić plotki.

— Mama, co to są plotki? — zainteresował się Janek. — Czy z tego może być samochód?

— Bardzo rzadko — odpowiedziała matka smarując chleb masłem. — Ale dlaczego to wino?

— Plotki to są takie ryby — pouczał Andrzej Janka.

— Nie plotki, tylko płotki — rzucił ojciec Janka.

— Dlaczego tata mówi, że Andrzej robi płotki? — zapytał Janek.

— Nie mów, jak masz pełną buzię — krzyknęła matka. — Znowu się wszystko pokręciło i człowiek nie wie, na którym jest świecie. Zawsze tak jest, jak jesteście wszyscy razem. Dlaczego to wino?

— Lejek dzisiaj podniósł nogę — powiedział ojciec Janka uroczyście.

— To wspaniale — ucieszyła się matka Janka. — Nareszcie przestaniemy się za niego wstydzić.

— Którą nogę? — zakrztusił się Janek.

— Jak to, którą? — zirytował się ojciec Janka. — Tylną.

— Ale którą tylną — kaszłał Janek. — Prawą czy lewą.

— Nie pamiętam — powiedział ojciec krótko i wyszedł z kuchni.

— Tata się znowu obraził — szepnął Janek Andrzejowi do ucha. — Jakbym to ja nie pamiętał, toby mi dał.

— Aha — stwierdził Andrzej z satysfakcją. —

Dałby. Z pokoju doszedł odgłos wyskakującego z butelki korka.

— Czy są jajka? — zawołał ojciec Janka.

— Są dwa — odkrzyknęła matka Janka.

— A Andzia będzie na kolacji?

— Będzie.

— A jest boczek?

— Był przed chwilą.

— Co to znaczy?

— Dałam go Lejkowi za tę nogę.

— To do czego będzie to wino?

— Poczekaj, ty połóż chłopców spać, a ja zejdę do „Delikatesów” i coś przyniosę — zaproponowała matka Janka. — W końcu takie rzeczy nie zdarzają się codziennie.

— Wiesz co? Zaproszę Kazików i może jeszcze Hanię. — Ojciec Janka delikatnie włożył korek z powrotem do butelki i postawił ją niedaleko kaloryfera. — Od miesiący nikt u nas nie był.

— Dobrze, i zadzwoń do Bąkowskich, winni im jesteście kolację.

— Jak już schodzisz, to przynieś pół litra jałowcówki, na taką kupę ludzi wina nie wystarczy.

— I jak dostanę, to serdelki.

— I może kabanosy.

— Czy masz jakąś forszę?

— Mam pięćdziesiąt złotych.

— Ja mam setkę.

— To musi starczyć.

— Ale do końca miesiąca jeszcze tydzień. Matka Janka czułym wzrokiem spojrzała na Andrzeja.

— Może jeszcze dzemu?

— Jak mama chce, żebym jej pożyczył to, co mam w skarbonce, tak jak w zeszłym miesiącu — powiedział Andrzej sucho — to niech mama da konfitur z truskawek.

— I tak miałam ci dać — stwierdziła matka Janka radośnie.

— I mnie też — zawołał Janek.

— I Lejkowi! — zażądał Andrzej.

— Zęby mu się zepsują.

— Ale on dzisiaj nogę podniósł!

— Dobrze, niech ma.

Po godzinie matka Janka wróciła do domu obciążona paczkami.

— Wydałam wszystko i jeszcze pożyczyłam dwadzieścia złotych od Henia, którego spotkałam w „Delikatesach” — powiedziała zadyszana. — On też przyjdzie, ale później.

— Hania nie chciała przyjść, bo ma gości, ale zgodziła się przyjść razem z nimi — powiedział ojciec Janka. — O nakryciu do stołu na taką ilość osób mowy nie ma. Urządziłem bufet. Dzieci śpią. Jak wszystko wypakujemy, to jeszcze raz zejdę z Lejkiem, żeby mieć spokój.

— Ja z nim pójdę — odezwała się ciocia Andzia z kuchni. — Jak skończę kręcić ten majonez. Jak ja lubię gości!

— Taka okazja często się nie zdarza — mruzczała matka Janka pod nosem z wyraźnej potrzeby samo—usprawiedliwienia.

Ojciec Janka wstawił jałowcówkę do zimnej wody, potem zabrał się do przecierania kieliszków czystą serwetką.

Matka Janka wyładowała wędlinę na półmisek.

Ciocia Andzia kręciła namiętnie majonez. Lejek leżał spokojnie pod drzwiami i tylko wodził wzrokiem od jednej osoby do drugiej.

Goście wyszli o drugiej.

Ciocia Andzia i matka Janka nałożyły fartuchy i zabrały się do olbrzymiej sterty brudnych naczyń. Ojciec Janka wypróżniał popielniczki, ustawiał meble na miejscu i wreszcie zabrał się do wycierania talerzy.

Panowała cisza przerywana tylko bulgotaniem wody we wciąż zatykającym się zlewie.

— Nie chciałam wam wcześniej powiedzieć — odezwała się ciocia Andzia, kiedy prawie wszystkie talerze stały już w kredensie. — Ale ten Lejek wcale nogi nie podnosi z potrzeby. On ma skaleczoną tylną łapę i inaczej jak na trzech nogach kucnąć nie może. Przemyłam mu ranę spirytusem. Do jutra powinno się zagoić.



## DROBNE USTROJE

— Mama, on ma mikrusy w nosie — zapewnił Janek matkę, wskazując na Andrzeja.

— Jakie znowu mikrusy?

— Nie widzisz, że ma katar?— Ma. Andrzej, gdzie znowu podziałeś chustkę do nosa?

— Została w przedszkolu. Kneblowaliśmy Anielkę.

— Jak to kneblowaliście?

— Bawiliśmy się w piratów.

— Ona też będzie miała teraz mikrusy — stwierdził Janek. — Mikrusy robią katar i zsiadłe mleko, i w ogóle wszystkie choroby.

— Z kim wyście znowu rozmawiali? — zdziwiła się matka Janka.

— Pani doktor nam tłumaczyła, skąd się biorą choroby — objaśnił Andrzej.

— Mikroby! — ucieszyła się matka Janka. — No, nareszcie rozumiem, o co chodzi.

— Drobnoustroje — popisywała się ciocia Andzia z kanapy, szybko machając drutami, na których robiła coś z zielonej włóczki. — Bardzo dobre przedszkole, zawsze ci mówiłam. Przynajmniej dzieci się czegoś uczą. No i co jeszcze mówiła pani doktor?

— Mówiła, że trzeba im myć ręce — powiedział Janek. — Szczególnie przed jedzeniem, i że są bardzo małe, i że ich nie widać. Tak jak krasnoludki. Są bardzo pracowite. Robią grypy i anginy.

— I szkarlatyny — zawołał Andrzej.

— I psują żołądek — dodał Janek.

— I nie tylko żołądek, ale masło i kielbasę, potem się zjada te zepsute masło i kielbasę i człowiek ma zepsuty żołądek i tak w kółko. Bo one wszędzie włożą i paskudzą.

— Już zaczynacie się wygłupiać — oburzyła się ciocia Andzia. — Poważnego słowa nie można z wami zamienić.

— Sama mówiłaś, że wiesz o tych drobnych mikrusach — zdziwił się Janek.

— Drobnoustrojach — poprawiła ciocia Andzia. — Andrzej, chodź tu, to ci przymierzę przód, bo nie wiem, czy już zacząć pachę, czy jeszcze zrobić ze dwa rzędy.

— Zrób dwa rzędy — poradził Andrzej. — Pójdę, podleję maciejkę, co ją mam w doniczce na oknie, i potem przymierzę.

— Ciekaw jestem, czy w doniczce też są mikrusy? — zastanowił się Janek. — Bo mówili, że wszędzie.

— Ciekawa jestem rzeczywiście, jak to jest — powiedziała ciocia Andzia do matki Janka, gdy chłopcy wyskoczyli z pokoju, by podlać maciejkę.

— Zrób śmiało jeszcze dwa rzędy — poradziła matka Janka. — On rośnie jak na drożdżach.

— Ja mam na myśli te mikrusy, fe, mikroby. No właśnie, w drożdżach są na pewno.

— Są — zgodziła się matka Janka.

— W ogóle, człowiek się naprawdę nie zastanawia nad tym, na co się naraża — ciągnęła ciocia Andzia. — Na przykład Lejek. Pełno w nim mikrobów, a potem liże dzieci po rękach. Albo jak przewożą mięso ciężarówkami i skaczą po nim nogami w butach. Albo chleb... dają ci ręką, a potem biorą od ciebie pieniądze, wydają ci resztę, potem znowu biorą chleb...

— Przestań! — krzyknęła matka Janka — przecież nie będziesz mogła w ogóle nic jeść, jak zaczniesz się zastanawiać nad takimi sprawami. Uważaj, zagadałaś się i zrobiłaś co najmniej dziesięć rzędów. Zastanawiam się, czy nie zrobić już tego swetra dla mnie, a Andrzejowi inny, bo wyszedł jakiś strasznie duży.

— Mama! — wrzasnął Andrzej — cała maciejka przechyliła się na jedną stronę i zupełnie krzywo rośnie. Może ona też ma mikroby?

— Skąd — powiedziała matka Janka. — Ona po prostu zwraca się do światła. Przekręć doniczkę, a do jutra ci się wyprostuje.

— Eeee? Ja w takie rzeczy nie wierzę. — Andrzej wypiął pierś i ustawił się przed ciocią Andzia.

— No, mierz.

— Trzeba pruć — westchnęła ciocia Andzia.

— To świetnie — ucieszył się Andrzej. — Dawaj, ja to umiem bardzo dobrze robić.

— Widziałem drobnego ustroja! — Janek wpadł rozentuzjasmowany do pokoju. — Jest czarny i skacze, i mieszka w futrze Lejka.

— Pchła! — krzyknęły jednocześnie ciocia Andzia i matka Janka.

— Nic podobnego — oburzył się Janek. — Jeszcze potrafię chyba odróżnić pchlę od drobnego mikrusa.

— Znowu trzeba go kąpać — westchnęła matka Janka. — Powiedźcie ojcu, jak wróci do domu.

— Jak go znam — oświadczył Janek — to on będzie zmęczony. Trzeba mu będzie poza tym opowiedzieć o mikrusach, żeby się wystrzegął w biurze.

Zadzwoił telefon.

Andrzej podbiegł i chwycił słuchawkę.

— Halo, kto mówi? — krzyknął z całych sił. — Pomyłka.

Matka Janka wyrwała mu słuchawkę.

— Słucham. Nie, nie zamawialiśmy Nowogrodu — powiedziała bardzo złym głosem.

— A co to za ogród? — zainteresował się Janek.

— Nie wygłupiaj się, to jest miasto. A ty nie krzycz od razu: „pomyłka” — zwróciła się do Andrzeja — bo czasami dzwoni ktoś znajomy.

— Pomyłki w telefonach też robią mikroby — zastanowił się Andrzej. — Teraz już zaczynam wszystko rozumieć. I za długie swetry. I za gorącą wodę do kąpieli, i to, że w niedzielę zawsze pada deszcz, i że się dostaje po dwie trąbki na imieniny, i że wszystkie zabawki od razu się psują, i że winda nigdy nie chodzi, i...

— I że jak jest gorąco, to nie ma wody sodowej — dodała ciocia Andzia — i że nigdy nie ma sandałów, i że nie można dostać płatków mydlanych...

— I że w kawiarniach dają zamiast kawy lurę — przerwała jej matka Janka — i że sprzedawczynie są zaspane, i że nigdzie nie wolno wprowadzać psów, i że...

W drzwiach pokoju stanął ojciec Janka, z teczką w ręku, i przerażonym wzrokiem patrzył na swoją rodzinę.

— Co się tu dzieje? — wykrztusił wreszcie. — Z dziećmi na ustrój narzekacie? Tego jeszcze nie było.

— Nie na żaden ustrój. — Janek uczeplił się nogi ojca i zaczął się na niego wdrapywać. — My tylko mówimy o drobnych ustrojach.

## WYŚCIG KSIĄŻKI

— Ja dziś nie będę w ogóle spał — Janek włożył pod kołdrę dwie ciężarówki, zakopiańską ciupagę, jedną żyrafę i kilka klocków.

— Pewnie, że nie będziesz spał — stwierdziła matka Janka — bo nie będziesz miał miejsca w łóżku. Nie możesz spać z tym całym kramem.

— Ja nigdy w nocy nie śpię — powiedział Janek poważnie. — Tobie się tylko zdaje, ale ja całą noc myślę o różnych rzeczach albo się bawię.

— Dlaczego?

— Drobne ustroje

— Bo mi szkoda czasu. Cały dzień jestem zajęty w przedszkolu, to przynajmniej w nocy się pobawię.

— On kłamie — zawyrokował Andrzej ze swojego łóżka — mama zobaczy, że on za chwilę będzie chrapał jak niedźwiedź. To ja nie śpię całą noc. Ale ja umiem świetnie chrapać i nikt nie pozna, czy ja śpię, czy nie. Nawet tata. Możecie mnie łechtać — dodał z triumfem — nawet się nie uśmiechnę.

— A dlaczego nie śpisz? — zainteresowała się matka Janka.

— Bo jestem zajęty — powiedział Andrzej krótko.

— Nie powiesz czym?

— Nie powiem. Człowiek musi mieć swoje tajemnice.

— Musi — zgodziła się matka Janka poważnie.

— Ja znam jego tajemnice — krzyknął Janek — on się zwyczajnie boi.

— Całą noc? — zapytała matka Janka, układając na krzesłach ubranka chłopców. — Janek, dlaczego twoje majtki są zawsze czarne, przecież nosisz na nich spodnie? A skarpetki jak smoła!

— To przez park Dreszera — powiedział Janek wkładając twarz w kubek do piasku — niech mama posłucha. To głośnik z trasy wyścigu. Zupełnie brzmi tak samo. O, uwaga! uwaga! Nadjeżdża nasza ekipa!

— Jak to przez park Dreszera? Nie rozumiem.

— Bo tam ścieżki są wysypane takim czarnym czymś, pewnie z węgla — objaśniał Andrzej cierpliwie — i jak się chodzi, to się robi taki czarny kurz. A najlepiej, jak się szura nogami, to w ogóle dzieciaków nie widać.

— A jak się upadnie, to całe ubranie robi się czarne — dodał Janek przez swój zaimprovizowany głośnik — potem, jak wracamy do przedszkola, to bawimy się w uciskanych Murzynów. Halo, halo, proszę zejść z trasy! Królak jedzie!

— Jak to uciskanych?

— Biali ich uciskają, mama nie wie? — zdziwił się Andrzej. — Ci, co nie byli w parku, są biali i uciskają tych, co byli, bo oni są czarni.

— Jedna matka bardzo się złościła, bo jej Małgosia była ubrana w różową sukienkę i białe sandały, a po parku Dreszera to była najlepsza Murzynka do uciskania. Powiedziała pannie Kazi.

— No i co? — matka Janka usiadła na krześle i zabrała się do przyszywania guzika do spodni Andrzeja.

— Panna Kazia powiedziała, żeby ta matka wyczarowała inny park koło przedszkola — powiedział Janek — ale ona nie jest czarownica, ja ją znam. Cna nic nie wyczaruje. Będzie musiała wszystko pracować. Uwaga! Halo! Jadą Hindusy!

— Mama, czy od brudu można umrzeć? — spytał Andrzej.

— Nie zastanawiałam się nad tym. Chyba tak — powiedziała matka Janka odgryzając nitkę. — Spytamy taty, jak przyjdzie. Powinien zaraz być. Obiecał, że wam dzisiaj poczyta. Kupił nowy tom Brzechwy.

— Ja wiem, ja wiem — ucieszył się Janek. — Myśmy razem kupowali w niedzielę w Alejach na wyścigu książki.

— Na kiermaszu książki — poprawiła matka Janka cierpliwie.

— Kiedy tam był wyścig kolarski — tłumaczył jej Janek — wszystko było ogrodzone sznurami. Tata był frajer i zapłacił za wejście, a ja przeszedłem między nogami. Ale gazowali! Uwaga! Uwaga! Brzechwa jedzie!

— Jaki znowu Brzechwa? Chyba już zgaszę światło, bo zaczynacie mówić od rzeczy.

— No, mama — oburzył się Janek. — Mówię ci, że na tym kiermaszu to ci wszyscy, co napisali te książki, co tam leżą, gazowali na rowerach i się ścigali. Mama mi nie wierzy, to tata mamie powie. Mieli takie kolorowe koszulki i czapeczki. Nie wiem, który dojechał pierwszy. Pewnie Brzechwa, bo jest najlepszy, lata mówi, że kupił ostatnią jego książkę. Jak ostatnią, to pewnie znaczy, że już koniec, więcej jego książek nie będzie, bo przestał drukować.

— Przecież on sam nie drukuje — tłumaczył Andrzej Jankowi — tylko taki drukarz, co ma taką samą maszynę do pisania jak mama, tylko większą i z centralnym ogrzewaniem.

— Figę wiesz — zdecydował Janek.

— Wiem, bo zaglądałem przez okno do drukarni, jak przechodziłem tam z cicią Andzię. Ona mnie podsadziła.

— Gdzie jest tata? — denerwował się Janek. — Mnie się spać chce.

— Tata poszedł z Lejkiem na zastrzyk — powiedziała matka Janka.

— Jaki znowu zastrzyk? — spytał Janek przez kubeł. — Uwaga! Uwaga! Zastrzyk!

— Na wściekliznę — powiedziała matka Janka wstając z krzeselka. — Czas na was. Chyba wam sama poczytam.

— Żeby się nie wściekał, to bardzo dobrze — zdecydował Janek. — Bo on codziennie zrzuca wszystkie poduszki i kołdry z łóżka i warczy, kiedy mu nie daje. To po tym zastrzyku będzie już spokojny? Może dać taki zastrzyk Andrzejowi? On się często wścieka.

— Niech mama czyta nowego Brzechwę — zażądał Andrzej.

— Ale on jest bez obrazków — ostrzegwał Janek — ja wiem, bo sam z tatą kupowałem. I w twardej okładce, takiej szarej, też bez obrazka.

Matka Janka wyszła do drugiego pokoju i po chwili wróciła z grubym tomem wierszy wybranych.

— „Pchła Szachrajka”? — zaproponowała.

— Mamy z obrazkami — zawołał Andrzej. — Mama się myli, to jest już wydrukowane w innej książce.

— To „Trupa pana Dropsa”?

— To też mamy z obrazkami.

— No to „Kaczka Dziwaczka”.

— Mama się pewnie pomyliła. Tata kupił nową książkę, a my już to mamy w innych książeczkach — zaczął się złościć Andrzej.

— Mówię wam, co tu jest.

— To jest lipa — zdecydował Andrzej — ten drukarz się pomylił i wszystko jeszcze raz wydrukował. A mama niech czyta o korsarzu Palemonie.

— Dobrze — zgodziła się matka Janka — ale wy nie rozumiecie. To jest zbiorowe wydanie.

Gdy czytanie się skończyło, matka Janka zgasiła światło.

— Dobranoc — powiedziała — śpijcie dobrze.

— Kiedy my nie będziemy spali — oświadczyli jednogłośnie.

— Wiecie co? — dodała — mam pomysł. Kto pierwszy zaśnie, głośno krzyknie „kukuryku”! Wtedy ja przyjdę i zobaczę. Kto wygra, dostanie cukierka.

— Byczo! — ucieszył się Andrzej.

— Byczo! — powtórzył Janek już bardzo śpiącym głosem.

Po pięciu minutach rozległo się z pokoju chłopców potężne „kukuryku”. Matka Janka wsunęła głowę w drzwi.

Janek spał kamiennym snem. Andrzej był schowany pod kołdrą.

— No, który pierwszy zasnął? — spytała. Nikt nie odpowiadał.

— No, który? — dodała.

— Ja, pewnie, że ja — zamamrotał Andrzej spod kołdry.

— Przecież nie śpisz.

— Ja śpię, ty mnie nie znasz — ziewnął Andrzej — ja nie tylko umiem udawać, że śpię, kiedy nie śpię, ale że nie śpię, kiedy śpię. Wygrałem. Dawaj cukierka.

## MIĘDZYNARODOWY DZIEŃ

— Co to jest za dzień, międzynarodowy dzień? — zawołał Janek, wpadając do kuchni.  
— Daj mi chleba z powidłami, bo jestem głodny, ale żeby była przylepka.

— To jest taki dzień, co jest na całym świecie — odpowiedziała ciocia Andzia szybko.  
— Chleb ma tylko dwie przylepki. Jedną już zjadłeś, druga jest dla Andrzeja. Dam ci zwyczajną kromkę.

— A czy są takie dni, co nie są na całym świecie? — zdziwił się Janek. — No, na przykład wtorek był na całym świecie, czy nie był?

— Nic nie rozumiesz — oburzyła się matka Janka. — Każdy dzień jest na całym świecie, ale międzynarodowy dzień jest taki specjalny. Andzia, daj mu tę drugą przylepkę, z Andrzejem sobie jakoś poradzę.

— Bo dzisiaj jest Międzynarodowy Dzień Dziecka — upierał się Janek. — To ja bym chciał wiedzieć, co to ma być.

— Trzeba było zaraz powiedzieć, o co ci chodzi — powiedziała matka Janka. — To jest święto dzieci całego świata. To jest taki dzień, kiedy mają być grzeczne — dodała szybko. — Myślałam, że to dopiero w niedzielę.

— Akurat — zawołał Andrzej od progu. — To jest dziś i to jest taki dzień, kiedy się dostaje prezenty. Malinowski dostał od swojego starego kolej elektryczną. Tylko my nigdy nic nie dostajemy. Nawet w krajach kapitalistycznych dostają prezenty, a mama nam daje albo chustki do nosa, albo skarpetki na urodziny. On je moją przylepkę.

— Dam ci zwyczajną kromkę — zaproponowała matka Janka — ale za to dwa razy grubiej posmarowaną powidłami.

— Nie powidłami, ale pasztetem i trzy razy grubiej — zgodził się Andrzej. — Malinowscy to zawsze kupują zakopiański i mają cztery przylepki. — A u nas nałęczak i nałęczak, to są tylko dwie.

— Jak był dzień matki — powiedział Janek — to myśmy dali mamie doniczkę z pelargonią, mama pamięta?

— Tata ją pożyczył od Kowalskich z trzeciego piętra, ale im potem odkupił — przypomniał sobie Andrzej. — Jeżeli mama o nas zapomniała, to mogła pożyczyć od nich hulajnogę Kazia i mu jutro kupić inną. To bym miał coś na ten międzynarodowy dzień. A dla Janka, to ja mogę mamie pożyczyć tę siatkę na motyle, co dostałem w zeszłym roku od cioci, i za to mama mi może jutro kupić straż ogniową w Cedecie.



— Kiedy ja nie chcę żadnej siatki na motyle — zdenerwował się Janek. — J§ chciałbym tablicę do pisania i kolorowe kredki.

— Mogę ci dać — zgodził się Andrzej — pod warunkiem, że mi je jutro odkupią, ale z gąbką do wycierania, bo mi się gdzieś zapodziała. No co, dostanę tę hulajnogę?

— Nie mogę tam iść — tłumaczyła się matka Janka — bo jestem pani Kowalskiej winna szklankę cukru od zeszłego tygodnia. Idźcie do swojego po—koju i pożyczcie sobie coś nawzajem, a ja wam jutro odkupię. Tylko pamiętajcie, że nie mam dużo pieniędzy.

Wyszli z kuchni bardzo zadowoleni.

Po chwili wrócili jeszcze bardziej rozpromienieni.

— Mama wie, cośmy wykombinowali — uśmiechnął się Andrzej — tak żeby to mamę w ogóle nic nie kosztowało. Ja wezmę taty skrzynkę z narzędziami, a Janek radioaparat.

— A na przyszły rok — dodał Janek uprzejmie — jak mama by znów nie miała pieniędzy, to ja mogę wziąć mamy maszynę do pisania. Mnie nie przeszkadza, że jest używana.

## DOM STARCÓW

— Udało się — westchnęła matka Janka. Rzuciła płaszcz na fotel, a sama usiadła ciężko na kanapie. — Przyjmą do drugiej klasy.

— Kogo? — ciocia Andzia podniosła nieprzytomny wzrok znad jakiegoś pisma kobiecego. — Szalenie ciekawy numer. Musisz przeczytać. Jest o gimnastyce oczu.

— Andrzeja mi przyjmą do drugiej klasy — powiedziała matka Janka — strasznie by się nudził w pierwszej, bo przecież już od dawna czyta i pisze, i rachuje. Sama nie wiem, kiedy się nauczył. Poza tym, w lutym będzie miał osiem lat.

— Wszyscy tak w naszej rodzinie — uśmiechnęła się ciocia Andzia. — Me wiem jak ty, ale ja i moi bracia wszyscyśmy czytali w piątym roku życia.

— Wiem, wiem — ucięła matka Janka krótko — on się wrodził w ojca, wiadomo. Za to Janek mój syn, bo tępy.

— Skąd znowu — oburzyła się ciocia Andzia — bardzo udane dziecko. Czasem mówi dziwne rzeczy, ale mu to na pewno przejdzie. Posłuchaj, z tą gimnastyką oczu. Obracasz gałki w lewo, a potem w prawo. Nie, najpierw w prawo, a potem w lewo. Potem patrzysz w górę, potem w dół. Przyciskasz palce do skroni, zamykasz powieki. Tylko dwie minuty dziennie. I masz zawsze piękne, błyszczące oczy i zmarszczki nie robią ci się w kącikach. Warto poświęcić dwie minuty, nie uważasz?

— Bzdura — zachnęła się matka Janka. — Nie mam czasu na takie zajęcia. Czy ty wiesz, co ja mam jeszcze do roboty?

— Dwie minuty — namawiała ciocia Andzia. — Uroda nie jest wieczna. Masz, sama przeczytaj.

— Potem — matka Janka wstała z trudem, zaniósła płaszcz do przedpokoju, powiesiła na wieszaku i znikła w kuchni.

— Pójdiesz do drugiej — powiedziała do Andrzeja, który coś majstrował przy zlewie. — Uważaj, bo mi zalejesz całą kuchnię.

— Muszę podlać moją kukurydź na balkonie — powiedział Andrzej pośpiesznie. — Będzie egzamin?

— Egzamin — poprawiła matka Janka. — Nie, nie będzie. Pani powiedziała, że będą cię przez pierwsze tygodnie pytać na lekcjach, a jak się nie nadasz, to cię odeślą do pierwszej. Skąd masz kukurydź?

— To nie jest prawdziwa kukurydza. To jest fasola, ale myśmy się z Jankiem umówili, że to kukurydza i nabieramy całe podwórko. Tylko że wejść nie chce. Wczoraj ją wygrzebałem i nic, nawet kielka nie puściła. Jakaś lipna, czy co.

— Nigdy ci nie wzejdzie, jak ją będziesz co chwila odkopywał.

— Co chwila? — oburzył się Andrzej. — Odkopałem ją tylko dwa razy. Raz wczoraj i raz dziś. Mama się czepia — dodał szybko i wybiegł z kuchni, wynosząc kapiącą konewkę.

Matka Janka westchnęła ciężko i zabrała się do szykowania kolacji. Spojrzała mimochodem w lusterko wiszące nad zlewem i znów westchnęła. Postawiła mleko na gaz i znów wróciła do lusterka. Przyglądała się uważnie swojej twarzy.

— Mamo, mleko kipi! — wrzasnął nagle Janek z progu. — O, już za późno!

— Jestem już stara — skonstatowała matka Janka i ciężkim krokiem poszła do kuchenki gazowej.

— Bardzo stara — zgodził się Janek. — Nie taka jak ta baba na obrazku, co miała koziółeczka, ale stara. Ile masz lat? — spytał z zainteresowaniem.

— Osiemnaście — powiedziała matka Janka głosem bardzo stanowczym.

— Ojej, tak dużo? — zdziwił się Janek. — To już pewnie niedługo umrzesz?

— Mam nadzieję, że jeszcze nie tak prędko — matka Janka zabrała się do szorowania garnka od przypalonego mleka.

— Tu się coś przypala — stwierdziła ciocia Andzia, wchodząc do kuchni z plikiem pism pod pachą.

— Już się spaliło — stwierdziła matka Janka sucho. — Jestem okropnie dziś zmęczona. Wierzyć mi się nie chce, że Andrzej już niedługo będzie chodził do szkoły.

— Czy ciocia Andzia też ma osiemnaście lat? — dowiadywał się Janek.

— Nie, siedemnaście — powiedziała matka Janka szybko. — Leć do łazienki i umyj łapy, bo masz czarne jak smoła.

— Jeszcze starsza? — zdziwił się Janek. — A tata?

— Tata ma szesnaście, jest najstarszy z nas wszystkich — matka Janka trzepnęła go ścierką po nogach. — No, jazda, uciekaj, myj łapy.

— Dom starców! — krzyknął Janek biegnąc do łazienki.

— Nic dziwnego, że Janek jest taki — powiedziała ciocia Andzia z wyrzutem w głosie — jak ty zawsze z nim prowadzisz takie dziwne rozmowy. Ale słuchaj, wyglądasz rzeczywiście kiepsko. Połóż się, a ja już im dam kolację. Masz, tu jest piętnaście numerów tego tygodnika. Przeczytaj sobie porady dla kobiet. Przydadzą ci się.

Matka Janka wzięła gazety i poszła do pokoju.

— Chłopcy! — zawołała ciocia Andzia. — Co chcielibyście na kolację?

— Kukurydzę — odpowiedział Janek z miejsca.”

— Kukurydza będzie w sierpniu. A dzisiaj co zjecie? Jajecznicy ze szczypiorkiem chcecie?

— Chcemy — rozentuzjasmował się Andrzej. — Tylko dużo.

— Nie mówi się chcemy, tylko prosimy — pouczała ciocia Andzia.

— Ale przecież pytałaś, czy chcemy — powiedział Janek.

— Kukurydzę trzeba najpierw kisić — rozmarzył się Andrzej — a potem będziemy mieli paszę na całą zimę.

— Dla kogo znów paszę? — chciała wiedzieć ciocia Andzia.

— Jak to dla kogo? Dla wszystkich. Dla mamy . i dla taty, i dla nas.

— Ludzie nie jedzą paszy, paszę jedzą zwierzęta domowe — ciocia Andzia rozbiła do kubka cztery jajka i zaczęła rozglądać się za patelnią.

— To będzie dla Lejka. On jest domowe zwierze.

— Tylko że to jest przecież fasola, a nie kukurydza — zmartwił się Andrzej. — Co tu bujać.

— Wystaram się wam o kukurydzę, o prawdziwą kukurydzę — obiecała ciocia Andzia — znam jednego urzędnika, co pracuje w rolnictwie.

— To urzędnicy też pracują w rolnictwie? — zdziwił się Janek. — W biurach sadzają?

— Nie sadzają tylko sadzą, a w ogóle nie sadzą tylko siedzą. Z wami oszaleć można.

— Siadajcie już, bo wam wystygnie, nie mam do was tyle cierpliwości, co wasza mama.

— Bo jesteś starsza — stwierdził Janek pełnymi ustami.

Matka Janka wsunęła głowę przez drzwi kuchni.

— Czy zostało dla mnie jajko? — spytała. — I czy jest olej?

Po chwili wyszła, zabierając ze sobą miseczkę, jajka i butelkę oleju.

— Pewnie coś robi dla Lejka — skonstatował Andrzej.

Gdy chłopcy byli już nakarmieni i wykąpani ciocia Andzia zajrzała do matki Janka, wydała krótki okrzyk zgrozy i szybko zamknęła drzwi.

— Nie powiecie mamie dobranoc — oświadczyła. — Mamę boli głowa. Poczytam wam sama.

W pół godziny później ciocia Andzia kończyła właśnie porządkowanie łazienki, gdy weszła matka Janka. Na twarzy miała twardą, żółtą skorupę, włosy nakręcone na papierki. Za nią biegł merdając Lejek.

— Nie chce to zejść z twarzy — powiedziała dość niewyraźnym głosem. — Chyba że pozwolę zlizać Lejkowi. Ma wielką ochotę.

— Co to jest? — spytała ciocia Andzia bardzo spokojnie.

— Maseczka — zasepleniła matka Janka. — Fuj, mam zupełnie sztywną twarz. Żółtko z olejem. Zastygło na kamień. Zalecane przez twoje pismo.

— Zmyj watą i ciepłą wodą z mydłem — zaproponowała ciocia Andzia. — Zlituj się, chyba sobie nie obcięłaś włosów?

— Obcięłam, nawinęłam, oczy sobie gimnastykowałam, leżałam pół godziny głową niżej niż nogi, zrobiłam sobie masaż łydek, jestem bardzo zmęczona — powiedziała matka Janka. — Ale czuję się lepiej i jakoś młodziej. Poczekaj, zmyję sobie to paskudztwo, upudruję się trochę i przyczese, włożę czystą bluzkę.

Późnym wieczorem zjawił się w domu ojciec Janka.

— Co tak późno? — matka Janka wspięła się na palce i pocałowała go w policzek.

— Było zebranie, mówili o kukurydzy. Pachniesz świeżym ciastem — ucieszył się. — Piekłaś?

— Ależ skąd, studiowałam zasady zachowania urody i młodości — powiedziała matka Janka, wykręcając głowę na wszystkie strony — widzisz, zmieniłam fryzurę.

— Rzeczywiście — stwierdził ojciec Janka. — A masz coś na kolację?

— Wszystko gotowe w kuchni. Ale najpierw mnie posłuchaj. Kobieta może być młoda i piękna, jeżeli poświęci pięć minut dziennie na gimnastykę ciała, dziesięć minut na pielęgnację — ręk, pięć minut na szczotkowanie włosów, pięć minut na masaż stóp, dwie minuty na gimnastykę oczu, dziesięć minut na masaż twarzy, raz na miesiąc godzinę na pedicure, raz na tydzień dwie godziny na fryzjera, codziennie pół godziny na kąpiel w płatkach owsianych, raz na tydzień pół godziny na maseczkę z żółtka, raz na tydzień godzinę na masaż głowy i nacieranie włosów olejem, raz dziennie pięć minut na masaż łydek, raz dziennie dziesięć minut na leżenie głową na dół...

— Czyś ty oszalała — krzyknął ojciec Janka. — Skąd ci to przyszło do głowy?

— Ona zrobiła wielki błąd — powiedziała ciocia Andzia. — Widzisz, ona przeczytała jednym ciurkiem kupę starych numerów pism kobiecych i zebrała razem porady z kilku miesięcy.

## ŻYRAF NIE BĘDZIE

— Podobno znów są cudzoziemcy — powiedział Janek przy śniadaniu. — Co to są?

— Ludzie z obcych krajów — wyjaśniła ciocia Andzia.

— Po czym się ich poznaje? — dowiadywał się Janek. — Bo ja zaraz idę na rower. Jak by taki obcy ziemiec przeszedł, to skąd bym wiedział?

— Po samochodach ich poznać — Andrzej wskrobywał resztki jajecznicy z patelni — mają takie duże, kolorowe i wyglansowane i nie wiadomo gdzie przód, a gdzie tył.

— A jak chodzą piechotą? — Janek z trudem przełykał suchą bułkę. i

— Daj, posmaruję ci — zaproponowała ciocia Andzia. — A w ogóle wszyscy ludzie na całym świecie są jednakowi i niczym się od siebie nie różnią.

— Nieprawda — oburzył się Andrzej. — Indianie są czerwoni, a Murzyni czarni. Murzynek Bambo na przykład. Czarny jak smoła.

— Murzynek Bambo W Afryce mieszka Trudno i darmo Jest nasz koleżka... — zaśpiewał Janek dosyć fałszywie.

— Jak to trudno i darmo? — zdziwiła się ciocia Andzia. — Coś musiałeś pokręcić.

— My tak śpiewamy w przedszkolu — zapewnił ją Janek. — Może pani śpiewa trochę inaczej, ale my tak.

— Chociaż może prawdziwi Murzyni wcale nie mają czarnej skóry —1— zastanowił się Andrzej. — Książki bujają. Jak tu był ten Indianin, ten Nero, to widziałem, że wcale nie jest czerwony, tylko tak opalony. A w książce to piszą, że Indianie są czerwonoskórzy. A w książce wcale nie pisali, że Indianie jeżdżą w samochodzie na stojąco i noszą białe czapeczki marynarskie. I sam widziałem, że nie miał ani łuku, ani strzał.

— Ten pan to nie był żaden Indianin, tylko Hinduś — pouczała ciocia Andzia. — Kończcie już to mleko, bo wam wystygnie, i jazda na podwórze, na rowery. I żebyście nie wychodzili na ulicę, bo żadnych cudzoziemców dziś nie ma.

— Właśnie że są. Pełno ich jest. Już przyjeżdżają na ten festywal. Ja bym nie chciał akurat wtedy jechać na kolonie.

— To nie jest festywal dla dzieci — ciocia Andzia szybko sprzątała naczynia i układała je w zlewie. — Obejdzie się bez was w Warszawie.

— Ale będzie sto milionów ludzi — zawołał Andrzej. — Wszyscy w tych samochodach i w różnych czapkach. Henio mówi, że będzie wolno deptać trawniki i wycinać

na drzewach na pamiątkę i że będą banany i znaczki do przypinania, i okropny tłok, i tańce na ulicy. Ja nie wyjeżdżam.

— Wyjeżdżasz — powiedziała ciocia Andzia krótko. — Na festiwalu i bez ciebie będzie dosyć zamieszania?

— A Henio? — zdenerwował się Andrzej. — Jemu to wolno będzie pisać na ścianach, a mnie nie?

— Na ścianach pisać wolno tylko organizatorom festiwalu — wyjaśniła ciocia Andzia. — Ty będziesz robił babki z piasku nad morzem.

Ciocia Andzia puściła gwałtowny strumień wody i zaczęła hałaśliwie zmywać naczynia.

— Oni się chcą nas pozbyć, a sami to będą oglądać tych różnych obcych ziemców i cyrki, i fajerwerki. Najlepiej będzie, jak zachorujemy — powiedział Andrzej do Janka na schodach.

— Pewnie, zachoruje się — zgodził się Janek — ale na co?

— No, na co ty byś chciał? — zapytał Andrzej wspaniałomyślnie. — Wybierz sobie jakąś chorobę, bo nie możemy mieć tego samego.

— Coś bez penicyliny — zastanawiał się Janek.

— Takich chorób to pewnie nie ma.

— Najlepiej katar.

— E, to nie żadna choroba.

— No to angina.

— Penicylina.

— No to grypa.

— Skąd? Penicylina i bańki.

— Odra.

— Przecież mieliśmy. Okropnie swędzi.

— Zatoki!

— To się ma zawsze.

— Wysypka.

— Trudno zrobić.

— Może farbą.

— Eee, zejdzie przy myciu.

— Szkarlatyna.

— Można umrzeć.

— To ‘ja już nie wiem. Przecież muszą być jakieś choroby.

— Są, są. Jak się nie chce, to się zawsze choruje.

— Już wiem. Świnka!

— Okropnie boli i jeść nie można. Miałem w zeszłym roku.

— To wymyślmy jakąś nową chorobę, której jeszcze nie było.

— To trzeba wymyślić nazwę.

— Może ślepa odra — zaproponował Janek.

— Albo wieczna kiszka — zastanawiał się Andrzej.

— E, pewnie na to też dają penicylinę. Przysiedli na schodach.

— Z taką chorobą, co jej nikt nie zna, to jeszcze wezmą do szpitala — odezwał się Andrzej po dłuższej przerwie.

— I tak się nic nie zobaczy — Janek zawzięcie drapał się w kolano.

— To co zrobimy?

— Można się awanturować — zaproponował Janek.

— To do chrzanu. Może dać im całą tygodniówkę. Oni nigdy nie mają pieniędzy.

Milczeli bardzo długo. Patrzyli przez zakurzone okno klatki schodowej na zachmurzone niebo. Po chwili zaczął padać deszcz.

— Pamiętasz, jak byliśmy w cyrku? — spytał nagle Andrzej.

— Pamiętam.

— Pamiętasz, jakieś się nudzili? — No.

— Lwów nie było.

— Nie było.

— Tygrysów nie było.

— Nie było.

— Słoni nie było.

— Wciąż się huścili i huścili pod sufitem.

— Lodów nam tata nie kupił, żebyśmy się nie przeziębili;

— A zanim kupili nam te bilety, to opowiadali, że będzie tak wdechowo, jak nawet nie jest na kukielkach. Pamiętasz?

— No, opowiadali.

— A potem co. Było tylko raz śmiesznie, jak ten kłown gubił mydło, bo mu się wciąż wyślizgiwało z ręki.

— Mnie się mydło zawsze wyślizguje z ręki, jak siedzę w wannie.

— To jest śmieszne.



— No jest.

— A może na festywalu słoni nie będzie?

— I lwów, i żyraf też nie będzie?

— Może.

— To czy dla pisania na ścianach warto chorować?

## WIDZIMISIE

— Jak wygląda morze? — dopytywał się Janek. Siedział z cicią Andzią w parku, na ławce i machał nogami.

— Zobaczysz, jak je zobaczysz — odpowiedziała ciocia Andzią znad robótki krzyżkowej.

— Ale ja chcę wiedzieć z góry — domagał się Janek — bo pewnie wszyscy wiedzą, tylko ja nie. Czy widać w morzu ryby?

— Czasami.

— A węże?

— Skąd? Nie ma żadnych wężów w morzu.

— A syreny są?

— Też nie ma. — A wieloryby? — Też nie.

— A łabędzie pływają w morzu?

— Ale gdzie? Co ci wpada do głowy? — No to co jest w morzu?

— Woda i różne ryby. Przestań na chwilę gadać, bo muszę obliczyć krzyżyki.

— Już wolę, jak robisz na drutach — westchnął Janek — przynajmniej nie musisz patrzeć i możesz rozmawiać. Ja się nudzę.

— Idź do piaskownicy.

— Nie chce mi się. Jestem za stary na babki.

— Na co?

— No, na babki z piasku. To dla maluchów.

— Piaskownica to taka mała plaża — zachęcała ciocia Andzią. — Zbuduj sobie zamek albo tunel. Bo ja wiem co? Jak ja byłam mała, to się nie nudziłam.

— Bo pewnie się rzucałaś piaskiem — westchnął Janek. — Ale ranie się to już też znudziło. I w ogóle jest za gorąco. Popatrz na Lejka. Z pyska mu się leje. Dlaczego on tak wywala jęzor?

— Bo on poci się językiem — oświadczyła ciocia Andzia.

— Co też pani dziecku opowiada — wtrącił się starszy pan, siedzący na drugim końcu ławki i czytający „Głos Pracy”. — Pies nie poci się językiem. Językiem oddycha. O, widzi pani, jak sapie.

— On wcale nie sapie — odcięła się ciocia Andzia. — On się właśnie w ten sposób poci. Dlatego mu ślina cieknie.

— Ślina mu cieknie, bo jest głodny — stwierdził starszy pan.

— On jest bardzo dobrze odżywiany — ciocia Andzia odłożyła robótkę do koszyka i spojrzała groźnie na starszego pana. — Dostaje codziennie miskę kaszy z jarzynami i koniną. Starszy pan zamilkł na chwilę.

— file jaką miskę — dodał po chwili. — Miska to nic nie znaczy. Ile się w tej misce mieści?

— Wystarczająco dużo — powiedziała ciocia Andzia. — Zapewniam pana, że nie głodzimy psa. Czy pan może hoduje psy?

— Nie. Ja hoduję pieczarki — powiedział starszy pan. — To się znacznie lepiej opłaca i mniej kłopotu.

— No tak — wtrącił się Janek. — Nie trzeba ich wyprowadzać na spacer. Pan dużo tych pieczarków hoduje?

— Nie liczyłem ich — zastanowił się starszy pan. — Ale dużo. Pewnie ze dwa tysiące.

— To pan też się dobrze odżywia — zaopiniował Janek. — Sam pan je zjada? Czy każdy pieczarek się jakoś nazywa?

— Pieczarka — poprawiła ciocia Andzia.

— Chyba pieczarek — poprawił starszy pan.

— Co się kłóćcie? — zawołał Janek. — Babskie nazywają się pieczarka, a chłopskie pieczarek. Tylko trudno rozeznaczyć które.

— Ile masz lat, chłopczyku? — zainteresował się starszy pan.

— Osiemdziesiąt cztery! — krzyknął Janek na cały głos. — Mnie się już mniej nudzi! Czy pan widział morze, bo ja jadę niedługo nad morze i nikt mi nie chce powiedzieć, jak to wygląda.

— Bardzo ładnie, bardzo ładnie — starszy pan przysunął się nieco bliżej — są takie fale, co pluskają, i piasek, czyli plaża, i można zbierać muszelki, i robić babki z piasku...

— Znowu, te babki — warknął Janek. — Ja wcale — nie chcę jechać nad morze. Wszyscy każą robić babki, a mnie się nie chce.

— On jest nerwowy — stwierdził starszy pan — pewnie dlatego, że jest jedynak.

— Jaki on jedynak? — ciocia Andzia znów opuściła robótkę na kolana. — Ma starszego brata.

— I Lejka, i mamę. I tatę, chociaż rzadko — Janek zaczął szurać nogami po żwirze. — To jest ciotka — dodał jeszcze, spojrzał na ciocię Andzię i podkulił nogi pod siebie.

— Ciekawe dziecko — westchnął starszy pan.

— Bardzo ciekawe — zawołał Janek. — Tylko nikt mi nie odpowiada na pytania. Co z tym morzem?

— Są statki i kutry — ucieszył się starszy pan — i bałwany, i ludzie się czasem topią — dodał zachęcająco.

— Dorośli? — zainteresował się Janek.

— Dorośli, a nawet czasami dzieci.

— A pan się kiedyś topił?

— Ja nie, ale ja nie lubię morza, bo mnie reumatyzm dokucza i tam przecież zawsze leje jak z cebra i paskudne wiatry są i w ogóle...

— To chyba pańskie własne widzimisie — przerwała ciocia Andzia szybko — bo my bardzo lubimy morze...

— Widzimisie — ucieszył się Janek — pan ma widzimisie? Czy pan je hoduje? Razem z pieczarkami? Niech mi je pan pokaże! Ja je tylko pogłaszczę. Czy one są duże? Ja nigdy nie widziałem widzi—misiów. Andrzej też nie. Pan pokaże, dobrze?

Starszy pan powoli wstał z ławki. Ukłonił się uprzejmie kapeluszem, spojrzął na ciocię Andzię, na Lejka, na Janka i odszedł powoli, podpierając się zakopiańską laską.

— Proszę pana — zawołał za nim Janek — niech pan pozwoli je obejrzeć. My im nic nie zrobimy. Lejka zostawimy w domu.

— Jak wrócisz znad morza — powiedział starszy pan na odchodnym. — Spotkamy się tu, na tej samej ławeczce, dobrze?

Jeszcze dwa razy obejrzał się nieufnie za siebie i obrzucił wzrokiem siedzącą na ławce grupkę.

— Jeżeli się nie utopisz — mruknął pod nosem.

## DO SZKOŁY

— Zdejmże wreszcie ten tornister — prosiła matka Andrzeja. — Musisz się wykąpać.

— Zaraz — Andrzej siedział w pokoju przy stole ubrany w czarny fartuch szkolny, z tornisterem na plecach, chlebakiem przewieszonym przez jedno ramię, a workiem z rannymi pantoflami przez drugie.

— Bardzo mi będzie trudno pisać z tym wszystkim — westchnął.

— Przecież nie będziesz tak siedział w szkole — pouczała matka Janka. — Kapsie nałożysz, worek zostawisz w szatni, tornister zdejmiesz. oświadczył Andrzej

— Tornistra nie zdejmę stanowczo.

— No to zdejm go przynajmniej do kąpieli — zaproponowała matka.

— Nie mogę. Janek będzie w nim zaraz grzebać. On czyha na moje kredki.

— Do wanny w nim nie pójdziesz. Wiesz co, zabierz go do łazienki, położymy go na krześle.

— Wykluczone. Zapryska się.

— To daj go ojcu do przechowania.

— Ale pod warunkiem, że go włoży na plecy, bo inaczej zapomni i Janek mi wykradnie gumkę.

— Pogadaj z ojcem, może się zgodzi. Ja tymczasem przygotuję kąpiel.

Po chwili w łazience zjawił się Andrzej.

— Tata bardzo porządny — oświadczył. — Nałożył tornister i chlebak, i worek. Fartuch na niego nie wchodzi, ale go położył na szafie, żeby Lejek się nim nie mógł bawić. Janek jest wściekły — dodał — i kap mnie prędko, bo tacie bardzo niewygodnie.

— Chyba już teraz sam się będziesz kąpał. Od jutra jesteś uczniem szkoły numer siedemset trzydzieści.

— Nieprawda — krzyknął Andrzej dumnie. — Numer pięć tysięcy. Mydło mi utonęło. Dawaj szczotkę, bo inaczej nie zmyję kolan. Nie wiem, dlaczego kolana są takie dziwne.

— Uszy też są dziwne. Lepiej je umyj.

W zamknięte drzwi łazienki zaczął ktoś gwałtownie stukać.

— Ja do umykania — krzyczał Janek.

— No trudno, muszą go wpuścić — powiedziała matka Janka.

— On udaje — stwierdził Andrzej pogardliwym tonem. — Ja go znam,

— Tata już też długo nie wytrzyma z tym tornistrem — Janek z rozmachem otworzył drzwi. — Kazał się wam pośpieszyć. Nie może usiąść, a Lejek skacze na niego cały czas. W tym chlebaku musi być kielbasa.

— Ja tam nic jeszcze nie włożyłam — zaniepokoiła się matka Janka .

— Wziąłem pasztetówką ze spiżarni — przyznał się Andrzej. — Muszę mieć jakieś zapasy.

— Będziesz musiał odrabiać lekcje. Co dzień. Tata mi mówił. Skończyło się z zabawą. Dziesięć lat będziesz teraz pracował. Słyszałem, jak tata mówił z kimś przez telefon. Możesz mi oddać wszystkie zabawki. Już nie jesteś dziecko.

— Pewnie że nie. Będą za to zbierał znaczki pocztowe. Mam już jeden. Z tego kraju, co z niego przyjechał ten słoń do Zoo.

— Okropnie stary słoń. Ma czterdzieści lat. Jest starszy od taty. Pewnie niedługo umrze.

— Słoń żyje bardzo długo — pouczała matka. — Dłużej niż ludzie.

— Dlaczego? — zainteresował się Janek.

— Bo ja wiem. Pewnie dlatego, że wszystko żre.

— Na pewno nie żre szpinaku — powiedział Janek z głębokim przekonaniem. — Niech mama się kiedy zapyta w Zoo.

— Andrzej, nakładaj piżamę.

— Mówiłeś, że musisz do umykania, no i co? Bujaleś, chciałeś tu tylko być i gadać.

— Teraz ja się będę kąpał — Janek zaczął zdejmować buty.

— Nic podobnego — zawołała matka. — Ty jutro nie idziesz do szkoły. Nie mam już dziś czasu, żeby ciebie kąpać. Muszę jeszcze przyszyć biały kołnierzyk do fartucha Andrzeja, wyczyścić mu porządnie buty, obciąć mu paznokcie, obłożyć zeszyty, przyszyć guziki w fartuchu, bo wszystkie odpadają, i muszę wcześniej iść spać, żeby rano nie zasnąć. Budzik się zepsuł jak na złość...

— To ja już nie muszę być czysty? — obraził się Janek. — Dobrze. Teraz tak będzie dziesięć lat. Już bym chciał, żeby on skończył tę szkołę.

— Też pójdziesz na przyszły rok — pocieszała go matka.

— To wtedy mnie wykąpiesz?

— No pewnie, a teraz do łóżka jeden i drugi. Andrzej położył się do łóżka razem z tornistrem, chlebakiem i blokiem rysunkowym numer jeden.

Janek wziął do łóżka żaglówkę, starą, wylenią żyrafę i pudełko z plasteliną.

— Tata poczyta Pinokia — poprosił.

— Ale nie mnie! — krzyknął Andrzej zza tornistra. — Mnie się już nie czyta na głos. Ja sam będę czytał. Tylko że mi się dzisiaj jeszcze nie chce — dodał szybko.

— A mnie tata poczyta? — napraszał się Janek.

— Poczytam, poczytam — zgodził się ojciec. — Od którego miejsca?

— Jak on zostaje marionetką. Ale niech tata siada na moim łóżku i mi czyta do ucha.

— Daj że pokój. Będę czytał normalnie.

— To on będzie podsłuchiwał.

— Nie rozdrażniaj ich, bo Andrzej się nie wyśpi — zawołała matka z kuchni.

— Ja i tak nie będę w ogóle dzisiaj spał — westchnął Andrzej.

— Budzik się zepsuł. Pewnie Janek się nim bawił.

— Przestańcie tyle wyprawiać z tą szkołą — zdenerwował się ojciec. — Przecież jutro jest dopiero początek roku szkolnego i nic jeszcze nie będzie, tylko przemówienie ministra i jakiś film.

— Tata chce, żebym się spóźnił na przemówienie ministra — oburzył się Andrzej. — I ten, minister się zaraz na mnie obrazi, od pierwszego dnia.

— I filmu ci nie pokaże za karę — dorzucił Janek.

— Tata widzi — Andrzej po raz dwudziesty otwierał tornister i sprawdzał, czy nic z niego nie zginęło. — No, niech tata już czyta, to ja ostatecznie [ też posłucham.

W nocy matka Janka cichutko wyśliznęła się spod kołdry i boso ruszyła do pokoju dzieci. Lejek zerwał się ze swojego legowiska w przedpokoju i zaczął strasznie szczekać. Ojciec Janka poderwał się z łóżka przerażony.

— Pewnie złodzieje — szepnął. — Nie waż mi się wychodzić z pokoju. Poczekaj, nałożę pantofle i zobaczę.

— Żaden złodziej, to tylko ja chciałam coś zobaczyć w pokoju dzieci. Nie jestem pewna, czy wyłożyłam Andrzejowi czyste skarpetki.

— Kobieto, jest czwarta godzina — ojciec Janka nakrył się kołdrą po same uszy. — Kładź się zaraz. Bo jutro nie będziesz mogła wstać.

— Ja już chyba nie usnę — westchnęła matka Janka, ubijając pięściami poduszkę — po raz pierwszy od piętnastu lat znowu się boję, że się spóźnię do szkoły.

## ZA BYKI DWÓJA

— Ten Zakrzewski — wykrzyknął Andrzej, wpadając do mieszkania i rzucając tornister na kufer w przedpokoju — ten Zakrzewski cały obrósł w dwóje. Dzisiaj dostał dwie.

— Za co? — zainteresował się Janek.

— Włał jednej dziewczynce atrament do ust. — Andrzej ściągał gwałtownie fartuch szkolny, przy czym zaplątał się w worek z kapciami, przewieszony przez ramię.

— No i co?

— Nic, napiła się i wrzeszczała. Wyglądała, jakby się jagód nażarła.

— I za to dostał pięć dwój?

— Nie, za to dostał jedną.

— A te drugie?

— Jakie drugie?

— No te tamte, co też dostał?

— Te tamte to dostał przedtem. Za gadanie, za kopanie się, za wyrazy i jedną za arytmetykę.

— Arytmetyki też nie wolno? — dopytywał się Janek.

— Wolno, wolno, tylko byków robić nie wolno. Dwója jest za byki. Ty tego jeszcze nie możesz rozumieć, bo jesteś za mały.

— To wy tam macie byki? — rozentuzjzmował się Janek. — A gdzie one są?

— Żadnych byków nie mamy, tylko tak mówimy.

— Szkoda — stwierdził Janek. — Daj trochę ponosić tornister.

— Nie dam. Będziesz podskakiwał i zepsujesz mi stalówki.

— Nie będę podskakiwał. Dam ci dwa znaczki z festiwalu.

— No to noś, ale ostrożnie i dawaj te znaczki.

— Jeszcze ich nie mam, ale wezmę od Kazika z podwórza, bo on ma siedem.

— Jak to weźmiesz? A on ci da?

— Ja mu za to dam potrzymać wędkę.

— Wędkę na zimę! On nie będzie chciał. Oddawaj tornister.

— Masz. Już sobie ponosiłem. Ciężki. Wolę teczkę taty.

— No to teraz dawaj znaczki.



— Jakie znaczki? Oddałem ci tornister, to czego chcesz? Obrzydliwy tornister. Taki jakiś granatowy. Jedna pani mówiła, że jak będzie deszcz, to on ci cały płaszcz zafarbuje, zobaczysz.

— Poczekaj, aż wszyscy wyjdą — powiedział Andrzej groźnie — to cię naleję.

— Dwóje dostaniesz. A w ogóle czy ty nie masz jeszcze żadnych dwój?

— Pewnie że nie.

— A co masz?

— Nic nie mam. U nas albo stawiają dwóje albo nic.

— To ja bym już wolał być Zakrzewski — oświadczył Janek z głębokim przekonaniem w głosie. — Ten przynajmniej ma zabawę.

— Głupi jesteś. Jak on dostanie jeszcze jedną, to pani posadzi go na oślej ławce.

— Na czym? ,

— No, na oślej ławce. Osła nie widziałeś? To jest taka ławka dla osłów.

— To tam siedzą osły?

— Nie — warknął Andrzej — żadne osły. To się tylko tak nazywa, że niby osioł jest głupi.

— A kto teraz tam siedzi?

— Ja — powiedział Andrzej. — Od wczoraj. Nie mam ani jednej dwóci, słowem się nie odezwałem na lekcji, nawet jednej kulki z bibuły na nikogo nie rzuciłem i muszę tam siedzieć.

— Na oślej ławce! — krzyknęła matka Janka z kuchni. — Dlaczego siedzisz na oślej ławce?

— Bo codziennie przybywa dzieci w klasie i ciągle dostawiają ławki. A wczoraj to już zabrakło zwyczajnych ławek, to przesunęli na front tę osłą i akurat na moje miejsce i musiałem tam usiąść. I teraz to mi dosadzają co dzień najgorszych chuliganów, co ich pani musi mieć z przodu.

— I co? I nic nie przeszkrobałeś? — zdenerwowała się matka Janka.

— No, mówię ci, że nic. Tylko że ławek zabrakło. Ty wiesz, ilu nas teraz jest w klasie?

— W zeszłym tygodniu było was czterdzieści osiem.

— Figa. Już nas jest pięćdziesiąt pięć — zatriumfował Andrzej. — Moja ławka to już jest przy samej tablicy. No, a wrzask jest! Przyszłabyś, tobyś zobaczyła. Albo lepiej nie przychodź.

— Przyjdę, jak znajdę czas.

— Przyjdź, jak ci włosy odrosną — zaproponował Andrzej.

— Dlaczego? — zdziwiła się matka Janka, przyglądając świeżo obcięte, króciutkie pasma włosów. — Nie podobają ci się?

— Nie wiem, ale wyglądasz jakoś dziwnie. Będą się potem ze mnie śmieli. Najwięcej ten Zakrzewski.

— Dlaczego mają się śmiać?

— Bo oni mają zupełnie inne matki. Jakieś większe. Ty byłaś dobra na przedszkole, ale na szkołę to nie wiem, czy się nadajesz. Może byś więcej jadła albo coś.

— A mnie się mama bardzo podoba — podskoczył Janek. — Jest stara, ale bardzo ładna. I czysta — dodał po chwili. — I robi bardzo dobre omlety.

— A dwa i siedem, ile jest? — przerwał mu Andrzej.

— Nie wiem, pewnie dużo — mruknął Janek. — Ale po co mi dwa i siedem?

— To jest arytmetyka — pouczał Andrzej. — Można liczyć na zapalkach albo na palcach.

— Ale po co?

— Jak masz najpierw siedem cukierków, a potem jeszcze dwa — wtrąciła się matka — to wtedy dodajesz te dwa do tych siedmiu i wiesz, ile masz.

— Ja je zjadam — powiedział Janek spokojnie. — Mnie możesz dać te siedem cukierków, a jemu daj zapalki, ale lepiej wypalone. Albo nie dawaj mu, bo on ma palce.

— Ja też chcę cukierki — zaniepokoił się Andrzej. — My już liczymy do piętnastu, a ja mam tylko dziesięć palców.

— A u nóg? — zdziwił się Janek. — U nóg to co? To nie palce?

— Mamu — zawołał Andrzej. — On mnie okropnie denerwuje. Czy nie mogłabyś go wysłać trochę do babci?

— Kiedy on babcię też denerwuje — westchnęła matka Janka. — Może później, na Boże Narodzenie, uda się ją namówić, żeby was obydwu zaprosiła.

Kiedy wieczorem Janek leżał już w łóżku, a matka Janka szorowała kolana Andrzejowi w łazience, Andrzej nagle zarzucił, jej ramiona na szyję.

— Wiesz, mamu — szepnął. — Jesteś bardzo ładna, nie szkodzi, że masz takie włosy jak Lejek.

— Dobrze, dobrze. Puść, bo mnie całą zamoczysz. Andrzej nie puszczał.

— Słuchaj, może byś go gdzieś wysłała — szeptał. — Babcia pewnie się zgodzi, żeby pojechał tam na dwa tygodnie. A my przez ten czas wyprowadzimy się do innego mieszkania i on nas nigdy nie znajdzie.



## UBEZPIECZENIE

— Daj pięć złotych na ubezpieczenie — zażądał Andrzej.

— Na co? — zdziwiła się matka Janka.

— Jak to na co? Mówię ci, że na ubezpieczenie. Pani w szkole kazała.

— Nic nie rozumiem.

— Pani nam wytłumaczyła. Wszystko ci zaraz powiem, tylko daj mi coś jeść, bo jestem strasznie głodny.

— Już ci robię. Przed chwilą jadłeś podwieczorek. Nie rozumiem, jak możesz tyle jeść.

— Ja ci to też wytłumaczę, jak zjem — zaofiarował się Andrzej. — Ja ci będę teraz tłumaczył różne rzeczy, żebyś wiedziała, o co chodzi, jak się kiedy spotkasz z innymi matkami.

— Dlaczego rodzice nie chodzą do szkoły tylko dzieci? — zapytał Janek zza sterty klocków.

— Oni już chodzili, ale to była kapitalistyczna szkoła, to tam ich' nic nie uczyli — wykrztusił Andrzej pełnymi ustami.

— To po co chodzili? — zainteresował się Janek.

— Zmuszali ich — rzucił Andrzej krótko. — Pewnie ich bili, czy ja wiem. Mama, czy ciebie w szkole bili?

— Nie, skąd. Co za pomysły?

— Ona nie chce się przyznać, bo jej głupio — szepnął Andrzej na ucho Jankowi. — A ubezpieczali was? — dodał głośno.

— Nie.

— No widzisz. A nas ubezpieczają, tylko muszę mieć pięć złotych. To jest tak. Ja dam pięć złotych, a potem łamię rękę albo nogę, albo jedno i drugie, i ty dostajesz z tatą masę pieniędzy. To jest ubezpieczenie, rozumiesz?

— A Lejek też coś dostanie? A ja? — Janek rozrzucił niedbale cały domek z klocków i zawołał: — Trzęsienie ziemi od bomby wodorowej!

— Mama, on się rzuca bombą wodorową! — wrzasnął Andrzej. — Ty nic nie dostaniesz z mojej złamanej nogi, bo ty nic nie zapłaciłaś na moje ubezpieczenie tylko mama i tata. Kto płaci, ten dostaje.

— To ja ci mogę dać dwa złote z mojej tygodniówki — ucieszył się Janek.

— Nie wezmę — zdenerwował się Andrzej. — I w ogóle jeszcze nie wiem, czy coś sobie złamię. Zobaczę. Może na Gwiazdkę — dodał w zamyśleniu.

— To nie będziesz mógł jeździć na nartach.

— Ale kupiłbym sobie ten wielki pociąg, co stoi w oknie na MDM—ie.

— Za co? Przecież pieniądze dostanie mama i tata.

— Ja dołożę dwa złote z mojej tygodniówki, to potem, jak będą wypłacali, coś odejdzie dla mnie — wykombinował szybko Andrzej.

— To był mój pomysł — obraził się Janek. — Ty zawsze zabierasz mi pomysły. Już więcej ci nic nie powiem. Drugie trzęsienie ziemi od bomby wodorowej! — wrzasnął, rozrzucając klocki po pokoju.

— Ty masz walczyć o pokój — syknął Andrzej bardzo zły. — Przecież ci mówili. Mama, on się wciąż bawi w wojnę zamiast walczyć o pokój.

— Dlaczego się bawisz w wojnę? — powiedziała matka Janka zza ,tomu opowiadań Rudnickiego. — To bardzo nieładnie — dodała, nie przerywając czytania.

— Pewnie — zgodził się Andrzej. — Mama, o czym ty czytasz?

— O wojnie, synku — mruknęła matka Janka nieprzytomnie.

— A w ogóle chciałbym wiedzieć, czym ja mam walczyć o pokój? — zaperzył się Janek. — Wczoraj był u nas w przedszkolu jeden specjalny żołnierz. Przyszedł nam pokazać, jak się walczy o pokój. Ten to miał dobrze.

— Jak to przyszedł do was żołnierz — Andrzej aż przestał jeść z emocji. — Prawdziwy?

— Pewnie, że prawdziwy. Był w przedszkolu, żebyśmy go sobie mogli obejrzeć.

— No i co?

— Nic. Ten ma czym walczyć o pokój. Ma mundur, czapkę, różne skórzane pasy. I karabin. I mówił nam, że ma czołgi, ale nie mógł ich przywieźć do przedszkola.

— I coście z nim robili?

— Oglądaliśmy go.

— Ładny był?

— Ładny. Miał katar.

— Kto miał katar? — przebudziła się matka Janka.

— Żołnierz.

— To dobrze. — Matka Janka odetchnęła z ulgą. — Myślałam, że ty już masz katar.

— Skąd? Ten żołnierz miał katar i ciągnął nosem. Bożena chciała mu dać swoją chusteczkę, ale pani Krysia na nią nakrzyczała.

— Chustkę do nosa żołnierzowi! — powiedział Andrzej z pogardą. — Babskie pomysły. Spralby ją i tyle.

— Pewnie. A co robi żołnierz, jak ma katar? —  
zastanowił się Janek.

— Prawdziwy żołnierz nie ma w ogóle kataru. To nie był prawdziwy. Zaraz sobie pomyślałem, że coś lipujesz. Żołnierz by chodził do przedszkola? Figa!

— Nic podobnego. Był prawdziwy. Miał takie wielkie buty i guziki z orzełkami. Jak będę duży, to zostaną żołnierzem.

— Akurat cię wezmą! Ty się nawet sam nie umiesz ubrać.

Janek w najwyższym wzburzeniu wziął dwa klocki i rzucił je w głowę Andrzejowi.

— Mama, zobacz, co on robi! — wrzasnął Andrzej. — Ja mu tak nabiję, że się nie pozbiera.

— Przestańcie w tej chwili — matka Janka z westchnieniem zamknęła książkę. — Janek, przestań, bo dostaniesz. Andrzej, coś ty mu zrobił, że on w ciebie rzuca klockami?

— Zawsze ja — wrzeszczał Andrzej. — On rzuca klockami i jest na mnie. Ja mam już tego dosyć.

— Cicho bądźcie, bo się sąsiedzi zlecą. Chodź tu, Andrzej, zobaczę, czy masz guza? No już, spokojnie. Ile chciałeś na to ubezpieczenie?

Andrzej z miejsca przestał płakać. — Trzy złote!

— Jak to trzy, mówiłeś, że pięć?

— Dwa dołożę z własnej tygodniówki — oświadczył Andrzej.

— Kochane dziecko — ucieszyła się matka Janka.

Andrzej w zamyśleniu wyszedł z pokoju. Na korytarzu pod samymi drzwiami leżał, jak długi, uśpiony Lejek. Andrzej potknął się o psa, upadł, pies obudził się, zawył i wyskoczywszy spod Andrzeja, pobiegł do kąta.

— Mama, mama! — wrzeszczał Andrzej. — Złamałem sobie nogę.

Matka Janka podbiegła do Andrzeja i zaczęła mu rozcierać kolano. ‘

— No, przestań już płakać — pocieszała go. — To zaraz przejdzie. Zobaczysz. Przecież ciągle sobie rozbijasz kolana i nigdy nie płaczesz. Co ci się dzisiaj stało?

Andrzej rozmyślał sobie brudnymi rękami łyzy na policzkach. Zachlipał jeszcze dwa razy i zamilkł.

— Okropnie się przestraszyłem, ale całe szczęście, że nie jest złamana — westchnął. — Bo ja dopiero od jutra będę ubezpieczony.

## TELEWIZJA

— Mama, dlaczego tata taki zamyślony? — spytał Janek.

Na targu był tłok. Matka Janka chciała zakupić węgierki na powidła. Szła od straganu do straganu przyglądając się owocom krytycznym wzrokiem.

— Mama, ty nic nie słyszysz, co do ciebie mówię? — nalegał Janek.

— Poczekaj, później pogadamy. Teraz muszę wybrać węgierki. Zdaje mi się, że u tej pierwszej baby były lepsze.

— No to je kup.

— Kiedy są drogie.

— To kup tańsze.

— Pewnie są robaczywe.

— To zobacz w środku.

— Kiedy nie można, bo mnie baby zwymyślają.

— To już nie wiem. To chodź do domu. — Poczekaj. Muszę się zastanowić.

— Kup od razu w sklepie w słoikach.

— Nie wtrącaj się.

— W słoikach są razem z robakami i są bardzo dobre.

— Na drugi raz nie zabiorę cię na targ.

— Kup z robakami. Robaki dasz Lejkowi. On już dawno nie jadł mięsa.

— Ojej, uspokój się, bo ludzie słuchają. O, widzisz. Tutaj kupimy.

— Tu jest okropny tłok, a przy tamtym straganie nikogo nie ma. Chodźmy tam.

— Tu kupimy. Jak jest tłok, to znaczy, że są dobre — zawyrokowała matka Janka. —

Postoimy sobie i poczekamy na naszą kolejkę.

— Kiedy mnie się nudzi.

— To idź i zobacz, jak się kury męczą w klatkach — zaproponowała matka Janka.

— Dobrze — zgodził się Janek radośnie. — Wypuszczę je!

— Ani się waż! Baby cię spiorą na kwaśne jabłko.

— To ja już lepiej tu zostanę — zdecydował Janek szybko. — Mama, dlaczego tata był wczoraj taki zamyślony.

— Nie wiem — zastanowiła się. — Może o czymś myślał — dodała po chwili.

— Aha — zgodził się Janek. — Jak przyjdziemy do domu, to ja go zapytam, dobrze?

— Dla mnie dziesięć kilo — powiedziała matka Janka do tęgiej baby w wielkim czerwonym fartuchu, na który zarzucona była peleryna z lisów.

— Słodkie jak cukier — powiedziała baba mechanicznie — ma pani w co wziąć?

Matka Janka szybkim ruchem wyciągnęła trzy wielkie papierowe torby z koszyka i podała babie w pelerynie z lisów. Janek przyglądał się pelerynie z wielkim zainteresowaniem.

— Co to za zwierzak? — spytał wreszcie cicho,

— Lisy, lisy, nie widzisz, że lisy — oburzyła się od razu baba.

— Kto je upolował? — dopytywał się Janek niewzruszony.

— To są kanadyjskie lisy, pierwszorzędny towar. Jedna klientka mnie je dała. Może paniusia kupi — zwróciła się do matki Janka. — Niedrogo, nietknięte przez mole. Siedem sztuk jak złoto, na jedwabnej podszewce. Angielska księżniczka by się nie powstydziała. Osiemdziesiąt złotych pani płaci — dodała.

— Bardzo drogo — oświadczył Janek. — I w ogóle siedem to za dużo. Niech mama kupi dwa. Jeden będzie dla mnie, a jeden dla Andrzeja.

— Siedź cicho — warknęła matka Janka. — Zawsze musisz coś dziwnego powiedzieć. Osiemdziesiąt złotych, proszę bardzo.

— Po co mama kupuje te siedem lisów? — ładnych lisów nie kupuję. Śliwki kupuję. — Matka Janka spocona i czerwona na twarzy wpakowała dwie torby do wielkiego kosza, lewą ręką podtrzymała trzecią i zaczęła przepychać się w stronę ulicy.

— Jazda, już, do tramwaju.

— Kiedy ja jeszcze nie widziałem, jak się kury męczą — zaproponował Janek.

— Chodź szybko, to się dowiemy, dlaczego tata jest zamyślony — zawołała matka Janka w rozpacz.

— Dobrze — Janek zgodził się szybko. — Tylko niech— mama pyta, a ja się schowam pod fotel i będę słuchał.

Ojciec Janka siedział przed radioodbiornikiem i słuchał „Muzyki i aktualności”. Lejek spał pod stołem, a Andrzej przeglądał stary numer „Przyjaciela Żołnierza”. Na odgłos drzwi wejściowych Lejek leniwie pomachał kilka razy ogonem, uniósł głowę, nastawił uszu, po czym przeciągnął się luksusowo i znów zasnął, zadowolony, że cała rodzina w domu.

— Możesz żałować, że nie byłeś na targu — zawołał Janek do Andrzeja. — Mama mało co nie kupiła siedem lisów.

— Siedmiu — mruknął ojciec Janka.

— Mama! — Janek pobiegł szybko do kuchni. — Tata się odezwał. Tata już nie myśli. Niech mama szybko pyta, dlaczego tata był wczoraj taki zamyślony.



— Janek chce wiedzieć, o czym ty ostatnio tak myślisz — uśmiechnęła się matka Janka,.

Ojciec Janka jednym ruchem zakręcił radio.

— O telewizji — powiedział krótko.

— Dlaczego? — zaniepokoiła się matka Janka.

— Byłem w zeszłym tygodniu w świetlicy u Włodka. Mają nowy aparat telewizyjny. Kosztuje siedem i pół tysiąca. Sprzedają na raty.

— No to co? Chyba nie masz zamiaru kupić?

— Człowiek chce żyć w dwudziestym wieku — wybuchnął ojciec Janka. — Radio jest przeżytkiem. Skrzeczy, piszczy, nic nie widzisz, gadana sztuka teatralna to zawracanie głowy. Trzeba widzieć, co się dzieje. Rozumiesz! Ekran w domu. Okno na świat! — zawołał, wyrzucając w górą ręce.

— Okno za siedem i pół tysiąca — krzyknęła matka Janka. — Nawet się nie będę denerwowała, bo wiem, że nigdy w życiu takiej sumy, w ręku nie miałeś.

— Sprzedają na raty — powiedział ojciec Janka spokojnie.

— Tata kupi takie okno! — ucieszył się Janek.

— Nigdy się—nie zgodzę — zawołała matka Janka. — Przede wszystkim nie wierzę, żeby to było coś warte. Musiałabym przedtem zobaczyć, a w ogóle jakbyś już miał na takie drogie rzeczy, to mógłbyś kupić maszynę do prania. Są czeskie, dwa razy tańsze niż telewizja. Albo lodówkę. A ty od razu telewizor. Dwudziesty wiek, nonsens.

— Tata powie, jak to jest — dopytywał się Andrzej. — Cały dzień można filmy oglądać?

— Nie, nie cały dzień.

— A kiedy?

— Kilka godzin — powiedział ojciec Janka raczej cichym głosem. — Ale to się rozkręci — dodał głośniejszym. — Włodek mi mówił, że za kilka lat będzie już całodzienny program. Za pół godziny zaczną, O piątej. Jak chcecie, to pójdziemy na plac Konstytucji i sami zobaczycie.

— Mnie to nie interesuje — oświadczyła matka Janka. — Jak będą demonstrowali gdzieś maszynę do prania, to, owszem, możemy pójść.

— Chodź, mama — krzyknął Andrzej. — Może się zobaczy maszynę do prania też.

— Idźcie sami, ja muszę zabrać się do tych powideł.

Przed wielkim sklepem z radioodbiornikami stał gęsty, zbity tłum. Na wystawie, w samym środku, królował aparat telewizyjny.— Na niewielkim ekranie migotały różne

srebrzyste wzory geometryczne, błyskawice faz po raz przecinały powierzchnię ekranu, przejeżdżające tramwaje dawały najładniejsze wzory, samochody zaś tylko niewielkie świetlne wężyki. Z głośnika telewizora rozbrzmiewały słowa jakiegoś dialogu, a potem dźwięki muzyki. Ludzie wyciągali szyje, podnosili dzieci do góry. Samochody trąbiły, bo coraz to większy tłum ludzi tarasował jezdnię. Ojciec Janka unosił w górę to Andrzeja, to Janka. Wiał przykry wiatr. Było zimno.

— Ładne, co? — zapytał po jakichś dwudziestu minutach ojciec Janka. — No co, wrócimy już do domu?

— Wrócimy — zgodzili się chłopcy.

— Głodny jestem — dodał Andrzej.

Gdy zmarznięci i zmęczeni wchodzili już na schody kamienicy, Janek nagle zawołał:

— No, ale kiedy zobaczymy telewizję?

— Jak to kiedy? — zdziwił się ojciec — przecież widziałeś przed chwilą.

— To była przecież maszyna do prania — odezwał się Andrzej. — Bardzo ładna — dodał — szkoda, że mama z nami nie poszła.

## ZWYKŁY DZIEŃ

— Ty chyba nosisz kamienie w tym tornistrze — zdziwiła się matka Janka, z trudem dopinając tornister na plecach Andrzeja.

— Nic podobnego — Andrzej wiercił się zniecierpliwiony. — Spóźnię się i będę miał. Znów pani coś napisze do dzienniczka.

— Ale co ty masz w tym tornistrze?

— Co mam? Mama nie wie? Książki, zeszyty do polskiego, zeszyty do arytmetyki, dzienniczek, mowę polską, arytmetykę, piórniki, zapasowe zeszyty, nożyczki do robót, linijkę, kasztany.

— Wyjmij kasztany — zażądała matka Janka.

— Kasztany są potrzebne. To jest pomoc naukowa.

— Co ty opowiadasz? Wyjmij kasztany, bo wyrośniesz na garbusa.

— Od kasztanów garb dostanę?

— Dostaniesz. Ten tornister waży parę kilo.

— Z kasztanów my robimy różne rzeczy. Zwierzęta i koszyki. Jak nie przyniosę kasztanów, będę miał. Pani mi znów napisze coś w dzienniczku.

— A co pani pisze w dzienniczku?

— Skargi do mamy.

— To dlaczego mi nie pokazujesz?

— Nie chcę mamy denerwować. Tata powiedział, żeby mamy nie denerwować.

— Pokaż natychmiast.

— Nie mam czasu. Spóźnię się do szkoły. Niech mama już daje drugie śniadanie.

— Dam ci, jak zostawisz dzienniczek.

— Nie zostawię. Potrzebny mi jest w szkole. Jak pani będzie chciała napisać skargę, że się spóźniłem, to ja go muszę zaraz dać. Jak nie, to pani znowu będzie chciała wpisać skargę do dzienniczka, że nie mam dzienniczka, a ja go nie będę miał i będzie draka.

— Jaka draka?

— Pani mnie wystawi za drzwi.

— Niech mama już mu da śniadanie, bo jak on zaraz nie pójdzie do szkoły, to ja się spóźnię do przedszkola — zawołał Janek ze swojego łóżka.

— Masz śniadanie — westchnęła matka Janka — i idź sobie już, a jak wrócisz ze szkoły, to obejrzymy sobie ten dzienniczek.

— Mama, ja nie mam skarpetek — denerwował się Janek. — Ja się na pewno dzisiaj spóźnię.

— Już idę — matka Janka szybko przyczesła włosy wierzgającemu z niecierpliwości Andrzejowi i nałożyła mu beret na głowę.

— Uważaj na ulicy — krzyknęła za nim, gdy już zbiegał jak scalony ze schodów. — Żeby cię nie przejechali. I pamiętaj, że przed bramą jest rozkopane, żebyś tam nie wleciał. I patrz dobrze, jak będziesz przechodził przez ulicę. I nie zjadaj najpierw jabłka, tylko chleb.

Zatrzasnęła drzwi i wróciła do pokoju dzieci.

— Mama mu to co dzień mówi — zauważył Janek.

— Mówię, mówię — zirytowała się matka Janka. — Jak nie będę mówić, to on jeszcze wpadnie pod tramwaj.

— On nie wpadnie — powiedział Janek sucho. — On pędzi jak strzała. Jak zatruta strzała — dodał w zamyśleniu — ta od Króla Maciusia Pierwszego. Mama, czym się zatruwa strzały?

— Trucizną.

— A skąd bierze się truciznę?

— Nie wiem. Kupuje się w aptece.

— U dzikusów nie ma apteki.

— To nie wiem. Nie jestem dzikusem.

— Mama to nigdy nie odpowiada na pytania! Mama ciągle mówi w kółko to samo, a jak ja chcę wiedzieć coś ważnego to mama mówi, że nie wiem.

— A co chcesz wiedzieć? — zawstydzila się matka Janka.

— Co to jest powietrze — westchnął Janek. — Już dwa razy pytałem taty.

— No i co mówi tata?

— Nic nie mówi. Raz powiedział, że mi wytłumaczy, jak zjem kolację, a drugi raz, że mi powie, jak będę starszy.

— No to poczekaj, aż będziesz starszy, to tata ci powie.

— Kiedy ja jestem już starszy, bo to było bardzo dawno, może sto dni temu. Niech mama mi teraz powie, po czym się poznaje powietrze.

— Powietrze jest wszędzie — zdecydowała się matka Janka.

— Wszędzie? W każdym miejscu na świecie?

— W każdym.

— A po czym się poznaje, czy jest dobre czy złe?

— Po zapachu — zaryzykowała matka Janka.

— A wiatr, to też jest powietrze?

— Chyba tak.

— Bo jak jest wiatr — zamyślił się Janek — to widać powietrze. Wyraźnie widać. Wczoraj w parku Dreszera, jak leciały liście, to widać było. Wyraźnie było widać. Tak samo jak pada deszcz albo śnieg, to widać powietrze, ale jak jest zwyczajnie, jak nic nie pada, to go nie widać.

— Poczekaj, włożyłeś skarpetkę na lewą stronę.

— Nie szkodzi, ale niech mama powie co do tego powietrza. Czy w człowieku jest powietrze.

— Jest.

— A w książkach?

— W niektórych więcej, w niektórych mniej. —' Mama żartuje.

— Po czym poznajesz?

— Po minie mamy. Mama ma specjalną miną, kiedy nie mówi na serio. Okropnie nie lubią, jak mama nie mówi serio.

— Spiesz się, bo się spóźnisz. Jeszcze musisz wypić ciepłe mleko.

— Kiedy ja nie chcę pić ciepłego mleka.

— Musisz. Jest zimno na dworze. Nie możesz wychodzić na czczo.

— Jak mama mnie opycha mlekiem, to ja potem nie mogę jeść w przedszkolu śniadania. To oni na mnie krzyczą. To ja już wolę nie pić mleka i żeby mama na mnie krzyczała.

— Będę. Wypij połowę.

— Dobrze. Czy w mleku jest powietrze?

— Pewnie jest.

— Teraz to ja już nie wiem, czy mama żartuje, czy nie.

— Spiesz się. Poczekaj, ja jeszcze muszę się przyczesać i włożyć kurtkę.

— Dawaj palto.

— Masz. Szybko. Gdzie smycz Lejka?

— Lejek mi porwał rękawiczkę.

— Daj mu skórę od kielbasy. Leży na stole w kuchni.

— Już mu dałem. Puścił. Mama,— blaszanka nam ucieknie, jak nie pobiegniemy.

— Nie pędź tak po schodach, bo się spocisz.

Po kwadransie matka Janka wróciła do pustego mieszkania. Usiadła ciężko w fotelu i przymknęła oczy. Lejek ze smyczą w pysku zwił się dokoła jej nóg, prowokując do zabawy.

Na biurku leżał stos książek i maszynopisów. Była godzina wpół do dziewiątej. „Ześcielić łóżka — pomyślała — pozmywać naczynia, zagotować mleko, posprzątać pokoje, zejść po zakupy na kolację. Potem będzie można sięść do biurka i zabrać się do roboty.”

Była środa — zwykły dzień.

## BONAPARTER

— Jak nie pójdę, to on też nie pójdzie — powiedział Janek stanowczym głosem, w którym już, już przebijała się płaczliwa nuta.

— Kiedy on jest starszy — ciocia Andzia wyciągnęła z kieszeni rolkę dropsów. — Masz, kupiłam ci dropsy.

— Nie chcę dropsów, chcę iść na „Mazowsze” — powiedział Janek, zirytowany do najwyższego stopnia.

— To ja wezmę dropsy — zaofiarował się Andrzej.

— I dropsy, i „Mazowsze”! — zaczął krzyżeć Janek.

— Andrzej, oddaj dropsy Jankowi. Ja dla ciebie też mam dropsy, ale dam ci je później, na „Mazowszu”.

— Na „Mazowszu” nie wolno chrupać — oświadczył Andrzej. — Ja je mogę zaraz bardzo szybko zjeść. — Jak ja nie pójdę, to on też nie pójdzie — wrzeszczał Janek.

— Kiedy ja mam tylko dwa bilety — denerwowała się ciocia Andzia — i to się zaczyna o siódmej godzinie. Ty jesteś jeszcze za mały, żeby wychodzić z domu o siódmej godzinie.

— A on?

— On jest starszy.

— Ciągłe słyszę, że on jest starszy. Skąd to wiadomo. Wcale nie jestem taki pewny.

— Urodził się o dwa lata wcześniej.

— To ciocia tak mówi. Ale ja wcale nie wiem, czy wy mnie nie okłamujecie.

— Nie pamiętasz, że jak się urodziłeś, to ja już byłem? — zdziwił się Andrzej. — Przecież grzechotałem ci przed nosem białą grzechotką.

— Nie pamiętam — chlipnął Janek krótko.

— Bujasz. On zawsze buja. Miał takie małe oczka i ciągle się darł, a mama mnie kazała siedzieć przy nim i machać tą grzechotką. A teraz nie pamięta — Andrzej odwrócił się pogardliwie.

— Wy mnie wszyscy bujacie — Janek pociągnął dwa razy gwałtownie nosem. — Mnie na ulicy i w autobusie wszyscy pytają, czy ja już chodzę do szkoły. A ja wciąż siedzę w tym głupim przedszkolu, bo wy mnie tam siłą trzymacie i mi wmawiacie, że jestem młodszy od Andrzeja. A Andrzej do szkoły chodzi i hymn narodowy śpiewa.

— Ty też możesz śpiewać hymn narodowy, jak chcesz — pocieszała go ciocia Andzia.

— Kiedy on mi nie pozwala.

— Niech on śpiewa Kukułeczkę — oburzył się Andrzej. — Hymn narodowy nie jest dla przedszkolaków. Nas dopiero w tym roku na święto rewolucji nauczyli to śpiewać.

— Ja też umiem — zachłysnął się Janek.

— Bujasz. Skąd umiesz? Nie uczyli was przecież.

— Ale ja pod słuchuję, jak ty śpiewasz.

— Więcej tego w domu nie będę śpiewał.

— Ale już śpiewałeś.

— No to co? I tak nie pamiętasz.

— Pamiętam.

— Guzik pamiętasz.

— Nauczył nas Bonaparter — oświadczył Janek spokojnie.

— A przedtem? A dalej?

— Przedtem nie pamiętam. Dalej też nie.

— No widzisz.

— A co to jest Bonaparter?

— Bo ja wiem.

— No widzisz, jaki jesteś mądry. Śpiewasz i nie wiesz, co znaczy.

— Bo to jest wierszem, to nie musi człowiek wiedzieć, co to znaczy.

— Dlaczego?

— Głupi jesteś. Wierszem, to znaczy, żeby się rymowało, a to jest bardzo trudno. To nie zawsze wychodzi tak, żeby się rozumiało, o co chodzi.

— To po co się robi wierszem?

— Żeby było ładnie.

— A wierszem jest ładnie?

— No chyba.

— Kto to powiedział?

— Nasza pani.

— A tobie się podoba?

— Pewnie. Bo to krótkie linijki. Łatwiej czytać. Zobaczysz, jak pójdiesz do szkoły.

— Rozumiem.

— Nic nie rozumiesz. Bo nie umiesz czytać. Pisać też nie umiesz.



— Nauczę się.

— Jak każą przepisywać z „Mowy polskiej” wiersz, to zawsze jest mniej roboty, niż jak każą przepisać takie długie, pisane jednym ciurkiem.

— Rozumiem.

— Właśnie, że nie. Bo jak pisane jednym ciurkiem, to człowiek przeważnie rozumie, co to znaczy, a jak pisane wierszem, to albo się nie rozumie, albo bujają.

— Jak to bujają?

— No, to co dzisiaj przepisywałem. Jakbym ci przeczytał, to byś zobaczył. To było w mieście. Tam stoi tak na samym końcu:

*każda brama taka sama,  
a co dom to gmach.*

— Aha.

— Co aha? Czy każda brama jest taka sama? Myśmy z Andrzejewskim dziś wracali razem ze szkoły, tośmy patrzyli. Bujda. Każda inna.

— No tak.

— A co dom to gmach? Andrzejewski mówi, że to wcale nie wiadomo.

— A co to jest gmach? —. Tego nikt nie wie.

— To po co piszą takie słowa?

— Bo na tym polega wiersz, że jak przedtem masz jakieś słowo, to potem musisz mieć takie same, tylko trochę inne.

— Ty mnie zagadujesz, żebym zapomniał o tym „Mazowszu”.

— Jak on miał przedtem strach, to potem musiał mieć gmach. Rozumiesz?

— Rozumiem.

— Wcale nie. No, ale co tu dużo gadać. Muszę już iść.

— To ja będę ryczał.

Ciocia Andzia, bardzo zdenerwowana, w kapeluszu, w palcie przybiegła do pokoju.

— No, Andrzej, idziemy — zawołała. — Janek coś dostanie na pocieszenie za to, że z nami nie idzie.

Janek wrzeszczał przeciągle.

— Ciocia mnie jeszcze na chwilę z nim zostawi — zażądał Andrzej.

Podszedł do Janka i coś mu szeptał na ucho. Wrzask Janka ustawał powoli, ale ustał.

Już na schodach zaaferowana ciocia Andzia zapytała Andrzeja:

— Powiedz mi, jak go uspokoiłeś.

— Zwyczajnie — powiedział Andrzej, przeskakując po dwa stopnie na raz — powiedziałem mu w tajemnicy, że naprawdę to idziemy na akademię i że dopiero na samym końcu będzie to „Mazowsze”.

## STARUSZKA NAWALIŁA

— Gdzie on mieszka? — zapytał Andrzej przy niedzielnym obiedzie.

— Na placu Konstytucji — odpowiedział ojciec Janka, nakładając sobie na talerz większą porcję buraczków.

— Taki mały i mieszka na placu Konstytucji? — zdziwił się Janek.

— Ja nie wiem, czy ja pójdę do takiego żłobkowca — Andrzej wypchał sobie policzki olbrzymią porcją kartofli. — On ma dopiero osiemnaście miesięcy i pewnie nawet nie gada.

— Pojedziemy tramwajem — zachęcała matka Janka.

— Byczo — zdecydował Andrzej — a czy mama umie się czepiać?

— W niedzielę nie ma czepiania — Janek opuścił sobie na kolana łyżeczkę buraczków i zaczął je dyskretnie rozmazywać po spodniach.

— Ja szalenie lubię jeździć tramwajami w ogóle. Czy tata lubi jeździć?

— Bardzo — oświadczył ojciec Janka.

— A tata dużo podróżował?

— Pewnie.

— A tata był w Zakopanem?

— Byłem.

— A w Krakowie?

— Też.

— A w zagranicy?

— Za granicą.

— Gdzie tata był za granicą?

— Nigdzie nie byłem za granicą — zdenerwował się ojciec Janka. — O, cały się umazałeś buraczkami.

— Dlaczego tata nigdzie nie był za granicą?

— Jakoś nie byłem. Masz tu serwetkę i wytrzyj zaraz te spodnie i łapy, bo dostaniesz.

— A czy tata kiedy wyjedzie za granicę? — Nie wyjadę.

— A mama?

— Może.

— To może tata też później wyjedzie — pocieszał Janek ojca. — Jak ja będę dorosły, to będę wielkim podróżnikiem. Będę jeździł po całym świecie i będę zbierał znaczki pocztowe.

Matka Janka przybiegła z kuchni, niosąc na tacy salaterkę z kompotem. — No, zjadajcie szybko, bo musicie się przebrać, umyć łapy i zaraz jedziemy na te imieniny — powiedziała.

Rozdzieliła kompot.

— Janek, zlituj się! — krzyknęła nagle. — Jesteś cały w buraczkach! Marsz natychmiast do łazienki i umyj się! Ciepłą wodą — dodała.

Janek natychmiast bez słowa wstał od stołu i pędem pobiegł do łazienki.

— Gaz się nie chce palić — zawołał stamtąd po chwili. — Nie będzie ciepłej wody. Wieczorem nie będzie kąpieli!

— Dlaczego nie ma gazu? — zdziwiła się matka Janka.

— Nie wiesz? — Andrzej zaśmiał się triumfalnie — staruszka nawaliła.

— Czyś ty oszalał?

— Bo ty gazet nie czytasz — stwierdził Andrzej sucho — mówiłem to tacie już kilka razy. Ty wcale nie czytasz gazet, tylko je zbierasz na podpałkę. W gazecie było, że gazu nie będzie, bo staruszka nawaliła.

— Jaka znowu staruszka?

— Staruszka warszawska. — No, gazowa jubilatka. Niech mama czyta „Życie Warszawy”.

— Jaka znowu jubilatka. Tobie się coś pokręciło.

— Co chcesz od dziecka? — zachnął się ojciec Janka. — Rzeczywiście tak pisano. Gazownia warszawska ma sto lat i coś w niej oczywiście nawaliło.

— Ale niech mama się nie martwi — zatriumfował Andrzej. — Czeka ją na przyszły rok odmładzająca kuracja. Oczyszczą jej rury, bo ona nie może zaspokoić milionowej stolicy. Tak pisali.

— W zeszłym roku, kiedy on jeszcze nie umiał sam czytać, był jednak większy spokój w domu — westchnęła matka Janka. — No, jazda, leć do łazienki i myj też ręce. Zimną wodą — dodała.

## NIEDZIELA

— W „Życiu Warszawy” stało, że jedna dziewczynka we Francji pisze wiersze — oznajmił Andrzej Jankowi przy niedzielnym śniadaniu,

— Wielka rzecz. U nas, w Polsce, też się pisze wiersze. Mało ja znam wierszy — Janek lekceważąco zaczął machać nogami pod stołem.

— Przestań się kopać i w ogóle nie warto z tobą mówić. Tata, jak się nazywa ta dziewczynka.

— Minou — powiedział ojciec Janka. — Już ci trzy razy mówiłem.

— Bo to brzmi jak ryba, to mi jest trudno zapamiętać.

— To myśl o rybach i zaraz ci się przypomni — poradził Janek.

— Co mu się przypomni, jak będzie myślał o rybach? — matka Janka właśnie weszła do pokoju, niosąc pełną patelnię jajecznicy.

— Jedna dziewczynka — rzucił Janek niecierpliwie. — Mama zawsze wchodzi w środek. Myśl o dorszu — poradził — albo o karpach, albo o szprotach w oliwie.

— Szprotki w oliwie są bardzo niezdrowe dla dzieci — stwierdziła matka Janka. — Jedz jajecznicę.

— I jej te wiersze wydrukowali w drukarni i zrobili z tego prawdziwą książkę, rozumiesz, i jeszcze ją sprzedawali i ona jest teraz bardzo bogata. — Andrzej wepchnął pół bułki do ust i żuł w zamyśleniu.

— To ona mogła sobie kupić na święta, co chciała — rozentuzjasmował się Janek — i nie musiała liczyć na tego Dziadka Mrozę.

— Oni tam, we Francji, nie mają jeszcze Dziadka Mrozę — pouczał Andrzej.

— To skąd mają prezenty?

— Od rodziców, idioto, tak samo jak u nas — zdenerwował się Andrzej.

— Andrzej, nie mów brzydkich słów — warknął ojciec Janka zza gazety. — Bo zobaczysz.

— Już jest po świętach, to co zobaczę. Już dostałem wszystko, co miałem dostać. Ale mnie potrzebne są kijki do nart i nowy piórnik.

— Nie mam pieniędzy — oświadczył ojciec Janka krótko.

— Wiem — Andrzej wepchnął drugą połówkę bułki do ust. — Ja właśnie myślę, czy jak bym napisał jakieś wiersze, to czy mnie by wydrukowali.

— Mógłbyś spróbować — poradził Janek. — Tylko o czym. Może o Lejku?

— Kto by to kupował wiersze o psie? Nie, lepiej o czym innym, „

— Ale o czym?

— O lokomotywie.

— Głupi, to już było.

—: No to o kacze dziwaczce.

— Przecież to też już stoi napisane.

— No to o Zosi Samosi.

— Przestań się wygłupiać. Przecież masz to na półce.

—To ja już nie wiem. Tata, o czym jeszcze nie pisano wierszy?

— O czym? — ojciec Janka wyjrzał zza gazety.— Wiesz, muszę się zastanowić.

Chyba o wszystkim już pisano — dodał po chwili.

— Niemożliwe — Janek spojrział na ojca z przerażeniem.

— To o czym pisze ta dziewczynka? — dowiadywał się Andrzej rzeczowo.

— A o bułkach, na przykład, pisano kiedy? — Janek patrzył uważnie na swoją bułkę z masłem.

— Bo ja wiem, chyba też, a może nie — poinformował go ojciec Janka.

Była sobie raz bułka, Co miała cztery kółka.

— Czy to jest wiersz? — zapytywał Janek.

— To jest bujda! — krzyknął Andrzej z oburzeniem.

— Jajecznicza wam wystygnie — zawołała matka Janka. — Spieszcie się, bo ja mam zebranie rodzicielskiego komitetu przedszkola w sprawie zabawy noworocznej.

— Co, znowu? — ojciec Janka rzucił gazetę na ziemię. — Co chwila masz jakieś zebranie rodzicielskie.

— Zabawa noworoczna jest tylko raz do roku — powiedziała matka Janka lodowatym tonem.

— Ha, ha — zaśmiał się Andrzej.

— Jak Boga kocham, spiorę go dzisiaj — ojciec Janka gwałtownie wstał od stołu. — Jest potwornie bezczelny.

— Co ja zrobiłem? — Andrzej spojrział na ojca ze zdziwieniem. — Tata się mnie gorzej czepia niż nasza pani w szkole tego Ziółkowskiego. Wczoraj powiedziała, że da znać na niego na milicję. Może tata da znać na mnie? Ja też nic nie zrobiłem.

— Mógłbyś z nimi pójść na spacer albo na ślizgawkę — zaproponowała matka Janka. — Jest niedziela, masz czas.

— Umówiłem się z Frankiem „Pod Arkadami” w bardzo ważnej sprawie biurowej, no ale zebranie przedszkolaków ważniejsze — powiedział ojciec Janka z ironią.

— Tata nas nie lubi — powiedział Janek do Andrzeja. — On się zawsze od nas wykręca biurem. Jak byśmy pisali wiersze i sprzedawali potem w sklepie, to by nas kochał.

— Jeszcze jak? Ale figa z makiem. Nie będę pisał żadnych wierszy. Nie zależy mi — obraził się Andrzej. — Aż tatą do żadnego parku też nie pójde. Mogę zostać z Lejkiem na podwórzu. Niech tata sobie idzie „Pod Arkady”.

— Jak wszyscy są obrażeni, to na pewno wiadomo, że jest niedziela — zawołała matka Janka wesoło od drzwi. — To już idę. Róbcie, co chcecie.

## CZY TRZEBA MYŚLEĆ?

— Mamu, czy każdy człowiek musi koniecznie myśleć? — spytał nagle Andrzej z głębokiej zadumy.

— W każdym razie powinien — matka Janka cerowała olbrzymią dziurę w wełnianej skarpetce ojca i nisko nachylała się nad robotą.

— A czy są ludzie, którzy nie myślą? — Nawet dużo.

— Po czym się ich poznaje? — zainteresował się Janek. — o tym co mówią — odpowiedziała matka Janka krótko.

— A co oni takiego mówią? — nie dawał za wygraną Janek — co oni takiego mówią, że się ich po tym poznaje?

— Głupstwa.

— A skąd wiadomo, że to są głupstwa?

— Nie zawsze wiadomo od razu.

— A skąd wiadomo potem?

— Ojciec ci to wytłumaczy, jak przyjdzie.

— A po czym ja poznam, czy tata myśli? — chciał wiedzieć Janek.

— Jak siedzi ze złą miną, to myśli — zdecydował Andrzej. — To łatwo zgadnąć.

— Żeby jeszcze można było zgadnąć, o czym myśli — zastanowił się Janek.

— Mamu, a czy są ludzie, którzy potrafią zgadywać myśli?

— Owszem, ale tylko z tego, co się mówi,

— To jak się nie chce, żeby wiedzieli ludzie, co się myśli, to nie trzeba mówić?

— Nie trzeba — zgodziła się matka Janka poważnie.

— To jak ja nie chcę, żeby tata wiedział, co ja myślę, to co mam robić? W ogóle nie mówić?

— Jak nie chcesz, żeby tata wiedział, co o nim myślisz — zdecydował Janek — to musisz tak długo myśleć, aż nie wymyślisz czegoś zupełnie innego, a wtedy to powiedz i on się nie domyśli, co ty naprawdę myślisz.

— Wydaje mi się, że ktoś gada straszne głupstwa, — powiedziała matka Janka, odgryzając nitkę przy samej pięcie pończochy.

— To znaczy, że ty nie myślisz — ucieszył się Andrzej. — Już, teraz rozumiesz. Czy ty myślałeś, zanim to powiedziałaś?

— Jeszcze jak — oburzył się Janek.



— A czy można myśleć zamiast? — dowiadywał się Andrzej uparcie.

— Zamiast czego?

— Zamiast mówienia.

— Nawet trzeba. Ja bym osobiście była bardzo szczęśliwa, gdybyście chcieli tak robić od dzisiaj.

— Ty najlepiej nie mów i nie myśl — zaproponował Andrzej Jankowi.

— Kiedy jak ja siedzę i nic nie robię, to mi się nudzi i muszę koniecznie o czymś myśleć — oburzył się Janek. — Wy myślicie, że jest tak łatwo o niczym nie myśleć. Tylko spróbujcie.

— To ja wam coś proponuję — matka Janka wzięła się do drugiej pięty. — Gadajcie, ale najpierw myślcie o tym, co chcecie powiedzieć, a jak już wiecie na pewno, to dopiero wtedy mówcie, zgoda?

— Zgoda! — wykrzyknęli obydwaj chłopcy. — Zgoda!

Zapanowała długa cisza.

Po dobrych dwóch minutach matka Janka podniosła głowę znad cerowania zupełnie oszołomiona.

— Co wam się stało? — zapytała.

— Nic — odpowiedział Janek ponurym tonem. — Ja się staram nic nie myśleć, to szalenie trudne. Ciągle mi się coś płacze po głowie. .

— Ciekawa jestem co?

— Nie mogę ci powiedzieć, bo będziesz krzyczała.

— Tylko jeżeli skłamiesz.

— Jak ja ci powiem prawdę, to dopiero będziesz krzyczała.

— Wy mi przeszkadzacie myśleć — oburzył się Andrzej. — Gadacie i gadacie. Jak wszyscy gadają, to nie można myśleć i samemu się zaczyna gadać.

Znowu zapanowała cisza.

Lejek, który leżał pod kaloryferem, wstał, przeciągnął się, merdnął szybko dwukrotnie ogonem, przeciągnął się po raz drugi, po czym usiadł i zaczął się drapać za uchem.

— Ciekaw jestem, czy on myśli — zastanowił się Janek.

— Na pewno — zdecydował Andrzej. — Wystarczy na niego popatrzeć. On nie tylko myśli, ale on się okropnie nudzi.

— No bo co on ma za życie? Trzy razy dziennie sobie polata, a resztę czasu leży pod kaloryferem. Ty chodzisz do szkoły, tata do biura, ja do przedszkola. A ten leży i myśli już dwa lata.

— Za to nigdy nic głupiego nie powie.

— Ale nic mądrego też nie.

— A gdyby psy umiały czytać, toby się nie nudziły, tak okropnie?

— Ty umiesz czytać — powiedział Janek pogardliwie — i co z tego? Mało się nudzisz? Co innego oglądać obrazki. Gdyby on umiał oglądać obrazki, toby się nie nudził. Ja próbowałem mu pokazywać, ale on tylko wachał i odchodził, jakby mu brzydko pachniały.

— Można by je polać mamy wodą kolońską — zaproponował Andrzej.

— Można by — zgodził się Janek chętnie — Ale trzeba wziąć jakiś duży obraz, żeby mu łatwiej było zobaczyć. Gdyby tak psy wpuszczali do „Zachęty”. Tam jest kilka bardzo dużych obrazów. Gdyby je jeszcze można było polać wodą kolońską, toby on je na pewno zauważył.

— Nie ma mowy o mojej wodzie kolońskiej — krzyknęła matka Janka. „

— Lepiej je wysmarować boczkiem — zaproponował Andrzej. — W końcu co pies ma z wody kolońskiej? Żadnego zainteresowania. Boczek, to co innego. To jest dopiero zachęta.

— Zachęta to może i jest, ale kiedy psów nigdzie nie wpuszczają — zafrasował się Janek — a te obrazki, co wriszą u nas w mieszkaniu, to żaden pies na nie nie spojrzy,

— A skąd wiesz, że on na nie nie spojrzy? — spytał Andrzej.

— Bo są nieładne.

— Po czym poznajesz?

— Po tych obrazkach.

— A czy najpierw myślałeś?

— Nie.

— Ano widzisz. Miałeś nie mówić, zanim nie pomyślisz.

Janek nagle zaczął płakać.

— Czego beczysz? Beks! — wrzasnął Andrzej. W drzwiach pokoju ukazała się twarz ojca.

— Co się tutaj znowu dzieje? Andrzej, czego ty męczysz brata?

— Ja go nie męcę, ja mu każę myśleć — obraził się Andrzej.

Ojciec Janka uniósł ręce do góry.

— Wszyscy zupełnie powariowali — mruknął i zawróciwszy na pięcie poszedł do kuchni, gdzie usiadł przy stole i rozłożył wieczorną gazetę. — Nawet dzieci w domu każą myśleć.



## TELEFONY

— Mamu, czy zanim myśmy byli na świecie, to już były telefony? — spytał znieca Janek pewnego wieczora, kiedy leżał już w łóżku, czysty, wykąpany, w świeżej pidżamie i z mokrymi jeszcze od prysznicu włosami.

— No pewnie — matka Janka pocałowała go jeszcze raz' w czoło i dyskretnie go powąchała. Pachniał wymyтым dzieckiem, mydłem, mlekiem i pomarańczową pastą do zębów. — Ja twojego tatę nawet poznałam przez telefon.

— Ach tak, to tata był telefonistą — ucieszył się Janek. Natychmiast usiadł na łóżku i zrzucił z siebie kołdrę. — Opowiadaj, jak to było.

— Teraz już jest za późno. Macie spać.

— Tata wcale nie był telefonistą — mruknął spod swojej kołdry senny Andrzej. — Tata mi mówił, że zanim ja się urodziłem i zanim jeszcze znał mamę, to grał w koszykówkę.

— Grał w koszykówkę, ale nie zawodowo — oburzyła się matka Janka. — Tylko w niedzielę albo po pracy.

— A co tata robił z telefonem? — dopytywał się Janek.

— Telefonował, idioto — zniecierpliwił się Andrzej. — Tak jak wszyscy. Co miał robić?

— Ale ja chcę wiedzieć, jak tata poznał mamę przez telefon.

— Zwyczajnie — matka Janka jeszcze krzątała się po pokoju i krytycznym okiem oglądała bieliznę Andrzeja. — On pracował w jednym biurze, a ja w drugim, no i telefonowaliśmy do siebie w różnych] sprawach.

— W jakich sprawach?

— Biurowych.

— No i co?

— No i raz umówiliśmy się na randkę, żeby zobaczyć, jak wyglądamy.

— I jak wyglądaliście? — ziewnął Andrzej.

— Bardzo ładnie — zapewniła go matka Janka.

— Ładniej niż przez telefon? — Janek już siedział na brzegu łóżka i gwałtownie wymachiwał nogami.

— Bo ja wiem? — zamyśliła się matka Janka. — Inaczej. Zupełnie inaczej.

— A potem wzięliście ślub? — spytał Janek.

— Wzięliśmy.

— Przez telefon?

— Nie. Zwyczajnie.

— Ale można by — zastanawiał się Janek na serio.

— Można by — przyznała matka Janka.

— I my mogliśmy się urodzić przez telefon, no nie?

— Chyba nie — matka Janka zdecydowanym ruchem zmięła majtki Andrzeja, włożyła je w kieszeń fartucha i wyjęła czyste z szuflady.

— A czy był taki czas — nie dawał za wygraną Janek — kiedy w ogóle nie było na całym świecie ani jednego telefonu.

— Naturalnie. Zanim nie wynaleziono telefonu, to go nie było.

— A gdzie on był? — chciał koniecznie wiedzieć Janek.

— Nie było go wcale.

— Przecież gdzieś musiał być — zezłościł się Janek. — Tylko potem jakiś człowiek go znalazł i wtedy był wynaleziony. Ale gdzieś przecież musiał być.

— Skąd? Gadasz głupstwa. Zanim był wynaleziony, to go nie było.

— Nic nie rozumiem. Matki się na takich rzeczach nie znają. Zapytam taty, jak przyjdzie, to on mi powie. On musiał być gdzieś ukryty i dopiero jakiś facet zdecydował, że go wynajdzie i nic innego nie robił, tylko go szukał i znalazł go gdzieś w dalekich krajach i go przywiózł do Polski. Tak samo było z kartoflami. Tata mi dopiero wczoraj opowiadał.

— Co innego kartofle — zaczęła matka Janka.

— Pewnie, że co innego. I kartofli to z początku nikt nie chciał jeść, tata mi mówił, a potem to już je wszyscy jedli. I z telefonem pewnie było tak samo. Z początku nikt nie chciał się go dotknąć, a teraz wiadomo, że bez telefonu to w ogóle nikt nic nie robi. Mnie mówił jeden mój kolega, że jego tata to ma w biurze trzy telefony na biurku, mama wie.

— Po co mu trzy telefony — ziewnął Andrzej spod kołdry.

— Nie rozumiesz? On ma dużo spraw do załatwienia, to mu jeden nie wystarczy. Co innego u nas. Mama i tata mają jeden telefon na spółkę. Ale ten ojciec mojego kolegi to on na siebie jednego ma trzy telefony i ten mój kolega mi mówił, że czasami to one wszystkie trzy na raz dzwonią i ten jego tata mówi na raz przez wszystkie trzy.

— A co on mówi? — Andrzej wysadził zasnęłą twarz spod kołdry.

— Każe załatwiać różne sprawy — powiedział Janek niepewnie. — No i poznaje różnych ludzi...

— Mnie mówił mój kolega — wtrącił Andrzej — że jego tata jemu powiedział, że jest jeden facet, co ma nie tylko trzy telefony, ale trzy samochody.

— Bujasz — powiedział Janek krótko. — Trzy telefony to się rozumie, ale trzy samochody to jest bujda. Bo przecież on by i tak nie mógł być jednocześnie w trzech różnych miejscach i to jeszcze samochodem. ;

— Chyba nie — zgodził się bez oporu zaspany Andrzej.

Matka Janka wyjęła z szafy czystą koszulę dla Andrzeja i zaczęła oglądać skarpetki chłopców.

— Ale zanim te telefony znaleziono — zastanawiał się dalej Janek — to pewnie samochodów też jeszcze nie znaleziono, prawda, mamu?

— Mnie też jeszcze wtedy nie było na świecie — powiedziała matka Janka nie bez satysfakcji i wyjęła dwie pary czystych skarpetek z szafy.

— Ale ty przecież czytasz książki, to powinnaś wiedzieć. Powiedz, jak ludzie załatwiali sprawy, kiedy nie było jeszcze ani telefonów, ani samochodów.

— Jeździli konno z listami — oświadczył Andrzej. — A teraz dajcie mi już spać, bo ja. jutro muszę być wyspany, bo mam klasówkę.

— Konno z listami — zaśmiał się Janek drwiąco — to ja sobie wyobrażam, jak długo wszystko trwało.

— Bardzo długo — zapewniła go matka i wyjęła z szafy dwie czyste chustki do nosa. — Ale wcale nie dużo dłużej niż teraz.

— Pewnie. — Janek dokładnie ułożył cztery wyleniałe misie na poduszce i nakrył je koldrą. — Nasza winda już jest zepsuta od zeszłej zimy i te facety, co ją reperują, na pewno mają gdzieś jakiś telefon.

No i co?

— Bo oni nie po to ją reperują, żeby chodziła — stwierdził Andrzej ponurym głosem. — Ja z nimi rozmawiałem.

— No i co powiedzieli?

— Powiedzieli, żebym się nie wtrącał, że oni nie pracują po to, żeby ona chodziła, tylko żeby zrobić, co im kazano.

— Pewnie przez telefon — Janek położył żółtego misia na brzuch.

— No, a ty co myślisz — zbeształ go Andrzej. — Że ten facet, co ma pod sobą wszystkie zepsute windy w całej Warszawie, to ma czas, żeby z każdym, co je reperuje, mówić osobiście.

— Pewnie, że nie. I jeden telefon też mu nie wystarczy. To już teraz rozumiesz, że niektóre facety muszą mieć trzy telefony — ucieszył się Janek. — A nie wierzyłeś mojemu koledze.

Matka Janka ledwie widoczna zza stosu brudnej bielizny podeszła do kontaktu elektrycznego.

— No, gaszę — powiedziała — dobranoc. Przez to wasze głupie gadanie, to ja teraz mam prania na co najmniej godzinę.

## JANEK JEDZIE DO AMERYKI

— Ja nie jadę — powtórzył Janek po raz trzeci i brudną pięścią rozcierał łzy. — Możecie jechać sami.

— Z kim zostaniesz? — matka Janka krytycznym okiem przyglądała się parze sztruksowych spodni Andrzeja, zastanawiając się nad tym, czy zapakować je, czy nie.

— Z ciocią Andzią — chlipnął Janek.

— Kiedy ciocia Andzią jedzie z nami — matka Janka zdecydowanym ruchem rzuciła sztruksowe spodnie na krzesło, na którym już piętrzyły się różne części garderoby rodzinnej, których przeznaczeniem było pozostać w kraju.

— Nieprawda, ona nie jedzie. Ja by tam zabili, bo ona jest taka czarna jak Murzynka.

— Nie bój się, my ją obronimy.

— A w ogóle, jak ja tam będę z nimi mówił, przecież oni wszyscy gadają po amerykańsku.

— Nauczysz się. Zobaczysz, że ci szybko pójdzie.

— Kiedy ja nie chcę. A w ogóle to jest po drugiej stronie kuli ziemskiej i trzeba będzie cały czas chodzić do góry nogami. Ja nie jadę.

— Mówisz straszne głupstwa. Nikt tam nie chodzi do góry nogami.

— To zobacz sama na globusie. My jesteśmy na górze, a oni na dole, po drugiej stronie. Ja w ogóle nie rozumiem, jak tam można chodzić po ulicy.

— Ja też nie — westchnęła matka Janka. — Ale podobno chodzi się zupełnie tak samo jak w Warszawie.

— Bujda — zawyrokował Janek. — Zresztą Andrzej też powiedział mi wczoraj wieczorem w łóżku, że on nie jedzie. Tam są kowboje, co zabijają ludzi.

— Przecież jedziemy z tatą — matka Janka z westchnieniem ulgi położyła na krzesło stary, granatowy sweter, połatany na łokciach. — Zostaje — powiedziała.

— No to świetnie — ucieszył się Janek — zostaniemy razem.

— Nie ja, sweter.

— O!

— Idź i wyjmij ze skrzynki z zabawkami to, co chcesz zabrać, bo ja muszę dziś skończyć pakowanie.

— Wszystko zabieram — Janek energicznie ruszył ku drzwiom — myślisz, że coś zostawię. Potem będę się tam cały czas nudził.



— Będziesz chodził do szkoły.

— Oni tam nie wpuszczają Murzynów do szkoły, to ja też nie pójdę. Ja wszystko o nich wiem, bo mi mówił mój jeden kolega.

— My będziemy w Nowym Jorku, tam wpuszczają. — Ja też coś niecoś wiem, bo znam jedną panią, co tam była długi czas.

— Czy tata zabiera ze sobą rewolwer? — Janek stanął w progu pokoju trzymając w ręku pudło tekturowe pełne sznurków, korków, śrubek i pomiętych znaczków pocztowych. — Masz to do zapakowania. Niech tata bierze rewolwer na tych kowbojów. Pakuj od razu do walizki do góry nogami, żeby mi się znaczki nie rozleciały, jak tam przyjedziemy, dobrze?

— Dobrze — zgodziła się matka Janka. — Nic innego nie masz?

— Misia biorę na rękę, a książki są wszystkie przeczytane. Brzechwa dzieciom się rozleciał. Nie wiesz, czy tam będzie można kupić?

— Nie wiem. Sama nie wiem. Idź, otwórz drzwi.

To pewnie ciocia Andzia z Andrzejem. Mieli kupić na drogę rękawiczki.

— Już lecę. Andrzej, idioto, przestań tak dzwonić.

Już otwieram. Andrzej wszedł do pokoju bardzo ponury.

— Wytrzymaj nogi — powiedziała matka Janka, nie podnosząc głowy znad walizki. — Kupiliście rękawiczki?

— Kupiliśmy — mruknął Andrzej. — Ale nie będę ich nosił. Są babskie.

— Jakie znowu babskie — ciocia Andzia zaczęła zrzucać na stół paczki. — Damskie. Oni mówią okropnie. Nie było dzieciennych na jego wymiar. Spójrz na jego ręce. Większe od moich. W ogóle z wszystkiego wyrasta. Jak on wygląda w tych spodniach. Są za krótkie. A rękawy? Kupiłam trzy kilo grzybów suszonych. Tam nie mają. Też trzeba będzie wyhodować na balkonie. I szczypiorku też nie mają. Też trzeba będzie hodować, ale to łatwo, bo można w kuchni w doniczce. Ja się tym zajmę, możesz być spokojna. W ogóle dobrze by było mieć kawałek ogródka, bo tam podobno wszystkie jarzyny mrożone. Spotkałam w Domu Dziecka Sadkowską, wiesz tę, co zawsze jedzie na sesję Narodów Zjednoczonych. Ona mi powiedziała różne rzeczy, to wam wieczorem opowiem.

— Możesz mówić teraz — powiedział Andrzej pogardliwie — ja wszystko słyszałem.

— Podśluchiwałeś — oburzyła się ciocia Andzia.

— Akurat. Trzymałaś mnie cały czas za rękę, co miałem zrobić. Chciałem obejrzyć zabawki, toś mi nie dała.

— Bobyś się zgubił.

— Aha! Wczoraj sam wróciłem piechotą z Pałacu Kultury i już było prawie ciemno. Raz mówicie, że jestem już duży, a raz, że jestem dziecko. Mamu, czy zobaczymy Indianów?

— Indian.

— Dobrze, ale czy ich zobaczymy.

— Zobaczymy.

— A czy tam jest więcej Indian, czy Amerykan?

— Amerykanów.

— Dlaczego nie Amerykan?

— Bo się tak nie mówi.

— A Amerykanie to są Indianie czy nie?

— No tak.

— Ale nie wszyscy.

— Nie, nie wszyscy.

— A jacy tam są jeszcze Amerykanie?

— Przecież tata ci już wczoraj tłumaczył, że tam mieszkają ludzie z całego świata. Chińczycy, Murzyni, Polacy, Anglicy i w ogóle wszystkie narodowości, i że oni wszyscy nazywają się Amerykanie.

— Tylko Indianie nie?

— Indianie też.

— Nic nie rozumiem. Wy jakoś niewyraźnie to wszystko mówicie. Spytałem się jakiegoś kolegi w szkole.

— Czy wybrałaś już zabawki do zapakowania?

— Wybrałem, ale ich nie zabieram. Ta pani, co ciocia z nią mówiła w Domu Dziecka, mówi, że tam jest jeden taki cedet, w którym są same zabawki.

— Ale są drogie — matka Janka ostrożnie upychała pudło Janka w kufrze. — Widzisz, Janek zabiera wszystkie swoje skarby.

— Mogę zabrać tę jedną łamigłówkę z krowami i niebem — zgodził się Andrzej. — Mamu, co tata tam będzie robił?

— Tata będzie radcą delegacji — pośpieszyła ciocia Andzia z odpowiedzią.

— To co on będzie robił? Radził?

— Owszem.

— Komu?

— Temu panu, co jest szefem delegacji.

— A skąd on będzie wiedział, co mu radzić.

— Będzie się go pytał. Zdejm już płaszcz.

— A co mama będzie robić?

— Mama będzie w Papie.

— Ty mi nigdy nie odpowiadasz na pytania. Jak to w papie?

— To jest taka Polska Agencja Prasowa.

— Co się tam robi?

— Nadaje się do Polski wiadomości o Ameryce. Kiedy mama nic nie wie o Ameryce.

— To się tam dowie.

— Czy my tam długo musimy siedzieć?

— No, trochę — matka Janka otarła pot z czoła. — Błagam was, idźcie do siebie i bawcie się w samolot, w podróż do Ameryki, w pilotów, w pasażerów. Ciocia Andzia zaraz przyniesie wam na tacy podwieczorek, tak jak w prawdziwym samolocie, dobrze?

— Dobrze, ja wytnę z papieru bilety. W razie czego wyskoczmy na spadochronach — ucieszył się Janek.

— Ja mogę się bawić — zgodził się Andrzej — pod warunkiem, że to będzie czteromotorowiec.

— Zgadzam się — wykrzyknął Janek entuzjastycznie.

Matka Janka usiadła na kufrze, który ani myślał się zamknąć.

— Wysortowałam rzeczy i jeszcze się nie mieszczą — westchnęła. — Skąd tyle łachów? Przecież, prawdę mówiąc, nie mam nic do włożenia.

— Nie zapomnij o grzybach i koniecznie musisz zmieścić jakoś ten nowy czeski durszlak, co go kupiłam w zeszłym tygodniu. Ojej, jak ja się tam dogadam. Nie wiesz, jak jest durszlak po angielsku?

— Pojęcia nie mam. Zajrzyj do Stanisławskiego.

— Pięćdziesiąt słoików konfitur zostało w spiżarni — zatroskała się ciocia Andzia. — Trzeba je będzie komuś podarować. Z torbami pójdziemy. Majątek się traci na tym wyjeździe. Nie wiem, czy nie robimy wielkiego głupstwa.

— Są ludzie, którzy całe życie mieszkają w Tarczynie. Tam się rodzą, tam wychowują dzieci, tam umierają. Ten kufer nigdy się nie domknie.

— Najgorsze, że trzeba lecieć samolotem — ciocia Andzia usiadła na brzegu krzesła. — Może by już lepiej było statkiem.

— Statki też toną — mruknęła matka Janka.

— Ale można zabrać więcej bagażu.

— Samolot się pali! — słycać było donośny głos Janka z drugiego pokoju. —  
Wszyscy wkładają spadochrony i hop! skaczą. O, rozlatuje się na kawałki! Bach! Gotowe.

— A teraz będziemy się bawili, że jedziemy statkiem — krzyknął Andrzej. — Ja  
jestem kapitanem, a ty załogą. Zaraz będzie katastrofa.

— Fajno — zgodził się Janek. — Wiecie co — wrzasnął — najwięcej cieszę się na  
podróż.